

W OBJĘCIACH NIEWOLI



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

ANETA KRASIŃSKA

ANETA KRASIŃSKA

W OBJĘCIACH
NIEWOLI



Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Rozdział I. W pyle i huk

Rozdział II. W ogniu pytań

Rozdział III. W pułapce

Rozdział IV. Samotność

Rozdział V. Noce i dni

Rozdział VI. W oczekiwaniu na wiadomość

Rozdział VII. Pierwszy krok

Rozdział VIII. Pewna niepewność

Rozdział IX. Nieoczywiste oczywistości

Rozdział X. Pakt z diabłem

Rozdział XI. Z nadzieją i wbrew niej

Rozdział XII. W zawieszeniu

Rozdział XIII. Wiara, nadzieja i miłość

Rozdział XIV. Gorycz w sercu

Rozdział XV. Zimowe harce

Rozdział XVI. Rozbudzony apetyt

Rozdział XVII. Prezenty

Rozdział XVIII. Wielkie troski małych ludzi

Rozdział XIX. Kłamliwa prawda

Rozdział XX. Nieszczęśliwe szczęście

Od autorki

Przypisy

Redakcja
Paweł Wielopolski

Korekta
Magdalena Świerczek-Gryboś

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
© *Oleg/AdobeStock; NAC*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023
© Copyright by Aneta Krasieńska, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83291-91-8



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*przyszłość ucieka w mrok
gdy myśli spowiła gęsta mgła
świt rozbudziły pociągi –
odjeżdżają nieznanymi torami*

*ciężar trwogi buduje
zgrabiętymi dłońmi
kawałki klatek
zło podstawia nogę
zrzuca z drabiny człowieczeństwa
komponuje niestuszną oskarżeń*

*oddech szczęścia
chowa się za tarczą pozoru*

*sekrety pęcznieją w sercach
miłość grzęźnie w impasie czasu
a chwile zatrzymują się
w nikłych taflach nadziei*

do śmierci jeszcze DALEKO

Agnieszka Krizel

Rozdział I



W pyle i huk

Dopiero co zbudzone słońce bez pośpiechu wdrapywało się na nieboskłon, wciąż jeszcze ziewając i zastanawiając się, dlaczego aż tyle ludzi tak wcześnie wyległo na dwór. Strojne suknie mieniły się kolorami i błyskotkami. Każda z przybyłych kobiet zerknęła na inne, łudząc się, że to ona wyróżnia się na tle pozostałych. Mężczyźni nie zwracali uwagi na swój wygląd, podekscytowani to szeptali, to znów sobie coś pokazywali, poklepując się po plecach i wzajemnie się wychwalając.

Nareszcie śpiewny orszak ruszył. Wówczas rozległ się huk. Kłęby białego dymu na moment przysłoniły idącego na czele procesji księdza. Kobięcy pisk poniósł się w górę i zawisł tuż nad głowami rozradowanych mężczyzn. Kolejny śmiałek wystrzelił, choć wiedział, że to zabronione, bo wypadków przy tym co nie miara. Śmiech i krzyki przestraszonych dziełatek tylko zachęciły młokosów do zabawy.

Iwo zerknął na Poldka, który właśnie w tym momencie rzucił petardę tuż pod nogi dwóch milutkich sąsiadek, co to chichotały za każdym razem, gdy spotykali je na drodze. Dziewczęta odskoczyły i zaśmiały się, zalotnie spoglądając w stronę braci Koźmińskich. Ci zaś takich wielkanocnych uciech nie mogli sobie odmówić, choć matka załamywała spracowane dłonie w obawie, by przy tej zabawie rąk czy nóg im nie pourywało.

Iwo puścił oko do młodszej z sióstr i tym razem to on rzucił petardę. Wciąż słyszał śmiech i piski dziewczyn idących w procesji, ale ich sylwetki poczęły się rozmywać.

Z każdą chwilą głosy stawały się coraz cichsze. I gdy tak zastanawiał się nad tym, co widzi, usłyszał potężny huk. Wraz z nim podniosły się kłęby białego dymu, tak że nic nie było widać. Podskoczył w miejscu. Jego serce zamarło,

a w uszach aż mu dzwoniło. Rozejrzał się na boki, ale nikogo nie dostrzegł. Wówczas rozległ się kolejny głośny wybuch. Iwo rzucił się na ziemię, nakrył dłońmi głowę i próbował się czołgać. Z mozołem przesuwiał nogi, te jednak odmawiały posłuszeństwa. Głowa ciążyła mu niemiłosiernie i choć poruszał ramionami, to jego ciało ani drgnęło. Kolejny wybuch rozpruł powietrze. A po chwili przejmująca cisza, jakby wszyscy gdzieś zniknęli. Znów drgnął. Wysięk. Próba zapanowania nad ciałem. Niemoc. Wybuch... Niemoc... Wybuch...

Tym razem mocne zderzenie z czymś chłodnym sprawiło ból. Iwo pośpiesznie otworzył oczy i począł masować obolałe plecy i pośladki. Wspomnienie snu sprawiło, że poczuł na ciele zimny pot. Nie znosił chwil bezradności. Nie należał do ludzi, którzy przyjmują los takim, jaki jest, dlatego choć wciąż odczuwał skutki upadku z łóżka, to cieszył się, że się przebudził.

Przez zaciągnięte zasłonki, przebijały pierwsze promienie słoneczne, dlatego bez problemu dostrzegł zarys łóżka. Wciąż zaspany wdrapał się na pościel i zakopał pod jeszcze ciepłą kołdrą. Kolejny niespodziewany wstrząs hotelowego pokoju, drzenie szyb i potężny huk postawiły go na równe nogi. Choć rozglądał się na boki, to niczego nie dostrzegł. Dopiero teraz uświadomił sobie, że z korytarza dobiegają liczne odgłosy.

Pośpiesznie wciągnął spodnie i narzucił na siebie wczorajszą koszulę. W walizce miał jeszcze trzy zapasowe, ale wieczorem nie zdążył naszykować świeżej. Gdy po całodziennych dywagacjach wreszcie podjął decyzję o pozostaniu na Wybrzeżu, było już na tyle późno, że dopiero w trzecim hotelu udało mu się wynająć pokój, a i tak musiał kłamać, że w podróży zgubił dokumenty i musi poczekać do rana, by się zgłosić do urzędu w celu wystawienia nowych. Szczęściem przysypiającej recepcjonistce zależało na jednym – na świętym spokoju.

Dochodzące z korytarza krzyki, przerywane płaczem dzieci i kobiet, stawały się coraz głośniejsze. Iwo chwycił bagaż i podbiegł do drzwi. Po chwili wystawił głowę na zewnątrz.

– Szybciej, szybciej! – powtarzał po niemiecku grubszy jegomość w rozchełstanej koszuli i w zapiętych pod pękatym brzuchem spodniach. – Do piwnicy! Wszyscy do piwnicy!

– Co się dzieje? – usiłował dociec Iwo, przeciskając się pomiędzy tłoczącymi się gośćmi hotelowymi. – Co to za hałas?

– Nie wiadomo. Może jakiś wybuch na statku w porcie... – odparł mężczyzna poganiający rozespanych gości. – Wszyscy na dół! Tam jest bezpiecznie!

Iwo nie zamierzał zostawać w hotelu. Musiał biec do domu Neli. Dziewczyna na pewno spędziła noc u siebie. Teraz mógł ją tam zastać. Ruszył wraz z tłumem. Niesiony niczym plankton w morzu dotarł do schodów, a wąską klatką schodową przedostał się na parter. Usiłował się przepchnąć w stronę wyjścia, ale nie było to łatwe. Tłum podążał w dół schodów. Iwo podniósł walizkę i spróbował się przecisnąć, ale nikt nie słuchał jego próśb o przepuszczenie go do wyjścia. Sunął więc wąskimi drewnianymi schodami do piwnicy jednego z podrzędnych hoteli w Wolnym Mieście Gdańsku.

– Wszyscy się zmieszczą. Dla wszystkich naszych gości jest miejsce – zapewniał gospodarz, choć jego głos przepelniała niepewność. Sam nie miał pojęcia, co się dzieje. Nie mógł jednak sobie pozwolić na panikę i ucieczkę gości. Każdy z nich to kilka guldenów do świecącej pustkami kasy.

– Ja muszę już iść – zadeklarował Iwo, przeciskając się w stronę gospodarza. – Proszę mnie wypuścić! – Torował sobie drogę, trzymając w górze walizkę.

– Musimy poczekać na rozwój sytuacji – pokrzykiwał gospodarz, ale jego słowa zagłuszył kolejny wybuch, który tym razem wydawał się znacznie mocniejszy, bo nawet tutaj, na dole, wszyscy odczuli wstrząsy ścian.

– To nie ze statku... – mówił sam do siebie Iwo. – To ostrzeliwanie z lądu.

– Ktoś by nas zaatakował? – podchwycił przyglądający mu się mężczyzna, który natychmiast złapał dłoń swojej przygarbionej żony.

Iwo szybko analizował sytuację. Nie miała pojęcia, kto strzela, ale jednego był pewien: to się naprawdę działo. Widział skulonych pod ścianą młodych ludzi przyciskających do piersi dzieci i starszych gości z przerażeniem obserwujących innych. Dokąd mają pójść? Co ze sobą zrobić?

Iwo nieprzerwanie chodził wzdłuż długiego pomieszczenia, umiejętnie lawirując pomiędzy zebranymi. Każdy kolejny wybuch wzmagął w nim niepokój o los Neli. Nawet nie chciał sobie wyobrazić, że mogłoby jej się stać coś złego.

Znowu podszedł do stojącego przy schodach gospodarza.

– Ja naprawdę muszę już iść. Nie mogę tu zostać – oświadczył.

– Nikogo nie wypuszczę, dopóki się nie uspokoi – odparł buńczucznie. – Później mi jaki zarzuci, że nie dbam o swoich gości – dodał nieco łagodniej na

usprawiedliwienie.

Iwo spochmurniał i odłożył walizkę, po czym przysiadł na niej, zawieszając wzrok tuż nad głową przewrażliwionego gospodarza. Jego myśli poszybowały do Neli. Ileż by dał za to, by mieć pewność, że dziewczyna jest bezpieczna. Poderwał się z miejsca i znów począł dreptać w tę i z powrotem. Po godzinie znużony, przysiadł na walizce i skupił uwagę na liczeniu wystrzałów.

Wreszcie drzwi do piwnicy otwały się i w mdłym świetle pełgającej świecy pojawił się młody mężczyzna, który ochoczo zbiegł ze schodów i z uśmiechem na twarzy zakrzyknął:

– Mamy wojnę!

Wszyscy spojrzeli w stronę, skąd dochodził głos.

– Walczymy o wolność! O jedność! O ojczyznę! – pokrzykiwał przybyły.

Kilkanaście par oczu rozbłysło nadzieją.

– Tak długo czekaliśmy... – odezwał się starszy jegomość i mocno uściskał siedzącą obok niego kobietę. – Ten cholerny traktat wersalski niemal pozbawił nas domów – ciągnął, prostując się na nogach.

– Niby u siebie, ale wciąż czuć zimny oddech Polaków na plecach – podjął gospodarz hotelu, który zbliżył się do starszego mężczyzny i energicznie chwycił jego żylastą dłoń.

– Otóż to, panie! Otóż to! – Staruszek uniósł wysoko pięść i potrząsnął nią, jakby groził wszystkim tym, którzy przez ostatnich dziewiętnaście lat śmiali domagać się praw przysługujących Polakom.

Iwo przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Nie miał wątpliwości co do tego, że nie powinno go tutaj być. Gdyby postąpił zgodnie z zaleceniami Andrzeja Kucharskiego, siedziałby kilkaset kilometrów dalej. Może ten cały chaos by go ominął? Chociaż był wśród nielicznych, którzy doskonale orientowali się w sytuacji militarnej w Wolnym Mieście Gdańsku, to wierzył w działania dyplomatyczne polskiego rządu, ale przede wszystkim w siłę polskiej armii, która zapewne poradzi sobie z atakiem III Rzeszy.

– Skoro już wiadomo co i jak, to ja zmykam – odezwał się Iwo, przerywając tyradę Niemców. – Mam coś pilnego do załatwienia – dorzucił i wskoczył na schody.

Bez oglądania się za siebie wbiegł na parter i przedostał się do drzwi, które pośpiesznie pchnął. Gdy znalazł się na ulicy, dostrzegł unoszące się nad miastem kłęby dymu. W oddali wciąż było słychać wybuchy. Westerplatte nadal się broniło. To dodało mu otuchy. Mocniej zacisnął palce na rączce walizki i biegiem pokonał odległość dzielącą go od domu Neli.

Ludzie przemykali ulicami, trzymając się jak najbliżej zabudowań.

Kiedy Iwo wreszcie dopadł do wejścia domu rodzinnego Neli, upuścił walizkę i począł nerwowo łomotać w wysokie, pomalowane białą farbą drzwi, ale nikt ich nie otworzył. Jeszcze przez kilka minut stał na ganku, nie wiedząc, co ze sobą począć. Wreszcie chwycił bagaż i poczłapał w stronę dworca. Teraz już miał pewność, że rodzina Wittów w porę wyjechała z miasta. Może gdyby zdążył lepiej poznać Nelę, zdołałby się domyślić, gdzie teraz się znajduje.

Z każdą chwilą tłum gęstniał i wylewał się z chodnika na ulicę. Trąbienie nielicznych samochodów pędzących w przeciwną stronę na chwilę wstrzymywało ruch. Ludzie ustąpili niecierpliwemu kierowcy i jego wyladowanemu po brzegi samochodowi. Szczęśliwców mogących uciekać z miasta autem nie było jednak wielu. Reszta zaskoczonych mieszkańców Wolnego Miasta Gdańska płynęła ulicami wprost na stację kolejową.

Wreszcie Iwo dostrzegł budynek dworca. To tutaj przychodził z Rajmundem na wyborne gołąbki. Na myśl o obiedzie aż go ścisnęło w dołku. Od wczoraj nic nie miał w ustach, a i kolacja nie należała do obfitych, bo kiedy zdecydował się, że zostaje w mieście, nie w głowie było mu jedzenie. Potrzebował noclegu, a wiedział, że ze znalezieniem go wcale nie pójdzie tak łatwo. Polskich hoteli niemal nie było, a w niemieckich nie czekano na niego z otwartymi ramionami. W pośpiechu pochłonął bułkę kupioną na dworcu i pobiegł szukać kwatery.

Teraz dotarł do kasy biletowej i ustawił się w długim ogonku. Dzieci popłakiwały ze zmęczenia. Rodzice coraz bardziej poirytowani pokrzykiwali to na swoje potomstwo, to znów na innych pasażerów czy organizację na kolei. Pociągi przyjeżdżały z dużym opóźnieniem i wypełnione po brzegi ludźmi w ogóle nie wyruszały w dalszą trasę. Iwo obserwował ten impas, zastanawiając się, gdzie tkwi przyczyna. Oczywiście było, że wielu Niemców zdecyduje się na ucieczkę. Nie było bowiem pewności, jak rozwinie się sytuacja. Zastanawiający wydał mu się brak kolejarzy. Ci, którzy przyjechali, w pośpiechu opuszczali parowozy, jakby wszyscy jednocześnie skończyli pracę.

Nagle znacznie głośniejsze odgłosy wybuchów wzmożyły zamieszanie. Dziecięcy płacz stał się nie do wytrzymania.

– Może to na Heveliusplatz – odezwała się młoda kobieta, tuląca kilkutygodniowego noworodka. – Od świtu nacierają na pocztę – dodała. – Zerwałam się na równe nogi, bo myślałam, że nam chałupę rozwaliło, a to płot od strony komisariatu policji rozerwało. Później z trzech stron Niemce zaczęli strzelać do naszych – tłumaczyła, rozglądając się na boki, by jej wieści nie dotarły do niewłaściwych uszu.

– A pocztowcy się bronili? – spytał starszy jegomość w znoszonym kapeluszu.

– Jak lwy rzucili się na mundurowych. Słyszałam strzały z karabinów i pistoletów. Nawet kilka granatów rzucili.

– Nasi chłopcy! – Staruszek poklepał kobietę po plecach.

– Jak uciekałam, to nadal słyszałam ostrzał. Oby Bóg im dopomógł, ale policjantów było dużo więcej...

– Jednak to naszym pocztowcom nie brakuje determinacji, żeby bronić polskiej poczty – oświadczył Iwo i pomyślał, że gdyby nie rozkaz Kucharskiego, też by został na posterunku.

Od okienka kasowego dzieliło go już ledwie kilka metrów, gdy kątem oka dostrzegł kilkunastu maszerujących esesmanów. Równym krokiem przemierzali peron, kolejno legitymując stojących w kolejce pasażerów. Zamieszanie, poszukiwanie dokumentów, rozmowy i płacz dzieci szybko wypełniły cały dworzec. Iwo, nie wypuszczając z dłoni walizki, zrobił kilka kroków do tyłu. Przez cały czas bacznie obserwował zbliżających się do niego esesmanów. Ci jednak byli tak dalece pochłonięci wypełnianiem swojego zadania, że nie zwrócili uwagi na oddalającego się pasażera. Iwo zgarbił się i udał w przeciwną stronę.

Gdy tylko dotarł do końca budynku dworcowego, nie zwracając uwagi na oślepiające słońce, odwrócił się i puścił pędem przed siebie. Wiedział, że nieopodal znajduje się wychodek. Walizka coraz bardziej mu ciążyła. Ściekający po plecach pot sprawił, że koszula przykleiła się do skóry. Nie zamierzał jednak odpuścić. Wreszcie dosięgnął drzwi i pociągnął za niewielką drewnianą gałkę.

Po chwili był w środku. Łapał powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Smród fekaliiów drażnił nozdrza, ale starał się o nim nie myśleć. Tuż obok nóg ustawił walizkę i wyjrzał na peron przez niewielki otwór wycięty w drzwiach. Jeden

z esesmanów stał w miejscu, w którym chwilę wcześniej znajdował się Iwo. Ten błądził wzrokiem w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, ale póki co nie potrafił takiego wypatrzyć. Na dworcu roiło się od umundurowanych Niemców.

Z oddali napłynął gwizd upragnionego pociągu. Chwilę później z kłębow dymu wyłoniła się czarna lokomotywa ciągnąca kilka długich wagonów. Tłum oszalał na jej widok i począł biec w stronę olbrzyma. Zgrzyt metalu zakłuł w uszy, ale nie przeraził pasażerów wskakujących na stopnie wciąż toczących się wagonów. Wreszcie żelazna bestia oblepiona niecierpliwymi podróżnymi wypluła resztki pary i zamarła. Tuż obok lokomotywy wyrósł komitet powitalny. Uzbrojeni esesmani łypali w stronę wychodzących kolejarzy i pokrzykując na nich, poczęli ich poganiać w stronę wyjścia z dworca. Po chwili dołączyli do nich pozostali zbrojni prowadzący okazałą grupę oszołomionych Polaków.

Iwo w duchu gratulował sobie przezorności. Otarł twarz rękawem nieświeżej koszuli i głośno westchnął. Kiedy znów spojrział przez otwór w drzwiach, na stacji nie dostrzegł esesmanów. Większość pasażerów usadowiła się w wagonach podstawionego pociągu, licząc na to, że choć pozbawiony kolejarzy, to w jakiś magiczny sposób ruszy. Iwo wiedział, że to najlepszy moment na ucieczkę. Nie miał wątpliwości, że w najbliższym czasie z Dworca Głównego nie odjedzie żaden pociąg.

Otworzył drzwi. W zasięgu wzroku nie dostrzegł zagrożenia. Ostrożnie wyszedł i wciąż rozglądając się na boki, pomknął w stronę najbliższych zabudowań. Trzymając się blisko nich, oddalał się od stacji. Nie miał pojęcia, co ma ze sobą począć. W tym mieście nie był bezpieczny. Skierował się więc w stronę trasy wyjazdowej z miasta, licząc na łut szczęścia i podwózkę.

Idąc jedną z bocznych uliczek, wciąż zachowywał czujność. Gdy dotarł do skrzyżowania, stanął jak wryty. Przecież znał tę sylwetkę, postawę i ruchy. I choć zdawało się to niewiarygodne, był pewny, że się nie myli. Upuścił walizkę i pobiegł w jej stronę, wołając:

– Nela?! Nela! Neluś...

Rozdział II



W ogniu pytań

Nela nie była w stanie wypuścić z objęć mężczyzny, o którego tak bardzo się bała, dla którego zaryzykowała życie i pojechała do Stutthof, by go odnaleźć. A teraz nie wierzyła swemu szczęściu, że Iwo zdołał ją wypatrzeć powracającą do domu z dworca kolejowego.

– Żyjesz! Jak dobrze, że nic ci nie jest – powtarzała, nie zwracając uwagi na to, że na środku chodnika obejmuje mężczyznę, który nie jest jej narzeczonym.

– Ze mną wszystko w porządku, ale nie miałem pojęcia, czy wam udało się stąd uciec – szeptał jej do ucha.

– Szukałam cię...

– Byłem u ciebie w domu dwa razy... ale nikt mi nie otworzył...

– Tak niewiele brakowało, żebyśmy się minęli...

Nela jeszcze mocniej przywarła do jego ciepłego ciała. Chciałaby tak pozostać, nie zwracając uwagi na to, co dookoła.

– Lepiej stąd chodźmy – ponaglał Tomas, który przestępując z nogi na nogę, lustrował okoliczne kamienice. Widok zniszczonego domu wynajmowanego w Stutthof przez celników nie pozostawiał wątpliwości co do panujących nastrojów. – Tu jesteśmy jak na widelcu.

– Tylko gdzie się podziejemy? – zastanawiała się Nela, wtulona w opiekuńcze ramiona mężczyzny.

– Chodźmy do domu.

– Tomas, chyba nie mówisz poważnie? – Iwo odsunął się nieco od dziewczyny. – A twoi rodzice?

– Masz lepszy pomysł? – Tomas podniósł na niego wyczekujący wzrok. – Musimy wymyślić jakąś wiarygodną wymówkę, dlaczego jesteś z nami.

Iwo głośno westchnął. Żadne z nich nie miało pojęcia, co dalej począć. Nela ludziła się, że razem łatwiej im będzie coś wymyślić. Najchętniej pozostałaby w objęciach mężczyzny, który z każdą chwilą stawał się dla niej ważniejszy. Wiedziała jednak, że oficjalnie pozostaje w związku z Wilhelmem, musiała więc zachować pozory. Odsunęła się nieco od Iwa. Ten, wiedząc, że nie ma innego wyjścia, podniósł walizkę i ruszył za Tomaszem. Nela szła pomiędzy nimi.

Na ulicach z rykiem silników pojawiały się wojskowe ciężarówki wyładowane uzbrojonymi ludźmi i sprzętem, a kilkunastoosobowe oddziały gdańskiej policji poganiały aresztowanych Polaków i Żydów. Wielu z nich nie miało nawet marynarek. Widocznie zostali zaskoczeni najściem służb mundurowych.

Po przejściu kilku przecznic rodzeństwo Wittów stanęło na progu własnego domu. Tomas zastukał do drzwi, które długo się nie otwierały.

– Może rodzice wyszli? – zastanawiała się Nela.

Tomas obszedł dom i zajrzał do salonu. Drzwi balkonowe były niedomknięte, dlatego bez trudu je otworzył, a po chwili zazgrzytał zamek w drzwiach wejściowych.

– Wchodźcie – zachęcił, przesuwając się.

Iwo przestąpił próg, kątem oka lustrując przestronny hol z szerokimi schodami prowadzącymi na piętro. U góry dostrzegł dojrzałą kobietę, która w pośpiechu palcami przeczesywała potargane włosy.

Nela też dostrzegła matkę i podeszła do schodów.

– Myślałam, że nikogo nie ma w domu.

– Ani Adela, ani Marta nie przyszły dzisiaj do pracy – wyjaśniła, schodząc ze schodów i jednocześnie prostując niemal niewidoczne fałdki na swojej sięgającej połowy łydek sukience. – Naprawdę nie wiem, co one sobie wyobrażają. Niech tylko przyjdą jutro, to im drzwi pokażę. Nie będę płacić darmożjadam – wylewała swoje żale, ale widząc gościa, uśmiechnęła się i gdy stanęła obok córki, wyciągnęła dłoń na powitanie. – Tobie też powinno się dostać, moja panno. – Wymownie zawiesiła głos, ale nie zdecydowała się drążyć tematu przy obcej osobie.

Nela przeczuwała, że matka nie omieszka wytknąć jej ucieczki, gdy tylko zostaną same. Tymczasem wołała o tym nie myśleć.

– Mamo, to mój przyjaciel Iwo – powiedział Tomas.

– Iwo... a jak dalej? – zainteresowała się, patrząc na mężczyznę całującego jej dłoń z dwoma pierścieniami na palcach.

– Iwo pokazał mi wyjątkowe miejsca w okolicach Stutthof. Takich kolorów morza nie widziałem nigdzie indziej, a nad zalewem miałem do zaznaczenia na szkicu tyle drobiazgów, że bałem się, że nie podołam – oznajmił Tomas. Dociekliwość matki bywała uciążliwa, ale już dawno rozgryzł jej słabe punkty i wiedział, że temat malarstwa jest tym, który potrafi odwrócić jej uwagę od wszystkiego innego.

– A skąd pan zna tamte rejony? Mieszkamy w Danzig od urodzenia, ale nigdy nie zapaściłam się nad zalew.

– Pracowałem tam... – zaczął Iwo i zamarł: przecież nie mógł powiedzieć, że pełnił tam służbę celniczą.

– Iwo jest rybakiem – podchwycił Tomas. – Naprawdę zna wyjątkowe miejsca. Wiele z nich udało mi się namalować.

– Rzeczywiście ostatnie obrazy mojego syna są niezwykle plastyczne z dużym zabarwieniem emocjonalnym – odparła, patrząc prosto w oczy mężczyźnie, który zdążył puścić jej dłoń i stanąć krok dalej. – Sądzę, że Paryż pokocha twój talent – zwróciła się do syna; pokładała w nim niespełnione nadzieje. – Tylko nie zapomnij zabrać tych nowych prac.

– Myślisz, że moje studia są nadal aktualne?

– A dlaczego by nie? – zdziwiła się, idąc w stronę kuchni.

– Bo chyba mamy wojnę – zauważył Tomas. – Pociągi przestały kursować. Ledwie udało nam się... – Szturchnięcie Neli w ostatniej chwili nakazało mu milczenie.

– Iwo właśnie próbował wyjechać do rodziny na wieś, ale pociągi utknęły na stacji – wtrąciła Nela przytomnie, po czym obydwój ruszyli w ślad za matką.

– To tylko chwilowe niedogodności – odparła kobieta, gdy weszli do kuchni. – Ojciec mówił, że cała ta akcja potrwa kilka, może kilkanaście dni i będzie po wszystkim – dodała, otwierając w poszukiwaniu czajnika kolejne drzwiczki przestronnego kredensu. – Niczego nie można tu znaleźć! Nici mi tylko wróci Adelcia, to już ja jej wytłumaczę, jak powinien wyglądać porządek w kuchni.

Nela znacznie częściej zaglądała do tej części domu, dlatego pospieszyła matce z pomocą. Bez kłopotu znalazła wstawiony za kaflową kuchnię czajnik i nalała do niego wody. Później postawiła go na żeliwnym blacie i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jest on zimny. Pogrzebaczem zdjęła żeliwną fajerkę i zajrzała do czarnego paleniska. Od czego powinna zacząć? Kilka razy widziała, jak kucharka roznieca ogień. Kiedyś nawet zaoferowała swoją pomoc, ale wszyscy ze służby wiedzieli, że gdyby zobaczyła to pani domu, to najpewniej straciliby pracę.

Nela wyjęła kilka grubych szczap przygotowanych do dołożenia, gdy tylko wypalą się drobne gałązki służące za rozpałkę. Niewielki otwór stawiał opór grubym drewnianym kłocom. Dziewczyna usiłowała mocniej je wepchnąć, ale drewno się zaklinowało. Jeszcze raz naparła na nie, ale nie ustąpiło.

– To może ja to zrobię... – zaoferował Iwo.

Nela z wdzięcznością spojrzała na niego i wycofała się, by przygotować nakrycia. Iwo wyciągnął polano i odłożył je na bok, a w to miejsce wetknął kilka cienko porąbanych szczapek, które zapaliły się od pierwszej iskry. Gdy już ogień lizał większość wiórów, otworzył drzwiczki i wsunął do paleniska dwa grubsze drewna. Przez cały czas czuł na swoich plecach przenikliwe spojrzenia domowników.

– I już? – spytała z niedowierzaniem Nela.

Iwo wzruszył ramionami, po czym ustawił czajnik i usiadł przy stole, czekając, aż woda się zagotuje.

– Oj, mamy szczęście, że akurat dzisiaj jest pan z nami – zauważyła Ana Witt i rozsiadła się na krześle. – Nela, zejdz do piwnicy po którąś z pieczeni i ukrój dla nas po kawałku każdego ciasta, a nie żałuj sobie i nam tych rozkoszy dla podniebienia, bo skoro ślub się jutro nie odbędzie, to mamy sporo smakołyków do zjedzenia – stwierdziła z wyraźną rezygnacją w głosie. – Taki pech... taki pech... – powtarzała, spoglądając za okno na unoszący się nad miastem dym. – Gdyby chwilę później wódz zdecydował się wydać rozkaz, to już byłoby po wszystkim, a tak tylko kłopot mamy...

Nela wzruszyła ramionami i chcąc uniknąć słuchania matczynej tyrady, chwyciła tacę gotowa zejść do piwnicy.

– Pomogę ci – zaoferował Iwo.

– Nie ma potrzeby – zaoponowała Ana Witt. Zdawała sobie bowiem sprawę, jak może to nieprzyzwoicie wyglądać, gdy niedoszła mężatka znajdzie się w ciemnej

piwnicy z młodym rybakiem, o którym tak niewiele wiedziała. – Nela sobie poradzi, a my tymczasem porozmawiamy o pana zajęciu.

Nela zastygła jak kamienny posąg Neptuna ustawiony pośrodku miasta. Pozostawienie Iwa na pastwę losu w najlepszym razie mogło się skończyć potworną awanturą. Nie była to też najlepsza pora na wyjaśnienia dotyczące łączącej ją relacji z mężczyzną.

– Mamo, Iwo na pewno jest bardzo zmęczony i chciałby chwilę odpocząć – wtrąciła Nela, zaciskając dłonie na ręczce długiego noża, który zamierzała zabrać do piwnicy.

– Racja! Iwo od rana czatował na pociąg, a tu klops! Pewnie padasz z nóg? – zauważył Tomas i ze współczuciem na twarzy poklepał chłopaka po ramieniu.

Iwo pośpiesznie pokiwał głową.

– Daj panu ręcznik, żeby mógł się nieco odświeżyć, a potem zapraszam na podwieczorek do salonu. Przecież świat się nie zawalił, a człowiek jeść coś musi – oświadczyła, uśmiechając się pod nosem.

Iwo głośno odetchnął i poszedł w ślad za Tomaszem. Nela puściła do niego oko i zeszła do piwnicy. Zapaliła świeczkę, bo wciąż jeszcze nie włączono prądu. Dwa długie stoły zastawione kilkunastoma ciastami i pieczeniami przypomniały jej o niedoszłym ślubie. Rodzice ponieśli duże wydatki, by zorganizować przyjęcie dla kilkudziesięciu gości. Chcieli, by to był dla niej wyjątkowy dzień. I byłby, ale znienawidzony; dlatego od pierwszej sekundy, gdy dowiedziała się, że wybuchła wojna, czuła trudną do opisanego radość, że wreszcie uwolniła się od Wilhelma.

Zerknęła na rolady i jabłeczники ustawione pośrodku jednego ze stołów. Zwinięty w rulon biszkopt został przyozdobiony idealnie równymi zawijasami kremu z masła zabarwionego sokiem z buraka. Odkroiła okazałych rozmiarów kawałki obydwu ciast i położyła je na tacy. Obok ustawiła brytfankę z pieczoną kaczką i ruszyła na górę. Teraz tylko musiała znaleźć dogodny moment, by przekonać rodziców, że w obecnej sytuacji nie ma mowy o żadnym ślubie.

W kuchni na stole ustawiła tacę i poczęła kroić ciasto na mniejsze kawałki, by przełożyć je na wyjętą z kredensu paterę.

Po chwili Ana podniosła się z miejsca i poczęła odsuwać kolejne szuflady w poszukiwaniu noża. Wreszcie triumfalnie uniosła w dłoni poszukiwany przedmiot i zabrała się do krojenia kaczki. Pieczeń jednak nie poddawała się tym

zabiegom. A to się wyslizgiwała z nieprzyzwyczajonych do tego rodzaju zajęć rąk kobiety, a to znów nóż ześlizgiwał się i krajał tam, gdzie nie powinien.

– Czy tu są jakieś ostre noże? – warknęła. – Jak tu można cokolwiek zrobić...

– Ja to pokroję, mamó – zaoferowała Nela. – Może zaparz herbatę w imbryku, bo woda zaczyna się gotować.

Ana Witt z wdzięcznością przyjęła nowe zadanie. Kuchnia nigdy nie należała do jej ulubionych miejsc. Znacznie bardziej lubiła jadalnię, w której służba serwowała dania.

Nela właśnie skończyła kroić pieczeń, więc zaniósła ją do jadalni, a potem wróciła po ciasto. Kolejnym razem zabrała talerze i sztućce. Matka w tym czasie ustawiła na stole w jadalni filiżanki i duży imbryk, po czym zajęła swoje ulubione miejsce.

Gdy Iwo i Tomas weszli do jadalni, aż klasnęła w dłonie i ochoczo wskazała im miejsca. Jako gospodyni nałożyła wszystkim okazałe porcje mięsa, a na koniec podsunęła chleb.

– Niestety wczorajszy. Dzisiaj nic nie działa, ale mam nadzieję, że to chwilowe niedogodności.

Nela przelotnie spojrzała na Iwa, który utkwiał wzrok w jedzeniu i bez słowa pochłaniał swoją porcję. Była niemal pewna, że dzisiaj jeszcze niczego nie jadł. Gdy więc dostrzegła, że jego talerz jest pusty, nałożyła mu dokładkę. I tym razem nie odmówił.

Właśnie pani domu naląła herbatę i przysunęła na środek stołu patere z ciastem, gdy w jadalni pojawił się Anders Witt. Widząc na stole przysmaki, poklepał się po okazałym brzuchu i zajął miejsce przy stole. Dopiero wtedy dostrzegł kogoś obcego w jadalni. Wstał więc i podszedł, by się przywitać.

– Iwo Hagen. – Gość tym razem zgrabnie skłamał i potrząsnął miękką dłonią gospodarza.

Nela zastygła, trzymając w dłoni srebrny widelczyk, którym zamierzała odkroić kawałek rolady.

– Rybak, który pomógł Tomasowi wybrać najlepsze miejsca do namalowania pejzażu – ochoczo podkreśliła Ana i z wdzięcznością uśmiechnęła się do gościa. – Częstujcie się, a ty opowiadaj, co ustaliłeś.

– Duże zamieszanie w Volkstagu. Każdy z posłów i senatorów chciał się dowiedzieć, jakie są dalsze plany wodza, a przede wszystkim jak możemy pomóc – oświadczył senator między kolejnymi kęsami. – Na szczęście już kilka dni temu wydaliśmy dekret o przyłączeniu Danzigu do Rzeszy, więc dzisiaj jedynie został ogłoszony opinii publicznej.

– Wszystko działa jak w dobrze naoliwionej maszynie! – Ana nie potrafiła ukryć swojego zachwyty. – Może jeszcze dokładkę mięsa? – zwróciła się do męża.

– Ociupinę, bo mam jeszcze ochotę na szarlotkę – odparł, po czym wrócił do tematu: – Musimy naprawdę błyskawicznie działać, dlatego podjęliśmy kroki, by na naszym skrawku ziemi szybko przywrócić ład i porządek. Jednak do tego potrzeba nam przywódcy.

– A co z gauleiterem Forsterem? – zaniepokoiła się Ana.

Od lat obserwowała błyskotliwą karierę namiestnika Hitlera i choć nigdy przed nikim by się nie przyznała, to czuła do niego pewien rodzaj słabości. Ten pozornie niewyróżniający się z tłumu mężczyzna potrafił przeorganizować układ sił politycznych w Danzigu. Zmieniał to miasto i dawał nadzieję na lepsze jutro, ale przede wszystkim tak jak Ana kochał malarstwo. Tej nici subtelnego porozumienia najbardziej brakowało jej w związku z Andersem. Jej mąż był pragmatykiem, dla którego sztuka stanowiła dodatek do życia. Potrafił się doskonale bez niej obejść, choć miał świadomość, że dla wielu stanowi podstawę bytu. Nawet wśród wysoko postawionych w hierarchii polityków byli tacy, którzy nie wyobrażali sobie ściany w jadalni czy salonie bez obrazu. On kompletnie tego nie rozumiał. Ana z czasem nauczyła się akceptować ten stan rzeczy, choć nigdy nie zaniechała prób obudzenia w mężu zainteresowania malarstwem. Zabierała więc go na wystawy i prelekcje znanych malarzy, by chłonął każde ich słowo. W domu jednak to z Tomaszem mogła porozmawiać o tym, co widzieli i usłyszeli. Anders znużony zasypiał w fotelu z gazetą.

– Poczekaj chwilę – odparł zniecierpliwiony. – W kolejnym dekrete mianowaliśmy Forstera^[1] głową państwa. A później musieliśmy się zająć kwestią Burckhardta^[2]. Naprawdę trzeba o wszystkim pamiętać, ale jestem dobrej myśli. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem i oczyszczanie miasta szybko postępuje. – Zaśmiał się dumnie, po czym odsunął od siebie talerz i sięgnął po paterę z ciastem.

Nela podała mu czysty talerzyk deserowy i naląła nieco już chłodnej herbaty. Dotychczas milczała, obserwując Iwa. Wiedziała, że każde z wypowiedzianych przez ojca słów jest wymierzone w Polaków, a więc i w człowieka, który stał się jej tak bliski. Gdy tak siedziała, po raz pierwszy miała poczucie, że nie chce słuchać o polityce, o przeciwnikach Rzeszy i o wielkim planie odzyskania wolności przez Niemców uwięzionych w Wolnym Mieście Gdańsku. Wciąż przed oczyma miała napisy wymalowane na siedzibie celników w Stutthof. Nie potrafiła zrozumieć, skąd ta nienawiść i poczucie wyższości. Znała historię miasta i wiedziała, jakie były jego koleje losu. Tym bardziej nie potrafiła pojąć roszczeń ludzi podobnych jej ojcu. A w tej sytuacji czuła się jak w potrzasku, z którego trudno się wydostać, by nie odnieść ran.

– A co pan sądzi o sytuacji, w której się znaleźliśmy? – niespodziewanie Anders zwrócił się do gościa.

– Iwo... po prostu Iwo – zaczął wywołany do odpowiedzi.

– Iwo chciał wrócić do rodziny, ale utknął na stacji bez dokumentów – wyjaśniła z przejęciem Ana.

– Teraz jest zbyt niebezpiecznie, by podróżować bez papierów – przyznał senator. – Każdy musi je nosić. – Pogroził zakrzywionym palcem swojemu potomstwu. – Łatwo o pomyłkę i problem gotowy – dodał enigmatycznie.

– Przecież nic nam nie zrobią – przekonywała Ana. – Jesteśmy Niemcami! – dodała z dumą w głosie.

– Widziałem policjantów patrolujących ulice i legitymujących wszystkich bez wyjątków. Mnie też sprawdzali – stwierdził, skończywszy jeść ciasto. – Pomogę ci załatwić dokumenty. Jak tylko urzędy na nowo zaczną działać, uruchomię swoje znajomości – obiecał i mrugnął porozumiewawczo do Iwa.

Mężczyzna skłonił głowę w podziękowaniu, ale Nela widziała, jak pobladł.

– Może chciałbyś się położyć, żeby odpocząć? – zaproponowała pośpiesznie.

– Chętnie, jeśli to dla państwa nie kłopot – odparł, choć wolałby wziąć nogi za pas.

– Nela, nakryjesz w gościnnym? – odezwała się Ana. Wolałaby, żeby zrobiła to służąca, dzisiaj jednak nie miała wyjścia i musiała o to prosić córkę.

Dziewczyna skinęła głową i wstała, ale zanim wyszła, pozbierała naczynia ze stołu. Tomas i Iwo pomogli jej i zanieśli talerze do kuchni. Później będzie musiała

wrócić i je pozmywać, bo nie miała wątpliwości, że matka nie kiwnie palcem.

W milczeniu zaprowadziła Iwa do pokoju gościnnego i wyjęła z ręcznie zdobionej ornamentami szafy śnieżnobiałe poszewki, które wciąż pachniały wiatrem. Wykrochmalony i idealnie wyprasowany materiał z trudem poddawał się drobnym, choć zwinnym palcom dziewczyny. Nigdy wcześniej sama nie zakładała poszwy na pierzynę czy poduszki. Z wdzięcznością przyjęła pomoc mężczyzny. Natychmiast dostrzegła, że robi to z wprawą i bez większych przeszkód. A gdy skończył, równo ułożył cienką letnią pierzynę, a potem chwycił Nelę za rękę i pociągnął ją za sobą.

– I co teraz? – na wszelki wypadek spytał po niemiecku, gdy obydwójce usiedli obok siebie.

– Nie mam pojęcia, najważniejsze, że jesteśmy razem. – Westchnęła i wtuliła się w jego ramiona. – Myślałam, że oszaleję, gdy cię nie znalazłam w Stutthof. Nie wiedziałam, gdzie pójść i co zrobić, żeby cię odnaleźć. Nie zostawiłeś żadnej wiadomości.

– Sądziłem, że znajdę cię w domu i wtedy razem wyjedziemy... – Jego głos zawisł w powietrzu. – Chciałbym, żebyś została moją żoną... – szepnął jej do ucha i szorstkim od dwudniowego zarostu policzkiem musnął małżowinę.

Niemal natychmiast dreszcz przeszył jej ciało i poczuła rozlewające się w dołku ciepło. Jeszcze mocniej przywarła do ukochanego. Czuła bijące od niego ciepło. Jego dłonie prześlizgiwały się po jej plecach, jedna z nich powędrowała w górę jedwabnej bluzki. Iwo zaczął delikatnie masować jej głowę. Czuły dotyk przyniósł jej niewypowiedzianą ulgę.

Nie miała pojęcia, jak bardzo była spięta i zmęczona. Przymknęła oczy i odchyliła głowę, poddając się pieśszczocie. Pomyślała, że nigdy wcześniej nie czuła tak silnych emocji związanych z dotykiem męskich dłoni. Wilhelm nieraz ją obłapiał i obściskiwał, śmiała się wtedy, starając się uwolnić z jego objęć. Nie czuła ekscytacji, a jedynie zawstydzenie. Sądziła, że tak to powinno wyglądać. Teraz pragnęła, by te pieśszczoty trwały wiecznie.

Wtem poczuła na swoim policzku oddech. Uchyliła powieki i dostrzegła nachylającego się nad nią Iwa. Łaknęła jego ust. Przymknęła więc powieki, czekając na chwilę rozkoszy. W tym samym momencie odczuła muśnięcie warg.

Choć ledwie wyczuwalne, sprawiło jej niebywałą przyjemność. Drgnęła, pragnęła o wiele więcej. Wtedy ciepłe usta przywarły do jej warg.

Nela miała wrażenie, że Iwo doskonale rozumie jej potrzebę bliskości. W jego obecności nie czuła lęku przed tym, że sytuacja może wymknąć się spod kontroli. Ufała mu.

Nagle do jej świadomości dotarły odgłosy dochodzące z korytarza. Poderwała się na równe nogi i odskoczyła od łóżka. Nikt nie powinien zastać ich w dwuznacznej sytuacji. Patrząc na osłupiałego Iwa, pośpiesznie wycierała usta, chcąc się pozbyć oznak niedawnej rozkoszy. Sekundę później drzwi uchylły się i obydwoje ujrzeli postawną postać.

– Zapomniałem zapytać cię o datę urodzenia – wyjaśniał gospodarz domu, nie przestępując progu pokoju gościnnego. – Bez tego ani rusz w urzędzie.

– Najlepiej będzie, jak Iwo wszystko zapisze na kartce i wtedy tatko niczego nie zapomni – stwierdziła przytomnie Nela, tym samym dając chłopakowi czas na to, by sklecił wiarygodne kłamstwo. – Zaraz przyniosę papier i coś do pisania.

– Racja, tylko pośpiesz się, bo w salonie czeka na ciebie Wilhelm. Biedaczyna jest załamany – poinformował i z żalnością pokręcił głową. – Musimy coś postanowić w związku z waszym ślubem.

Nela przygryzła drżącą wargę. To nie był najlepszy moment na wyjaśnienia, ale wiedziała, że bez nich się nie obejdzie.

Wyszła z pokoju i pośpieszyła na górę. Nie zamierzała się pokazywać Wilemu. W ogóle chciałyby zapomnieć o nim i złożonej mu obietnicy. Na palcach pokonała schody i weszła do pokoju, cicho zamykając drzwi. Doskonale wiedziała, gdzie ma papier listowy i ołówki, ale musiała znaleźć dogodną chwilę na wyjście z sypialni.

Tymczasem mężczyźni zostali sami. Iwo wolałby, żeby ojciec Neli już poszedł, ale ten uparcie sterczał w progu pokoju, jakby bał się, że chłopak może się cichcem wymknąć z ich domu.

– Widzę, że już masz pościelone – zmieniał temat, spoglądając na łóżko. – Służba dzisiaj nie przyszła do pracy. Pewnie niebawem pojawią się z przeprosinami i będą wymuszać płaczem, żeby ich przyjąć. – Zaśmiał się, jakby powiedział przedni żart. – Ach, te polskie korzenie... Urwanie głowy z tymi ludźmi. – Wzruszył ramionami. – Coś Nelcia długo szuka tych przyborów – zauważył, wyglądając na korytarz. – Nie będę ci przeszkadzał w odpoczynku, ale

poproś ją, by przyniosła te dane do salonu. Nie będę cię jutro budzić przed wyjściem, a chcę ci jak najszybciej pomóc.

Iwo odruchowo podszedł do gospodarza domu i uścisnął jego dłoń. Nie sprawiło mu to przyjemności, ale obowiązek i dobre wychowanie nakazało mu tak postąpić. Gdy został sam, zamknął drzwi i ciężko opadł na łóżko.

*

Gdy Nela już wzięła potrzebne rzeczy, niczym mysz prześlizgnęła się przez korytarz. Później poczęła się skradać po schodach. Zatrzymała się kilka kroków od salonu, doskonale więc słyszała rozmowę matki z Wilhelmem rozpaczającym nad tym, że spotkał ich taki pech i najpewniej ich ślub będzie musiał być odłożony na lepszy czas. Nela uśmiechnęła się pod nosem, wyobrażając sobie, że ten lepszy czas nigdy nie nastąpi. Drgnęła, słysząc kroki ojca. Umknęła więc do jadalni i schowała się za drzwiami. Gdy głos ojca dobiegł z salonu, przemknęła korytarzem i dopadła do drzwi pokoju gościnnego.

– Miałam nadzieję, że sobie pójdzie – wyjawiała szeptem i starannie zamknęła drzwi. – Zawołałam Tomasa. Może razem coś wymyślimy.

– To wszystko zaczyna się sypać – zaczął Iwo, podchodząc do niej. – Nie mogę tu dłużej zostać. Nawet jeśli wystawienie dokumentów potrwa dzień czy dwa, to i tak wyda się, że nie jestem tym, za kogo się podaję – dodał i schował twarz w dłoniach. – A teraz jeszcze twój były narzeczony. Co on tutaj robi? O jakim ślubie mówi twój ojciec? Nie rozumiem tego wszystkiego...

Nela zbliżyła się i ujęła jego dłoń. Nie sądziła, że tak szybko zostaną zmuszeni do podjęcia działania. W sumie nie miała pojęcia, co teraz powinni zrobić. Doskonale wiedziała, że pozostanie w domu Wittów nie wchodzi w grę. Ojciec nie da się długo wodzić za nos i pozostawała jeszcze kwestia niedoszłego ślubu. Na razie wszyscy przyjęli za pewnik, że uroczystość wcześniej czy później się odbędzie. A czy ona znajdzie w sobie siłę, by wyprowadzić wszystkich z błędu?

Była jak w potrzasku, choć po raz pierwszy od kilku dni, kiedy Wilhelm ją zaszantażował, czuła, że nie jest pozostawiona sama sobie. Obecność Iwa dodawała jej odwagi i utwierdzała w przekonaniu, że jej dotychczasowe życie uczuciowe nie było tym, czego pragnęła. To z Iwem miała o czym rozmawiać. Lubiała słuchać, gdy opowiadał o swojej rodzinie. Nie czuła się jego ozdobą

potrzebną do tego, by mógł zaistnieć w towarzystwie. Miała świadomość, że w przypadku Iwa jej pochodzenie jest przekleństwem, a związek w obecnej sytuacji graniczy z obłędem.

– Dla mnie liczysz się tylko ty. Nie ma nikogo ważniejszego. Wilhelm nie potrafi pogodzić się z moją decyzją, dlatego wymyślił to świństwo... – Spuściła wzrok, a jej twarz stężała. – Sądziłam, że gdy mu wyjaśnię, że go nie kocham, to pozwoli mi odejść, ale się myliłam. Teraz wiem, że jemu wcale nie chodziło o mnie – dodała, i na moment przygryzła wargi. – Wcale mnie nie kocha, tylko zależy mu na koneksjach mojego ojca. Kariera i polityka są na pierwszym miejscu. Ja i moje uczucia nigdy nie miały znaczenia. Powinnam się tego była domyślić, gdy chciał mnie... – Zamilkła, czując cisnące się do oczu łzy.

– Czy on ci coś zrobił? – szepnął Iwo, delikatnie dotykając jej ramienia. – Neluś?

– Chciał... – wybełkotała drżącymi ustami. – Na szczęście nie zdołał.

Iwo doskoczył do niej i z całych sił ją objął. Potem pocałował ją w czoło i na moment odsunął, by spojrzeć jej w oczy.

– Kocham cię i już nikt nas nie rozdzieli – obiecał.

Znowu spuściła wzrok, wiedziała bowiem, że Wilhelm nie odpuści. Zdążyła poznać jego drugie oblicze: potrafił pokonać wszystkie przeszkody, by osiągnąć cel. Tym celem było wejście do rodziny Wittów, a skoro tylko ona mogła mu w tym pomóc, to nie spodziewała się, żeby Meyer zmienił plany i odpuścił, choć chwilowo wybuch wojny opóźnił realizację jego zamiarów.

– Wyjedźmy stąd – zaproponowała w chwili, gdy usłyszała czyjeś kroki na korytarzu.

Znowu odskoczyła od Iwa i z obawą zerknęła na drzwi. Tym razem pojawił się w nich Tomas. Obydwoje odetchnęli. Przybyły usiadł na krześle przy niewielkim stoliku ustawionym na środku pokoju, a oni przycupnęli na łóżku.

– Musisz nam pomóc wyjechać z miasta.

Nela nie zamierzała mieć przed bratem tajemnic. Jego wsparcie było dla niej bardzo istotne. Musiała komuś zaufać. Wiedziała, że Tomas ją zrozumie.

– Nie chciałbym tego, ale wiem, że tutaj nie macie szans – stwierdził.

– Zabierzemy automobil taty, bo inaczej nie wydostaniemy się z Danzigu.

– Musicie to zrobić nocą, bo rano ojciec jeździ autem do Volkstagu.

Iwo nie oponował. Nela wiedziała, że drugiej szansy mogą nie dostać.

– Dokąd chcecie wyjechać?

– Najpewniej do mnie na wieś. Tam powinno być najbezpieczniej – wyjaśnił Iwo.

– Słusznie. Trzeba przeczekać ten zamęt, a później wszystko jakoś się ułoży. – Tomas uśmiechnął się przekonująco. – Mam trochę pieniędzy uciulanych na wyjazd do Paryża, o których rodzice nic nie wiedzą, to dam wam, żebyście mieli na podróż.

– Daj spokój, poradzimy sobie – odezwał się Iwo.

– Nie ma mowy, wam są bardziej potrzebne, a mnie na pewno rodzice dadzą pieniądze, gdy będę wyjeżdżał.

– Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili. – Nela dopadła do brata i mocno go objęła.

– Kiedyś, jak już będę znanym malarzem, to musicie pozwolić mi się sportretować, choć nie mam pojęcia, czy będę potrafił wiernie oddać te wszystkie uczucia, które macie wymalowane na twarzach.

Nela, nieco zawstydzona, spuściła wzrok, ale jeszcze mocniej przytuliła młodszego brata. Gdy byli dziećmi, czasem sobie dokuczali, a gdy trochę podrośli, szybko zrozumieli, jak wiele ich łączy i jak dobrze się rozumieją. Frank był z zupełnie innej gliny i to z nim trudno było im się porozumieć. Często zawiązywali sojusz właśnie przeciwko najstarszemu bratu, który nie stronił od psot i bójek, a gdy tylko mógł, zrzucał winę na innych. Wpatrzony w pierworodnego ojciec nigdy go nie skarcił, a matka – niespełniona malarka, wiecznie bujająca w chmurach – nie zajmowała sobie głowy takimi błahostkami.

– Sprawdzę bak i jeśli potrzeba, to doleję paliwa – obiecał Tomas. – Pieniądze zostawię w twoim pokoju – zwrócił się do Neli. – Powodzenia, kochani! Dajcie znać, gdzie osiedzicie w jakimś miejscu.

Teraz podszedł do Iwa i objął go po przyjacielsku. Gdy wyszedł, Nela wtuliła się w ramiona mężczyzny. Miała mało czasu na przygotowania do podróży w nieznaną, a jednak nie potrafiła odejść. Nie chciała dłużej być sama. Potrzebowała Iwa jak życiodajnego tlenu, dzięki któremu łatwiej znieść codzienność.

– Druga w nocy? – spytał, głaszcząc jej jasne włosy, które po całym dniu zdążyły się poplątać, a misternie układane loki rozprostować.

– Będę gotowa – obiecała, po czym wspięła się na palce i odważyła się pocałować go w usta. – Wyjdź przez okno i idź pod wiatę. Tam się spotkamy.

Nela niechętnie opuściła Iwa i na palcach pokonała korytarz, a potem schody. Wreszcie cicho zamknęła za sobą drzwi do pokoju i zabrała się za pakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Nie miała pojęcia, na jak długo jedzie. Każdą z wybranych rzeczy kilkakrotnie obejrzała, analizując jej przydatność. Wreszcie zamknęła walizkę i spróbowała ją podnieść. Była dla niej zbyt ciężka, a jej gabaryty nie pozwalałyby się wymknąć niepostrzeżenie z domu.

Wspięła się na palce i wymacała znacznie mniejszą walizkę. Zaczęła przepakowywać ubrania, odkładając na półki te, które się nie zmieściły. Tym razem bagaż znacznie łatwiej dźwignęła i ustawiła za parawanem w razie, gdyby któreś z rodziców zechciało do niej zajrzeć przed snem. Do małej torebki schowała dokumenty, pieniądze pozostawione przez Tomasa i biżuterię podarowaną jej przez ojca w dniu ukończenia szesnastego roku życia, gdy uznał, że jest już na tyle dorosła, iż może uczęszczać na przyjęcia organizowane przez miejscową śmietankę towarzyską.

Wreszcie położyła się do łóżka i zdmuchnęła świeczkę. W oddali wciąż słyszała wybuchy, a co jakiś czas rozlegało się wycie syren. Miała nadzieję, że jutro o tej porze będą już w zupełnie innym miejscu. Razem. Bezpieczni.

Z zamyślenia wyrwało ją ciche pukanie do drzwi.

– Kto tam? – miała nadzieję, że nic złego się nie stało i Iwo nie zmienił zdania.

– Tu tato – usłyszała głos seniora rodu i zamarła. – Mogę wejść na słowo?

Drżała na myśl, że może jej misterny plan się posypał i ojciec domyślił się kłamstw Iwa albo, co gorsze, nakrył Tomasa majstrującego przy baku na paliwo.

– Nelcia?

– Już, już – odparła i podeszła, by otworzyć drzwi.

– Rozumiem, że dzisiejsze wydarzenia cię wykończyły, ale nie przyszedłeś do nas – oświadczył z wyrzutem. – Wilhelm poczuł się odtrącony. Na szczęście i ja, i twoja matka obiecaliśmy mu, że gdy tylko to zamieszanie się skończy, zrobimy wszystko, byście spokojnie mogli stanąć na ślubnym kobiercu.

Nela głośno westchnęła. Nie chciała prowadzić nic nieznaczącej rozmowy. Za kilka godzin życie, które wiodła w Danzig, przestanie mieć znaczenie. Żal jej było opuszczać rodziców, ale w tej sytuacji nie miała innego wyjścia.

– Niczym się więc nie martw i śpij spokojnie. Jeszcze wszystko się ułoży.

– Tak będzie, tatku – wymamrota wtulona w poły jego marynarki.

Potem pożegnali się, a Nela podreptała do łóżka. Wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka. Co kilkanaście minut spoglądała na budzik, by się upewnić, że nie musi wstawać. Wreszcie zachowując się cicho jak mysz pod miotłą, ubrała się w spodnie, bawełnianą bluzkę i ciemny sweter. Włosy związała w kok i nałożyła na głowę kapelusz z niewielkim rondem. Później przerzuciła przez ramię torebkę, zaś bagaż wzięła do ręki i na palcach zeszła na parter, a potem drzwiami kuchennymi wyszła z domu.

Gdy znalazła się pod wiatą, dostrzegła jakiś cień. Iwo podbiegł do niej i przejął od niej walizkę. Położył ją na tylnym siedzeniu i pomógł dziewczynie wsiąść do auta. Sam wskoczył za kierownicę i uruchomił silnik. Bramę wyjazdową otworzył już wcześniej. Ruszyli bez słowa. Żadne z nich nie kłopotowało się zamknięciem bramy. Nie mieli czasu na drobiazgi. Liczyła się każda minuta.

Miasto po ciężkim dniu wojny sapało pogrążone w nerwowej drzemce od czasu do czasu przerywanej wybuchami, krzykiem policjantów patrolujących miasto lub komendami wobec prowadzonych więźniów.

Iwo nie włączył świateł, mając nadzieję, że dzięki temu łatwiej będzie im się wymknąć z miasta. Musiał więc jechać bardzo wolno i uważnie patrzeć na drogę. Wybierał boczne, nieoświetlone uliczki wzdłuż Motławy. Przezornie wolał gorszą trasę niż spotkanie z przypadkowym patrolem policji.

Ich auto właśnie wyjechało z ulicy Lastadie i powoli wtoczyło się na most, gdy nagle zza grubego pala, na którym rozpięty był most, ktoś się wyłonił. Chwilę później Nela dostrzegła lufy karabinów skierowanych w ich stronę.

Rozdział III



W pułapce

– Wysiadać i ręce nad głowę! – Usłyszeli głosy, gdy tylko Iwo zatrzymał samochód. – Szybciej, wyłazić z auta!

Iwo wysiadł i niemal natychmiast poczuł na plecach lufę karabinu. Unosząca się w powietrzu wilgoć oplotła go swoim ramieniem i przytuliła się do jego policzka. Skrawek księżyca wygodnie ułożonego na pierzynie z chmur odbijał się ledwie widocznym blaskiem w nurcie rzeczonym.

Iwo przez ułamek sekundy rozważał ucieczkę właśnie w stronę wody. Może zdążyłby zanurkować, zanim dosięgłyby go wystrzały. Wążył swoje szanse, spoglądając na senny księżyc, który jak na złość zaczął się wychylać zza chmur.

– Dokąd to ptaszyny jadą w środku tak niespokojnej nocy? – spytał wyższy z uzbrojonych mężczyzn, który ćmił papierosa.

– Na wsi mamy schorowaną babinę, która na wieść o wojnie dostała ataku apopleksji, a lekarzy jak na lekarstwo, więc musimy się nią zająć – powiedział Iwo, starając się, by w jego głosie nie słychać było strachu.

– A skądże to wiecie, że stara zaniemogła? – wtrącił nieco niższy policjant i zawadiacko przekrzywił głowę, by w mdłym świetle księżyca pochwycić wzrok przesłuchiwanego.

– Życzliwy sąsiad przyjechał z tą wieścią jeszcze przed zmrokiem i postanowiliśmy jak najszybciej wyruszyć. Trochę zeszło czasu na pakowanie...

– Nie lepiej było poczekać do rana? Przecież teraz roi się od tych wszystkich polskich szumowin. Zobacz pan, jeszcze wczoraj myśleli, że mogą nam kraj umeblować po swojemu – dobrodusznie zauważył palacz i się zaśmiał. – Jeszcze wam co zrobią, a panienka taka gładka. Żal by było. – Mlasnął i podszedł do Neli,

która dotychczas stała na uboczu, wciąż trzymając ręce wysoko nad głową. – Panienska kim jest dla tego tu kawalera? – spytał, przybliżając się do niej.

– To moja kuzynka. – Iwo brnął dalej w kłamstwa.

– A panienska zapomniała języka w pięknej buzi? – drwił dryblas, dmuchając jej w twarz duszącym dymem papierosowym.

– Kuzynka się wystraszyła – dodał.

– A czegoż to? Nas? – Pokazał na pozostałych kilku policjantów, którzy zdążyli otoczyć ich wianuszkami. – My jesteśmy po to, by zapewnić bezpieczeństwo wszystkim prawym obywatelom Rzeszy, a panienska zapewne do takich należy. To widać po szlachetnej urodzie. – Pokiwał z uznaniem głową. – I gdyby nie obowiązek nałożony przez zwierzchników, to nawet nie przyszłoby mi do głowy, by prosić o dokumenty. Ale sami rozumiecie, rozkazy. Dobry żołnierz i policjant z nimi nie dyskutują. Za chwilę zaprowadzimy ład w całym mieście i na każdym domu powiewać będzie flaga Rzeszy.

Iwo przygryzł dolną wargę. Tej chwili bał się najbardziej. O ile perfekcyjna znajomość niemieckiego otwierała mu wiele drzwi i nieraz pomogła przetrwać awantury, to polskie dokumenty nie pozostawiały wątpliwości, skąd pochodził.

Nela zapewne myślała o tym samym, bo zerknęła w stronę ukochanego i zmarszczyła czoło. Później powoli przeniosła wzrok na stojącego przed nią dryblasa i ostrożnie opuściła dłonie, by wyjąć dokumenty schowane do torebki, którą wciąż miała na ramieniu. Policjant nawet na moment nie spuścił z niej wzroku gotów strzelić, gdy tylko zajdzie taka potrzeba.

Wziął od dziewczyny papiery, szybko przebiegł wzrokiem i wyprostował się, jakby właśnie dostrzegł przed sobą kogoś zupełnie innego.

– Panienska Witt? – upewnił się. – Córka szanownego senatora Andersa Witta?

Nela pośpiesznie skinęła głową.

– Toż to ojciec nie przestrzegł panienski, że patrole rozstawione na wyjeździe z miasta? Mysz się nie prześlizgnie. Mamy sporo roboty z tymi polaczkami, a przecież oni najbardziej zagrażają takim szanowanym ludziom jak panienski rodzina – wyjaśnił dryblas. Przydeptał niedopałek. – Niechże panienska uważa na siebie, a pan niech strzeże kuzynki jak oka w głowie – ostrzegł.

Iwo wybałuszył oczy, w duchu dziękując Bogu, że czarna płachta nocy skutecznie ogranicza widoczność. Jego białe jak papier policzki nagle nabrały

kolorów, a krew znów poczęła pulsować. Musiał działać.

– Czy możemy już jechać? Lepiej żebyśmy dotarli do babki na czas, bo inaczej senator zmyje nam głowy – wyjaśnił w nadziei, że policjant właściwie odczyta jego intencje.

– Zmykajcie, tylko uważajcie, bo na rogatek na pewno znowu was przydybią – ostrzegł policjant, wycofując się, by Nela mogła z powrotem wsiąść do auta.

– Jeśli będą tak sprawnie działali jak wasz oddział, to na pewno szybko ruszymy w dalszą drogę. – Iwo postanowił nieco połechtać ego policjanta, wierząc w moc komplementów, nawet jeśli miały niewiele wspólnego z prawdą.

– Tylko uważajcie i włączcie światła, bo wcześniej w Motławie wylądujecie, zanim dotrzecie na wieś.

Iwo przytaknął, po czym wsiadł do samochodu, zaraz po Neli. Wciąż obserwując policjantów, uruchomił silnik i pomny na usłyszaną chwilę wcześniej sugestię, włączył światła. Potem powoli ruszył, ale niemal w tej samej chwili usłyszał pukanie w szybę. Zatrzymał się i czekał.

– A właściwie, to dlaczego wcześniej jechaliście bez świateł? – zainteresował się niższy z funkcjonariuszy.

Iwo doskonale słyszał pytanie, ale postanowił grać na czas, by znaleźć sensowne wyjaśnienie. Zrobił więc zdziwioną minę i podniósł obydwie ręce do góry w geście bezradności. Stojący po drugiej stronie dryblas zaśmiał się i machnął na niego pojednawczo. Iwo odetchnął, ale niższy policjant nie zamierzał odpuścić. Tym razem szarpnął za klamkę i otworzył drzwi, po czym słowo w słowo powtórzył swoje pytanie.

Iwo słyszał przyspieszony oddech Neli. Wiedział, że wszystko zależy od tego, co za chwilę powie. Dotychczas wołał coś przemilczeć, niż kluczyć. Kiedy był dzieckiem, matka zawsze mu powtarzała, że lepsza zła prawda niż najpiękniejsze kłamstwo. Później jej słowa tak głęboko wryły mu się w świadomości, że stosował je, w ogóle się nad nimi nie zastanawiając. Zarówno w domu, jak i w szkole w Bydgoszczy nie musiał mijać się z prawdą. Nauka przychodziła mu bez większych problemów, nie trzeba więc było lawirować. W tej chwili zrozumiał, że od kilkunastu godzin wciąż kłamie i robi to bez mrugnięcia okiem. A może po prostu miłość tego od niego wymagała? Nie miał czasu analizować pobudek, które kierowały jego zachowaniem. Zebrał się w sobie i spróbował się uśmiechnąć.

– Wolałem oszczędzać paliwo, bo najważniejsze, żeby go wystarczyło dla naszych pojazdów bojowych – zauważył, starając się, by jego głos zabrzmiał przekonująco.

– A co ma piernik do wiatraka?

Dopiero teraz Iwo zdał sobie sprawę, jak głupio zabrzmiało jego wyjaśnienie.

– W tym całym zamieszaniu po prostu zgłupiałem.

– Helmut to dzisiaj zapomniał zjeść kolację, tak go wystraszyły wystrzały. – Zachichotał stojący dwa kroki dalej dryblas i spojrzał na niższego kolegę. – Daj już im spokój i idź wreszcie coś zjeść.

Kilku policjantów z zadowoleniem pokiwało głowami.

Iwo jeszcze przez chwilę trzymał otwarte drzwi, nie chcąc pokazać, jak bardzo się spieszy. Widząc jednak, że nikt o nic więcej go nie pyta, zatrzasnął je, głośno odetchnął i wreszcie ruszył.

Samochód nabierał prędkości.

– Chyba się udało – szepnęła Nela tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Obyśmy nie natknęli się na kolejny patrol – westchnął – bo może tak gładko nie pójść.

– Teraz już wiem, co na nich działa. – Nela zaśmiała się i machnęła dokumentem z nazwiskiem ojca. – Podziękuję tatkowi, gdy tylko się spotkamy – dodała i zamilkła.

Iwo spojrzał na nią. Dostrzegł zwieszoną głową i wzrok wbity w papiery potwierdzające jej pochodzenie. W tej chwili zrozumiał, jak wiele dziewczyna poświęciła, by mogli być razem. Gdy wieczorem wspomniała o Wilhelmie, poczuł ukłucie zazdrości. Nie mógł pojąć, że wciąż jeszcze nie rozmówiła się z byłym narzeczonym. Ta zwłoka popchnęła go do zwątpienia w uczucie, które deklarowała Nela. Ale teraz już wszystko było jasne. Przecież nie ryzykowałaby ucieczki z nim, gdyby... gdyby go nie...

Iwo, nie odrywając oczu od drogi, jedną dłoń przeniósł z kierownicy i dotknął delikatnej, choć chłodnej skóry Neli. Natychmiast poczuł, że jej palce oplatają się wokół jego. Ścisnął mocniej i przyspieszył. Słowa zdawały się zbędne. Obydwoje mieli świadomość, jak wiele w tej chwili tracą, by niebawem zyskać coś najważniejszego – wspólne życie.

Los postanowił spłatać im figła, pozbawiając ich możliwości spokojnego poznania się. Teraz musieli zmienić swoje plany, ale nie zamierzali rezygnować z siebie.

Mężczyzna znał drogę wyjazdową z miasta, dlatego bez problemu zmierzał na południe. Tych kilka przecznic przebyli, niemal nie oddychając. Tylko od czasu do czasu zaskoczony kręcił głową, dostrzegając flagi Rzeszy zwisające z okien kolejnych mieszkań, w których domownicy manifestowali swoją dumę z tego, że są Niemcami.

Wreszcie ich oczom ukazała się szosa wylotowa, ale tuż obok niej dostrzegli kilku uzbrojonych esesmanów. Nela z całych sił ścisnęła rękę mężczyzny, a gdy dostrzegli wychodzących w ich kierunku mundurowych, nagle wypuściła dłoń Iwa i chwyciła dokumenty.

Kierowca zwolnił, po czym zatrzymał się tuż przed patrolem. Spokojnie zaczął na to, co nastąpi.

Już w pierwszych słowach usłyszeli, że mają wsiąść z podniesionymi rękoma. Później jeden z esesmanów zażądał od nich dokumentów. Nela pośpieszyła ze spełnieniem rozkazu i niemal wcisnęła swoje papiery stojącemu nieopodal funkcjonariuszowi. Ten dokładnie je obejrzał w świetle reflektorów samochodu i bez słowa oddał je właścicielce. Teraz spojrzał w stronę Iwa.

– Dokumenty – zwrócił się twardym, nieco zachrypniętym głosem i przysunął się jeszcze bliżej, po czym zaczął niecierpliwie tupać wysokim butem o bruk.

– Śpieszyłem się do umierającej babki i zapomniałem spakować – skłamał Iwo, czując rozlewające się po ciele zimne dreszcze.

– A panienska zdążyła się przygotować – zauważył przewrotnie.

– Zawsze noszę dokumenty w torebce – odezwała się Nela, czując, że ta kontrola wcale nie pójdzie łatwo. – Tatko jest senatorem i przestrzegał nas, że nasi żołnierze są bardzo skrupulatni i uczciwi, dlatego nie można sprawić im kłopotu, ale mój kuzyn to artysta i nosi głowę w chmurach, więc nic dziwnego, że zapomniał.

– Ojciec dobrze paniencie prawił. Pilnujemy i wypełniamy wszystkie polecenia przełożonych, a z nich dokładnie wynika, co mamy zrobić z ludźmi, którzy nie są w stanie się wylegitymować – odparł esesman i skinął na stojącego dwa kroki od niego zbrojnego.

Ten podniósł karabin i wycelował prosto w głowę Iwa.

– Nie! Błagam, nie! – wykrzyknęła Nela i nie bacząc na zagrożenie, rzuciła się w stronę ukochanego, nie panując nad drzeniem ust. – Błagam! – wydukała znacznie ciszej, głośno przetykając ślinę. – Możemy pojechać do mojego domu, a tam mój ojciec zaświadczy, że zna Iwa – gorączkowo tłumaczyła.

– Każdy obywatel Rzeszy zobowiązany jest nosić przy sobie dokumenty – zaznaczył rozmówca. – I zawsze musi je pokazać do kontroli. Takie jest prawo i wszyscy musimy go przestrzegać. Zatem może po prostu przejrzy pan swoje rzeczy, a gdy znajdą się papiery, to odjadą państwo w swoją stronę – zaproponował nader uprzejmie, pomny na słowa Neli o ojcu senatorze. Znał wielu takich, co to od innych wymagają zachowania zgodnego z literą prawa, ale sami nadużywają swojej władzy, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. Nie miał siły na nocne utarczki. Od wczoraj nie spał, a teraz został wysłany na roгатki, jakby właśnie po to podjął się służby.

Iwo wyczuł szansę i nie zamierzał jej nie wykorzystać. Powoli odwrócił się i wciąż trzymając jedną rękę w górze, drugą sięgnął do bocznej kieszeni marynarki. Każdy jego ruch był bacznie obserwowany przez kilku strażników, ale nie zawahał się ani przez chwilę. Wreszcie wyciągnął spory zwitek banknotów i podał je swojemu rozmówcy.

Ten przez chwilę patrzył w osłupieniu. Tak łatwego zarobku się nie spodziewał. Państwo sownie wynagradzało go za wykonywaną pracę, ale w domu czekała na niego trójka maluchów, a każde w błyskawicznym tempie zdierało buty i wypisywało kupowany litrami atrament, do tego wciąż dopominając się o słodką bułkę na śniadanie. Czasem miał tego wszystkiego dosyć i najchętniej uciekłby gdzieś daleko, dlatego gdy nadarzyła się okazja wyjazdu, nawet się ucieszył. Od miesiąca jednak nie widział swojej żony i pociech, tęsknił więc za nimi i przed zaśnięciem wspominał ich poobiednie harce w domu pod Hanowerem. Wiedział, że parę groszy mogłoby osłodzić rodzinie to przedłużające się rozstanie. Sięgnął więc po pieniądze.

Iwo oddał banknoty i z nadzieją ścisnął drążącą dłoń Neli, która utkwiała wzrok w esesmanie w oczekiwaniu na jego decyzję. Ten jednak w milczeniu rozłożył rulon i przeliczył pieniądze.

– Za dużo to tego nie ma – zauważył, nie kryjąc rozczarowania.

– Mam jeszcze trochę – przypomniała sobie Nela i podała pieniądze podarowane im przez Tomasa. – To wszystko.

– Wygląda to już trochę lepiej, ale nie chciałbym, żeby ktokolwiek sobie pomyślał, że my tu grabimy rodaków – wyjaśniał, zerkając na towarzyszy broni, którzy wodzili wzrokiem za banknotami.

Rechot wypełnił smolistą przestrzeń i oplótł wszystkich mocnym węzłem.

– Skądże znowu – zaprzeczył Iwo. – To tylko w dowód wdzięczności za tak życzliwą rozmowę i wyrozumiałość dla drugiego człowieka, który zbłądził.

Jak na komendę wszyscy ochoczo pokiwali głowami, wyzbywając się resztek wątpliwości. Iwo również się uśmiechnął i wykorzystując nader przyjazną atmosferę, popchnął Nelę, a sam zbliżył się do otwartych drzwi kierowcy. Wreszcie wślizgnął się do auta i wciąż obserwując stojących przed maską esesmanów, uruchomił silnik. Nela przemknęła na drugą stronę samochodu i usiadła na siedzeniu.

Iwo wbił paznokcie w kierownicę i powoli ruszył z miejsca. Esesmani poczęli się rozstępować na boki. Minął już kilku, ale jeden pozostał na środku wąskiego przejazdu wyznaczonego przez zasieki z drutu kolczastego rzuconego na ustawione w poprzek drewniane wozy.

– Co znowu? – szepnął Iwo, nie odrywając wzroku od esesmana.

– Kiedy to się skończy? – równie cicho zapytała Nela i zacisnęła usta, by nie było widać, że drżą.

– Naprawdę nie mam już pieniędzy – dodał Iwo.

– Wiem... – zapewniła. – Ja też już wszystko oddałam.

Mężczyzna znowu podniósł broń, celując nią prosto w czaszkę Iwa. Stał nieruchomy niczym posąg, a jednak wszyscy wiedzieli, że jeden fałszywy ruch i broń wystrzeli.

– Po co wam te bagaże? – spytał barczysty esesman, który zdążył schować do kieszeni otrzymane wcześniej pieniądze.

– Nie wiemy, jak długo zostaniemy na wsi – rzeczowo odparł Iwo.

– Mnie to raczej wygląda na ucieczkę z miasta, a to pachnie kłamstwem! – wybuchnął, po czym szarpnął za klamkę, otworzył drzwi i wyciągnął bagaże.

Kilku esesmanów przerzucało odzież i bieliznę Neli, wywołując na jej twarzy zawstydzenie. Iwo z lufą karabinu przy głowie nie śmiał drgnąć. Chwilę później jego ubrania wylądowały na bruku, a głęboko ukryte dokumenty trafiły wprost do rąk dociekliwego esesmana. Wystarczył jeden cios kolbą karabinu w brzuch, by Iwo zwinął się wpół i wytoczył zza kierownicy. Płacz Neli dotarł do jego uszu, ale kolorowe mroczki przed oczyma nie pozwoliły mu sprawdzić, co się z nią dzieje. Starał się podnieść z kolan, ale kolejny cios wymierzony solidnie skrojoną twardą podeszwą buta skutecznie tych chęci go pozbawił. Kopnięcie w głowę pozbawiło go resztek świadomości.

Rozdział IV



Samotność

– To niebywałe. Ja po prostu w to nie wierzę! – grzmiał Anders, od dziesięciu minut przemierzając salon w tę i z powrotem. – Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego?! Jak?!

Nela siedziała skulona w fotelu, miętoszając chustkę, którą zdjęła z szyi, gdy tylko weszli do domu. Nie sądziła, że przyjdzie jej się tłumaczyć z podjętej próby ucieczki z Iwem, dlatego nie miała przygotowanej żadnej wymówki. Wiedziała jednak, że ojciec już dostatecznie dużo dowiedział się od esesmanów, którzy aresztowali ją i Iwa. Któryś z nich słyszał o jej ojcu senatorze, dlatego pospieszył z odszukaniem go i przekazaniem mu krnąbrnej latorośli.

Gdy Nela czekała na przyjazd ojca, wciąż patrzyła w oczy Iwa. Wiedziała, że ich plan ucieczki spalił na panewce, a dalszy los wisi na włosku. Miała jednak nadzieję, że zdoła przebłagać ojca, by wstawił się za chłopakiem. Kiedy więc go zobaczyła, natychmiast poczęła tłumaczyć, że tylko chcieli jechać na wieś, by się upewnić, że rodzinie Iwa nic nie grozi. Jednak Anders Witt nie miał zamiaru słuchać wyjaśnień. Sam fakt, że musiał się stawić, by odebrać córkę z posterunku, uwłaczał jego godności i poczuciu nieomylności. Nela widziała jego przekrwione z niewyspania oczy, a ciężki oddech świadczył o tym, że w domu czeka na nią długa przeprawa. Dopóki jednak była z Iwem, wierzyła, że mają szansę.

– Takiej niefrasobliwości nie spodziewałbym się nawet po Tomasie – sarknął, spoglądając na najmłodszego syna, który zwabiony hałasem zdążył się zwlec z łóżka i zejść na dół, by sprawdzić, kto wszczyna awantury skoro świt.

– Anders... – wtrąciła się Ana Witt, by nieco ostudzić poczynania męża. – Usiądź i zaraz napijesz się herbatki rumiankowej. Tomas, idź rozpalić ogień i zagotuj

wodę.

Chłopak poderwał się na równe nogi. Zdążył się nieco zorientować w sytuacji i na rękę była mu ucieczka spod ojcowskiego topora.

– Raczej daj mi kieliszek czegoś mocniejszego, zanim szlag mnie trafi! – perorował Witt, ani na chwilę się nie zatrzymując. – Czy ty choć przez chwilę pomyślałaś o swojej reputacji? O naszej reputacji? – Zatrzymał się na wprost córki i spojrzał na nią karcącym wzrokiem. – Prawie jesteś mężatką i włóczysz się po nocy z obcym człowiekiem, który jak się okazuje, jest Polakiem! – Podniósł obydwie dłonie, jakby w tej chwili tylko jakaś siła wyższa mogła sprawić, że pojąłby to wszystko, co się wydarzyło. – Mam tylko nadzieję, że ani ty, ani twój braciszek nie mieliście o tym pojęcia – wysyczał przez zęby, nachylając się nad dziewczyną, która jeszcze bardziej się skuliła.

– Anders, przecież widzisz, że Nela jeszcze trzęsie się ze strachu. – Ana Witt wzięła córkę w obronę, co nieco zaskoczyło latorośl. – Przecież gdyby wiedziała, co to za człowiek, to na pewno by się z nim nie zadawała. Dobrze wychowaliśmy nasze dziecko i nie mam wątpliwości, że nigdy by nas nie zawiodła. – Z nadzieją spojrzała na Nelę, której trudno było zapanować nad emocjami.

– Mam nadzieję, że Wilhelm o niczym się nie dowie, bo tylko mi tego brakowało, żebym musiał tłumaczyć się przed nim z twojego głupiego zachowania – sarknął Witt i pogroził palcem, jak wtedy, gdy Nela miała kilka lat i oświadczyła, że w przyszłości zostanie aktorką. – Nie rozumiem, jak mogłaś być tak naiwna... Czy ty w ogóle go znasz? Co ty o nim wiesz? – Anders przemierzał salon wzdłuż i w szerz. – I jeszcze kłamał, że zgubił dokumenty, podczas gdy miał je w bagażu. Polska szuja! Czego tu się można było spodziewać. Wykorzystać cię chciał i tyle.

– Biedne, naiwne dziecko. – Matka westchnęła, patrząc na córkę z politowaniem.

Zawsze wydawała jej się mało zaradna. Ona w jej wieku miała już męża i robiła wszystko, by począć pierworodnego. Los trochę z niej drwił i kazał jej cierpliwie czekać, znosząc męskie harce w ich sypialni, które przez cztery lata nie przynosiły oczekiwanych efektów. Ilez łez wylała, gdy okazywało się, że i tym razem jej poświęcenie nie przyniosło wyczekiwanych efektów. Z każdym kolejnym miesiącem wykazywała mniejsze zainteresowanie amatorami i kiedy właściwie zbliżenie z mężem stało się przykrym obowiązkiem, okazało się, że spodziewa się

potomka. Jej radość i poczucie pewności, że jest wartościową kobietą, sprawiły, że obudziła się z letargu i zamiast odpoczywać i pielęgnować budzące się w niej życie, wpadła w wir organizacji spotkań towarzyskich, wyjść do kina i teatru, zanim jeszcze ciąża stałaby się widoczna. To był błąd. Poczucie winy sprawiło, że po stracie dziecka niemal przez rok nie opuszczała domu i swojego pokoju. Każdego dnia czuła ból rozrywający jej serce na tysiące kawałeczków.

A kiedy pewnego dnia odwiedziła ją przyjaciółka i szepnęła o tym, że ostatnio nad wyraz często widuje Andersa w towarzystwie jednej aktoreczki, poczuła ukłucie zazdrości i chęć walki o własne dobro. Kilka dni później wyszła na spacer, zajrzała do modystki i pozwoliła sobie ułożyć włosy przez służącą, a potem kazała przygotować wystawną kolację dla siebie i męża. Dziewięć miesięcy później wspólnie świętowali narodziny pierworodnego.

Dlatego też wiedziała, że nie może Neli pozostawić samej sobie i musi wziąć na siebie ciężar poszukiwań kandydata godnego ręki swojej jedynaczki. Wilhelm był idealną partią, dlatego zrobiła wszystko, by młodzi się poznali i w sobie zakochali. Teraz zamierzała doprowadzić do ich ślubu. Wówczas poczuje się spełnioną matką, dla której rodzina stanowi najwyższe dobro i dla której poświęciła swoją miłość do malarstwa.

Tomas na palcach wszedł do salonu i postawił filiżankę na okrągłym stoliku. Unosząca się nad białą filiżanką para przemycała delikatny aromat kwiatów rumianku zerwanych na łąkach Wybrzeża.

Anders ciężko opadł na fotel ustawiony nieopodal małego stolika i sięgnął po cukier. Nie wypiłby niczego, co nie miałyby w sobie choć odrobiny słodczy.

– A tobie nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić tego bęcwała? – jęknął, patrząc na syna. – Taki wstyd... – Schował twarz w dłoniach i przez chwilę milczał.

W salonie zdążyło się zrobić zupełnie jasno, a woalowa firanka niekiedy falowała wznoszona delikatnymi podmuchami wrześniowego wiatru. Na zewnątrz budziło się życie i ruch był znacznie mniejszy niż zwykle, zamiast stukotu końskich kopyt słychać było toczące się po bruku wojskowe ciężarówki obciążone do granic możliwości sprzętem i ludźmi. Od strony Westerplatte wciąż dochodziły odgłosy walk. Zamiast tramwajów na ulicach pojawiły się rowery, ale tylko nieliczni spieszyli do pracy, nie mając pewności, w jakim stanie zastaną warsztat czy sklep. Wszystko to nie pozwalało mieszkańcom Wolnego Miasta Gdańska zapomnieć o wojennej rzeczywistości.

– Daj już spokój – odezwała się Ana, jak zwykle biorąc w obronę swego ulubieńca. – Skąd mógł wiedzieć. Tamten łągał, a Tomas jest zbyt kulturalny, by brać kogoś na spytki.

Tymczasem Tomas przygryzł dolną wargę i w milczeniu obserwował rozmawiających rodziców. Od czasu do czasu zerkał na siostrę i nie miał wątpliwości, że dziewczyna drży. W pomieszczeniu nie było zimno, więc to nie dlatego jej policzki pobladyły, a zsiniałe usta drżały.

– Oby to nie dotarło do Forstera – powiedział Witt i pokręcił głową zrezygnowany.

– Albert nie ma teraz głowy, żeby zajmować się takimi drobiazgami – oznajmiła Ana i podeszła do męża, by podać mu napar. – Twoja pozycja jest tak silna, że nawet gdyby coś się komuś wymsknęło, to niewielu w to uwierzy, a jeszcze mniej będzie o tym pamiętało – dodała, wciąż stojąc przy mężu, by się upewnić, że wypije herbatkę ziołową do ostatniej kropli. – Nelu, idź do pokoju i spróbuj się zdrzemnąć – poleciła córce, jednocześnie skinęła na syna, by on również opuścił salon.

Żadne z dzieci nie oponowało. Dopiero za progiem salonu odetchnęli, ale obydwójgu brakowało sił, by zacząć rozmowę. Człapiąc, wdrapali się po schodach i wreszcie weszli do pokoju Neli.

– Co teraz będzie z Iwem? – zaszlochała dziewczyna, odwróciwszy się do brata. – Gdzie on jest? – dociekała, a czający się w jej oczach strach sprawił, że Tomas objął ją ramieniem.

Dziewczyna utonęła w fali smutku, który dotychczas starała się ukryć przed rodzicami. Łudziła się, że nie zdołali domyślić się prawdy.

– Nie mam pojęcia... – Westchnął. – Mam nadzieję, że przesłuchają go i wypuszczą. W końcu nie zrobił nic złego. Każdy może chcieć wyjechać z miasta.

– Muszę mu pomóc.

Brat podał jej wyjętą z kieszeni spodni chusteczkę i zaczął, aż siostra zetrze z twarzy łzy. Później Nela ciężko opadła na zaścielone łóżko i wpatrywała się w swoje buty, które zdążyły się ukurzyć, gdy tak chodziła w te i we w te obok posterunku w oczekiwaniu na przybycie ojca.

– Przede wszystkim nie możesz się przyznać, że coś was łączy – ostrzegł Tomas.

– Dlaczego? – obruszyła się i wbiła wzrok w brata. – Może gdyby tatko wiedział...

– Myślisz, że by ci pogratulował wyboru? – przerwał jej brat. – Po wybuchu wojny będzie jeszcze gorzej... – Zawiesił głos, nie chcąc jeszcze bardziej dołować dziewczyny. – Musisz przemilczeć to, co was łączy, i poszukać możliwości wyjazdu z miasta razem z Iwem.

– Cały czas o tym myślę.

– Odpocznij i ochłoń trochę. Później zaczniemy działać, ale teraz ważne jest zachowanie pozorów.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo mam tego dość – przyznała, kładąc się na łóżku. – Mam nadzieję, że nie przyjdzie mi wybierać między Iwem a wami. Ty mnie rozumiesz, prawda? – Spojrzała na brata. – Pomożesz mi?

– Zawsze – obiecał i pocałował ją w czoło, a później nakrył grubym pledem w czerwono-czarną kratę i wyszedł.

Nela zamknęła powieki. Wciąż powracał do niej obraz Iwa wpychanego przez esesmana do auta. Chłopak patrzył jej prosto w oczy, a jego usta powtarzały dwa słowa, które teraz odtwarzała w pamięci niczym mantrę. Sama nie śmiała przy obcych powiedzieć mu, że też go kocha. Jak bardzo tego żałowała. Wtedy jednak była zbyt zaskoczona obrotem sytuacji. Nie miała pojęcia, że Iwo zostanie potraktowany jak przestępca.

Podniosła się i krążyła w tę i z powrotem. Na środku pokoju stał jej bagaż. Tomas go wcześniej przyniósł, gdy zobaczył, że stoi przy schodach. Powoli przykucnęła i otworzyła zamki, po czym zajrzała do środka. Przez chwilę patrzyła na pomięte ubrania. Podniosła leżącą na wierzchu bluzkę i strzepnęła, by wyprostować zagniecenia. Później wzrokiem odszukała szafę i wstała, by zawiesić w niej bluzkę. Gdy wyjęła pusty wieszak, zastygła.

Przypomniała sobie chwilę, gdy wybierała ubrania, a potem pełna nadziei je pakowała. Teraz miała wrażenie, jakby jej ciało i dusza wróciły z krwawej walki o przyszłość, którą przegrała. Przycisnęła bluzkę do twarzy i nie panując nad bólem, zaszlochała. Wreszcie osunęła się na podłogę i wciąż łkając, skryła twarz w dłoniach. Tak bardzo teraz potrzebowała Iwa, jego spokoju i otuchy. Kilka godzin temu wierzyła, że ich uczucie ma szansę rozwinąć skrzydła i ponieść ich hen, daleko stąd.

Teraz leżała, przyciskając policzek do drewnianej podłogi i marząc o tym, by znów dane jej było poczuć jego zapach i skryć się w jego opiekuńczych ramionach.

To uświadomiło jej, że w każdej chwili powinna być gotowa do podróży. Poderwała się z miejsca i starannie złożyła bluzkę, a potem schowała ją do bagażu. Zamknęła walizkę i wepchnęła ją pod łóżko.

Wślizgnęła się pod koc, by zaznać chwili ukojenia. Sen jeszcze długo nie przychodził, ale kiedy wreszcie nadszedł, jej myśli pozostały przy ukochanym. We śnie biegli po łące, trzymając się za ręce i śmiejąc się za każdym razem, gdy któreś się potknęło. Mogłaby tak śnić w nieskończoność.

– Nela...! Nela...! – Głos matki wkradł się do jej snu i nie chciał się uciszyć. – Nela! Już dawno minęło południe. Wstań i się trochę odśwież, bo masz gościa.

Dziewczyna przetarła oczy i usiadła na łóżku. Czyżby jej nadzieje miały się spełnić? Może Iwo przebłagał jej rodziców i zdołał im wyjaśnić, jak bardzo mu na niej zależy? Może ojciec ochłonął po porannej awanturze i już jej wybaczył tę wpadkę?

– Kto przyszedł? – zagaiła, nie śmiać bezpośrednio zapytać.

– A jak myślisz, kochanie? Komu na tobie zależy najbardziej na świecie?

Nela wyskoczyła z łóżka i dopadła do szafy, by wyjąć jedną z letnich sukienek. Wybrała żółtą w drobne czarne kropki. Czuła się w niej wyjątkowo dobrze, bo odcięcie w tali podkreślało jej szczupłą sylwetkę, zaś rozkloszowane krótkie rękawy falowały przy każdym ruchu. Chciała pięknie wyglądać. Nie tracąc czasu, zdjęła sukienkę z wieszaka i zarzuciła ją na parawan. Najpierw chciała skorzystać z toalety i doprowadzić do porządku swoje włosy.

– Zejdź do salonu, jak będziesz gotowa – dodała matka, wychodząc.

Nela ruszyła w ślad za nią, ale nie zeszła na dół, tylko skręciła do łazienki. Kilka minut później wyszła z niej odświeżona i pachnąca mydłem. Wskoczyła w sukienkę i dyskretnie umalowała usta. Rozczesała włosy i podpięła je kilkoma szpilkami. Bez zbędnej zwłoki zbiegła po schodach i weszła do salonu.

– Nareszcie jesteś – odezwał się ojciec. – Wilhelm już nie mógł się ciebie doczekać.

– Witaj – powiedział jej narzeczony, po czym wstał z fotela i podszedł, by się z nią przywitać. – Pięknie wyglądasz! – stwierdził i pocałował jej dłoń.

Nela wstrzymała oddech, chcąc wymazać z pamięci nieprzyjemny dotyk jego ust. Rozlewająca się po jej ciele wściekłość na samą siebie przyprawiła ją o dreszcze. Nie rozumiała, jak mogła być tak naiwna.

– To dzisiaj byłby ten wielki dzień – zauważyła Ana Witt z błogim uśmiechem na twarzy.

– Jednak sprawy państwowe okazały się ważniejsze od osobistych i nawet się nie złoszczę – wyjaśnił Wilhelm, prowadząc narzeczoną w stronę wolnego fotela. – Nasza miłość tylko na tym zyska, ale obiecuję zrobić wszystko, byśmy stanęli na ślubnym kobiercu – tłumaczył, spoglądając to na Andersa, to znów na Anę. – Przrzekam, że jeszcze będziemy szczęśliwi. – Tym razem przeniósł wzrok na Nelę, która siedziała jak na szpilkach i nie potrafiła myśleć o niczym innym jak o tym, że chciałyby stąd uciec.

– Jak dobrze, że mój przyszły zięć rozumie, czym jest obowiązek wobec ojczyzny, i stawia go ponad życie osobiste – podchwycił Anders Witt. – Już niebawem przyjdzie czas radości i wtedy będziemy podwójnie świętować: zwycięstwo Rzeszy i wasz ślub.

– Idzie nam całkiem dobrze. – Wilhelm uśmiechnął się, po czym sięgnął po kieliszek z winem. – Za Hitlera i jego odważne działania!

Wittowie dołączyli do toastu, Tomas niechętnie podniósł naczynie, ale słowem się nie odezwał. Tylko Nela wciąż siedziała w milczeniu, jakby ktoś wyssał z niej całą energię. Choć na twarzach obecnych malowała się radość, ona sama czuła ucisk na żołądku, który z każdą chwilą stawał się coraz mocniejszy. Nie kontrolowała zaciskających się pięści. Dopiero, gdy poczuła ból w dłoniach, rozprostowała je i poczęła rozcierać. Nie słuchała kolejno wznoszonych toastów, a wszelkie pytania zbywała półsłówkami.

– Nela naprawdę się przejęła tym odwołanym ślubem – zaświadczyła matka, widząc rosnącą frustrację Wilhelma. – Wiesz, jak kobiety emocjonalnie podchodzą do tych spraw – starała się ratować sytuację, nie spuszczać wzroku z przyszłego zięcia. – Niebawem ochłonie.

– Rozumiem, też bardzo cierpię, że na razie musimy odłożyć nasze plany – przyznał. – Ale wiem, że akcja wyłapywania polskich szuj idzie naprawdę sprawnie, więc jestem przekonany, że wraz z nadejściem nowego roku nareszcie będziemy mogli się poczuć jak u siebie.

– To prawda. – Witt z uznaniem pokiwał głową. – Victoriaschule^[3] zapelnia się w błyskawicznym tempie.

– Nasze służby wywiadowcze świetnie przygotowały się do tej akcji – pochwalił Meyer. – Gotowe listy pomogły w błyskawicznym namierzeniu największych wrogów Rzeszy. Teraz dokładnie wiadomo, gdzie mieszkają, i łatwo ich odnaleźć.

Nela nagle ocknęła się z letargu. Ta informacja wydała jej się bardzo ważna. Czyżby Iwo też znalazł się na jakiejś liście? Zapewne ze względu na wykonywany zawód nie należał do pupili niemieckich władz.

– Tam trafiają wszyscy aresztowani? – spytała wreszcie, patrząc na Wilhelma.
Mężczyzna pokiwał głową.

– Mury szkoły są na tyle grube, że wyciszą ich jazgot, a wielkość budynku pozwoli zmieścić wszystkich bydłaków, którym zachciało się nam dopiec.

– Ale oni nie robią niczego złego! – zaoponowała nad wyraz szybko i głośno, co przyciągnęło wzrok wszystkich zebranych.

Nela zrobiła kilka głębszych wdechów, usiłując zapanować nad wzbierającą w niej złością.

– Gdyby byli niewinni, nie siedzieliby w więzieniu – zauważyła Ana.

– Właśnie, bo jak nazwać tych, co wczoraj strzelali do naszych chłopców, czy próbowali obrzucić ich granatami? – wtrącił ojciec.

– Ale oni tylko się bronili – usiłowała wyjaśnić.

– Mogli od razu się poddać i nie narażać życia niewinnych ludzi – uniósł się Wilhelm.

– Ale to przecież my wywołaliśmy ten konflikt – zauważyła i poderwała się z miejsca. – To my wciąż atakujemy składnicę broni na Westerplatte – dodała i podeszła do okna, a potem odsłoniła firankę i pokazała unoszące się w oddali chmury dymu wymieszanego z pyłem po wybuchach granatów.

– Zasłoń to okno! – grzmiał ojciec. – Chcesz, żeby wystrzelali nas jak kaczkę?

– Kto? – spytała zaskoczona.

– Polscy bandyci, od których wciąż jeszcze roi się w mieście – wyjaśnił Witt.

– Jak szczury puciekali do piwnic, ale i tam ich znajdziemy i w świetle słońca pokażemy im, gdzie jest ich miejsce – wyjaśnił Meyer, który podszedł i zaciągnął zasłonkę, po czym objął ramieniem Nelę. – Ty chyba naprawdę źle znosisz to całe zamieszanie – powiedział na tyle głośno, by wszyscy ich usłyszeli. – Odprowadzę ją

do pokoju, bo jeszcze biedaczka nabawi się jakiejś choroby – zaoferował dobrodusznie.

Wittowie z wyrozumiałością pokiwali głowami. Meyer chwycił narzeczoną pod ramię i wyprowadził z salonu. Kiedy podeszli do schodów, zerknął za siebie i upewniwszy się, że nikt na nich nie patrzy, szarpnął dziewczynę i zmusił, by na niego spojrzała.

– Co za cyrki odstawiasz? – warknął, świdrując ją wzrokiem. – Od kiedy to się interesujesz polityką? Nawet nie myśl, że będziesz wygłaszać te swoje banialuki na spotkaniach z moimi przyjaciółmi! Skup się na tym, żeby dobrze wyglądać, bo ostatnio nawet z tym masz problem!

– Daj mi spokój – odgryzła się, próbując wyrwać ramię.

– Nawet o tym nie myśl! – Pogroził jej palcem i uśmiechnął się szyderczo. – Twoi rodzice mnie uwielbiają i wiedzą, że lepszej partii nie znajdziesz, więc bądź grzeczna i trzymaj buzię na kłódkę, a już niebawem przeniesiesz się do mojej willi i będziesz panią Meyer.

– Wolałabym umrzeć! – warknęła, a jej oczy zwięziły się niczym dwie szparki.

– Laleczko, co ty pleciesz? – spytał z politowaniem. – Będziemy żyli razem długo i szczęśliwie... – Zaśmiał się i musnął ustami jej rozpalone od emocji czoło.

– Nienawidzę cię! – jęknęła i uciekła na górę.

– Jesteś mym największym szczęściem! – krzyknął za nią, licząc na to, że jego słowa dotrą do uszu wszystkich domowników.

Nela wbiegła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami, po czym przekręciła klucz i rzuciła się na łóżko. Miała wrażenie, że na jej szyi znalazła się pętla, która z każdą chwilą coraz mocniej się zaciska, a jej brakuje sił, by się uwolnić. Leżała na łóżku, a gorzkie łzy malowały wzory na śnieżnobiałej poduszce.

Otuliła się swoimi ramionami i zwinęła w kłębek. Jak miała dalej żyć? Jak codziennie wstawać, nie wiedząc, gdzie jest i co robi Iwo? Jak miała rozmawiać z rodzicami o Wilhelmie, którego szczerze nienawidziła? Jak miała zapomnieć o czekającym ją ślubie, który napawał ją lękiem i odrazą? Czy zdołają z Tomaszem wymyślić jakiś plan, który pozwoli jej odnaleźć Iwa? Bo tylko tego pragnęła.

Nela złapała pierzynę i wcisnęła w nią twarz, po czym zebrała w sobie wszystkie siły i poczęła wyc jak zranione zwierzę, które nie jest w stanie wydostać się z wnyków. Gdy już opadła z sił, łzy bezradności spływały po jej policzkach, a usta

wykrzywione grymasem wewnętrznego bólu nieprzerwanie drżały. Było dość wcześnie, ale wykończona nocną eskapadą, nie miała na nic siły. Leżała, myślami wciąż wracając do ostatnich chwil spędzonych z Iwem. W końcu zmordowana zapadła w niespokojny sen.

Rano, choć zeszła na śniadanie, to jedynie na wyraźne żądanie matki zjadła kilka kęsów chleba i odrobinę jajecznicy. Kamień na żołądku nie zelżał ani trochę. Później poczłapała do pokoju i pod pozorem bólu brzucha do obiadu leżała w łóżku. W końcu Tomas pojawił się pod drzwiami jej sypialni i począł nalegać, by zeszła na posiłek.

Odgrzana pieczeń z kaczki wcale jej nie smakowała, żuła więc bez apetytu.

– Wiem, że powinnam opróżnić piwnicę i wyrzucić całe to jedzenie przygotowane na wesele, ale trochę się obawiam, że chwilowo może być trudność ze zdobyciem świeżych produktów – powiedziała matka, wodząc wzrokiem po suto zastawionym stole. – Kolej stanęła, ludzie wystraszeni siedzą na wsi, więc i handel na razie utknął.

– Nie marudź, Ano – zganiał ją mąż. – Trzeba się przemęczyć chwilę, żeby potem było lepiej.

– Wiem, wiem – zapewniła pośpiesznie i podsunęła mężowi kolejny kawałek kaczki z okazałą porcją buraczków.

Znowu zapadła niezręczna cisza. Nela rozgrzebała widelcem resztę mięsa, nie mogąc wcisnąć w siebie ani jednego kawałka więcej. Jej długie włosy opadały, osłaniając bladą twarz.

– Może wyjdiesz do ogrodu? – zaproponowała matka, nie mogąc patrzeć na zamartwiającą się dziewczynę. – Usiądziesz w altance i poddychasz świeżym powietrzem.

– Świeżym... – powtórzyła Nela. – Przesyconym dymem i nasiąkniętym łzami...

– Co w ciebie wstąpiło? – Oburzenie Any zastąpiło dotychczasowe współczucie. – Każdy sobie radzi, jak może, a ty szlochasz, jakbyś co najmniej straciła kogoś bliskiego. Wilhelm jest i obiecał, że cię nie opuści. Ślub na pewno się odbędzie.

Nela odłożyła sztućce i podniosła się z miejsca, by wyjść z jadalni.

– A kto posprząta po obiedzie? – zapytała matka.

Nela zebrała puste naczynia i pierwszą partię wyniosła do kuchni, uświadamiając sobie, że nikt ich tam nie pozmywa. Nalała więc wody do czajnika i ściągnęła żeliwną fajerkę z kuchni, a potem ustawiła go do podgrzania. W tym czasie pozgarniała resztki jedzenia i przełożyła je do niewielkiej miski, którą kucharka wystawiała przed dom, by nakarmić bezdomne koty pałętające się po ogrodzie.

Później Nela wróciła do jadalni po resztę naczyń.

– Kochanie, zrób nam kawy – odezwał się Anders, patrząc na córkę.

Nela przytaknęła i z pomocą Tomasa wyniosła pozostałe naczynia po obiedzie.

Kiedy znaleźli się w kuchni sami, jej brat zapytał:

– Jak się czujesz?

– Beznadziejnie... Oddałabym wszystko, żeby tylko dowiedzieć się, gdzie teraz jest Iwo.

– Wczoraj Wilhelm wspomniał o Victoriaschule, więc dzisiaj poszedłem na miasto, żeby trochę popytać i zorientować się w sytuacji – zaczął, ścisząc głos i co rusz spoglądając na drzwi, by się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Udało ci się coś ustalić? – Rozpromieniona Nela podeszła bliżej.

– Na razie niewiele, ale rzeczywiście wszystkich jeńców zabierają właśnie tam.

– I co potem? – spytała i wyczekująco patrzyła na brata.

– Tam są przesłuchiwanie i sprawdzane jest ich znaczenie dla Rzeszy.

– Nie rozumiem.

– Słyszałaś o liście, na której znalazł się każdy, kto w jakiś sposób mógłby zagrozić naszemu krajowi?

– Proszę cię, nawet nie kończ... – Schowała twarz w ramionach brata. – Przecież Iwo nikomu z nas nie zagraża, dlaczego więc tak długo go trzymają?

– Nie mam pojęcia... A może go wypuścili?

– I myślisz, że nie szukałby z nami kontaktu?

– Ojciec pewnie nieźle go wystraszył.

Nela doskonale pamiętała pokrzykiwania ojca na Iwa, zanim go zabrali. Senator Witt nie przebierał w słowach, złorzecząc chłopakowi, który naraził reputację jego córki, ale również wystawił jego dobre imię na szwank.

– Iwo na pewno dałby mi znać – zaręczyła.

– W takim razie musimy sprawdzić, czy jeszcze tam jest – zaproponował chłopak.

– Tylko jak to zrobić?

– Rozejrzę się. Może uda mi się zagadać z jakimś strażnikiem.

– Tylko bądź ostrożny, bo gdyby ojciec się o tym dowiedział, to nie skończyłoby się na zwykłych połajankach.

Rozdział V



Noce i dnie

Skowyt dobywający się z dziesiątek gardeł wirował niczym drobinki kurzu poddające się podmuchom wiatru. Zbroczony krwią dziedziniec od kilku dni był przepełniony śmiercią, a nie życiem. Od lat rozbrzmiewał śmiechem i krzykami dzieci. To tutaj młode dziewczęta poznawały tajniki arytmetyki, historii i geografii, by później samodzielnie kształcić kolejne pokolenia młodzieży lub rozwijać się pod okiem znakomitych profesorów na uczelniach całej Europy. I niespodziewanie 1 września 1939 duch nauki drzemający w każdym zakamarku trzypiętrowego budynku szkoły dla dziewcząt przy Holzgasse 24 uleciał przegnany na cztery wiatry przez nazistowską władzę. Nikt nie śmiał sprzeciwić się jej woli. Skromna Wiedza kiwnęła palcem na swą najlepszą przyjaciółkę – Naukę, by razem odeszły stąd i nie patrzyły na to, co człowiek zgotował drugiemu człowiekowi.

Iwo spróbował przymknąć powieki, bo słońce oślepiało go, a boląca głowa ciążyła. Otarł dłonią twarz, czując ściekającą po czole krew. Oparł się o innego jęczącego więźnia i spróbował przypomnieć sobie, ile razy otrzymał, przechodząc przez bramę prowadzącą na dziedziniec. Esesmani fundowali nowo osadzonym krwawy chrzest.

Choć słońce zaczęło się chylić ku horyzontowi, to od rana nikt nie podał im nawet kubka wody. Kobiety leżały, płacząc nad swoim losem. Gdzieś na uboczu aresztowany ksiądz udzielał sakramentu pokuty. Niektórzy zdołali przemycić różańce, a teraz szeptali modlitwy. Byli i tacy, których brocząca z ran krew pozbawiła przytomności i teraz leżeli jak nieżywi, bezwiednie czekając na swój koniec.

Iwo złożył marynarkę i wcisnął ją sobie pod głowę. Choć wcześniej ją zdjął, bo na dworze panował upał, to szczęściem nie zgubił jej w tłumie i teraz mógł nieco ulżyć swej niewygodzie. Czuł głód, a narastające pragnienie sklejało mu usta. Choć na chwilę spróbował przymknąć powieki. Jak bardzo żałował, że nie zdołał wydostać się z tego piekielnego miasta. Gdyby tylko uciekł wtedy, gdy przestrzegał go kierownik, mógłby spróbować zatelefonować do Neli i zorganizować jej podróż do swojej wsi. Miał świadomość, że zaprzepaścił tę szansę.

– Panie, posuniesz się ździebełko? – odezwał się leżący tuż obok starszy mężczyzna. – Chyba mam złamany obojczyk, bo boli jak diabli – wyjaśnił.

– Może jakoś to obwiązać? – zaproponował Iwo.

– Już mi pomógł jakiś lekarz, który widział, co mi skurczybyki zrobili, gdy znaleźli na liście moje nazwisko. Ponoć polskich urzędników nienawidzą ponad wszystkich innych więźniów.

– A co to za lista?

– Niepożądanego elementu. Obyś się pan na niej nie znalazł...

Iwo przesunął się odrobinę, ustępując miejsca pojękującemu urzędnikowi, i zaczął się zastanawiać, czy ktoś taki jak on mógł się znaleźć na wspomnianej liście. Przecież nie prowadził działalności wywrotowej przeciwko III Rzeszy. Nie szpiegował. Tylko wypełniał swoje obowiązki celnika. Czy miał się o co martwić?

Niespodziewany hałas rozproszył jego myśli. Uniósł z trudem ciężkie powieki i się rozejrzał. Odgłosy wtaczanej na dziedziniec beczki wzbudziły gromkie wiwaty i brawa. Najbliżej znajdujący się więźniowie zdążyli poderwać się z miejsca i w jednej chwili stali przy beczce, z nadzieją patrząc na jej zawartość. Kilka blaszanych garnuszków poczęło zanurzać się w wodzie i wędrować do spragnionych ludzi. Spieczone wargi łapczywie chwyciły krople wody, ale zanim zdołały ugasić pragnienie, kubek zniknął w rękach kolejnych więźniów. Z każdą chwilą tłum wokół beczki gęstniał. Ci, którzy zdążyli choć odrobinę zwilżyć usta, nie mogli się odsunąć, bo napierali na nich pozostali. Na placu zapanował chaos. Krzyki i rzewne nawoływania o kilka kropli wody zawisły niczym czarne chmury, które mógłby przegonić tylko wiatr.

Wystrzał krótkich serii zmusił wszystkich do położenia się na ziemi. Kilka kubków wyleciało z rąk, a woda popłynęła, wsiąkając w ziemię. Kilkadziesiąt

spragnionych ust poczęło ją wysysać, nie dając jej do końca spłynąć.

– Polskie bydło, że też takie ma czelność chodzić po ziemi! – szydził esesman, który chwilę wcześniej wystrzelił serię z broni.

– Zobacz, jak chłepcą... – dołączył drugi. – Tylko nie tak głośno, bo świnię wystraszy! – dodał, zaśmiewając się do rozpuku.

Kilku innych strażników zwabionych wystrzałami wybiegło z budynku, by sprawdzić, czy strażnicy nie potrzebują wsparcia. Dostrzegłszy rozbawienie na twarzach mundurowych, przez chwilę obserwowali czołgających się po ziemi więźniów usiłujących złowić ostatnie krople drogocennej wody, po czym wybuchli gromkim śmiechem.

Ludzie nie wytrzymali długo, wiedząc, że niemal na wyciągnięcie ręki znajduje się woda, i chyłkiem zbliżali się do beczki, by się napić. Niektórym udało się odnaleźć kubki. Z tym większą energią przeciskali się do beczki. Teraz już robili to nieco ostrożniej, pozwalając odsunąć się tym, którzy zdążyli ugasić pragnienie.

– Patrz, te ścierwa można wytresować – rzucił jeden z esesmanów zwabionych hałasem.

– Trzeba tylko użyć właściwego języka – dodał inny i wszyscy ryknęli śmiechem.

Iwo odczekał na swoją kolej grubo ponad kwadrans, a gdy zaczerpnął wody, miał wrażenie, że jego ślinianki oszalały i dosłownie zalały go śliną. To, przynajmniej pozornie, pozwoliło mu uśmierzyć głód. Nie miał pewności, czy dzisiaj dostaną coś do jedzenia.

Gdy nadszedł wieczór, zaczęło go pilić. Od rana się nie załatwiał. Wypicie wody okazało się ryzykowne, ale wtedy w ogóle o tym nie pomyślał. Teraz rozejrzał się w poszukiwaniu ustępu, lecz nigdzie nie dostrzegł wychodka. Zamiast tego zauważył płytko wygrzebaną dziurę w ziemi, wokół której stało kilkanaście osób. Kobiety opuszczały sukienki albo kucaly osłonięte swetrami innych więźniarek. Mężczyźni ustawili się w innej kolejce, po drugiej stronie placu, i kolejno oddawali mocz, jednak co rusz pojawiał się któryś z esesmanów i głośno krzycząc oraz złorzecząc, bił więźniów po plecach. Niejeden z nich wrócił na swoje miejsce z lżejszym pęcherzem i z nowymi siniakami.

Iwo nakrył się marynarką i wetknął dłoń pod głowę. Później nieco przysunął się do swojego sąsiada.

– Myślisz pan, że nas stąd wypuszczą? – szepnął wąsaty jegomość.

– Nie wiem – odparł lakonicznie Iwo, oszczędzając siły na później.

– Panie, świat stanął na głowie! Rano wywlekli mnie z domu, choć obiecałem, że sam dobrowolnie z nimi pójdę. Szturchali mnie przez całą drogę. A ja nic im nie zrobiłem. Listy i paczki nosiłem. Nawet nie dotarłem do pracy, choć wiem, że nasi długo bronili poczty. A gdy skręciliśmy w Holzgasse, wtedy zaroilo się od kobiet trzymających maleńkie dzieci na rękach. Starsze pałętały się blisko matek wykrzykujących, że Polacy to świnię... – pisnął i rozejrzał się, by mieć pewność, że żaden esesman ich nie usłyszy. – Szliśmy z wysoko podniesionymi rękoma, a one pluły na nas i kazały swoim dzieciom robić to samo. Do tej pory czuję spływającą po twarzy flegmę.

Iwo głośno westchnął.

– Cośmy im zrobili, że są tak podli?

– Śpijta już, chłopcy – ktoś ich zganił, ale obydwaj wiedzieli, że ma rację i nie mówi tego w złości, tylko z troski.

Iwo przekręcił się na bok i przymknął powieki. Sen nie nadchodził jeszcze długo. Czuł dreszcze wstrząsające jego ciałem. Od ziemi ciągnęło i było mu niewygodnie. Co chwilę się budził, próbując znaleźć lepszą pozycję. Kilka razy ktoś na niego sarknął, by się wreszcie przestał wiercić. Gdy tylko zaczęło świtać, Iwo przetarł oczy i ostrożnie usiadł.

Od wczoraj przybyło więźniów. Powoli zaczynał się ruch. Jedni wstawali za potrzebą, a po powrocie na nowo kładli się na ziemi. Drudzy siedzieli, rozglądając się, jakby nie wiedzieli, gdzie są i co się wokół nich dzieje. Byli też tacy, którzy usiłowali się dowiedzieć czegoś bardziej konkretnego o swoim położeniu.

Wreszcie duże drzwi szkoły otworzyły się i wypadło z nich kilkunastu esesmanów, krzycząc i poszturchując tych, którzy siedzieli najbliżej wyjścia.

– Wszyscy przybyli wczoraj ustawić się pod wschodnią ścianą – zakomenderował krępy rudzielec, pokazując więźniom, dokąd mają się kierować.

– Szybciej, szybciej! – poganiał znacznie szczuplejszy esesman, kolbą zachęcając opieszłych do wstania. – Nie będziemy tu na was czekać do południa, darmozjady.

Sypiące się na głowy i plecy razy skutecznie zmobilizowały więźniów i już po chwili pod ścianą ustawiał się drugi, a potem trzeci rząd wyglodniałych ludzi.

– Dziesięć ochotniczek, wystąp! – zakrzyknął przysadzisty dowódca.

Kobiety rozglądały się po sobie, ale nie śmiały zrobić kroku. Od wczoraj niczego nie miały w ustach, a kilka łyków wody tylko zaostrzyło ich apetyt. Jedyne więc, o czym myślały, to posiłek.

– Czyli jeszcze nie zgłodniały. – Młodzik w mundurze się zaśmiał.

Słyszając to, kilka kobiet zaryzykowało i zrobiło krok w przód.

– Jednak głuche nie są – zauważył dowódca. – Zaprowadźcie je do kuchni!

Kobiety podreptały do budynku szkoły. Iwo zrozumiał, że może jednak dzisiaj dostaną posiłek. Ta myśl dodała mu nadziei.

– Wyczytani, wystąp! – zakomenderował dowódca. – Jedliński, Gąsowski, Czarny...

Kolejni więźniowie występowali przed szereg. Kiedy w pierwszym rzędzie ustawiło się dziesięciu mężczyzn, Iwo usłyszał swoje nazwisko. Zaskoczony powoli wysunął się i wyczekująco przyglądał się stojącym po przeciwnej stronie esesmanom. Wówczas jeden z nich doskoczył do niego i począł go okładać drewnianą pałką. Bił, nie zwracając uwagi na to, gdzie celuje. Po kilkunastu ciosach Iwo wreszcie upadł na kolana i spuścił głowę.

– I to jest odpowiednia pozycja, z jakiej masz na nas patrzeć, psie! – warknął napastnik.

– Myślał, że ma prawo zaglądać nam w oczy? – spytał dowódca z politowaniem w głosie.

– Chyba jeszcze nie pojął, że ścierwa nie mają praw, a żyją tylko po to, by służyć tym, którzy są lepsi od nich – dopowiedział inny esesman, który wychylił się zza barczystych pleców dowódcy, by lepiej zobaczyć skutki wychowawczych metod kolegi.

– Dobrze, że to dostrzegłeś! – Zwierzchnik pochwalił skrupulatnego podwładnego. – Trzeba to było od początku uczyć szacunku do nas, bo później wejdą nam na głowę.

Iwo kątem oka widział stojących nad nim esesmanów. Nie śmiał podnieść głowy. Słyszał czającą się w ich głosach pogardę, choć w uszach wciąż mu dzwoniło, a czaszkę rozsadzał ból.

– Wstawaj i biegiem do środka! – przykazał samozwańczy nauczyciel. – Tam już z tobą pogadają!

Iwo powoli stanął na nogach i pomny udzielonej lekcji wbił oczy w ziemię, po czym podążył we wskazanym kierunku. Choć wciąż czuł ćmiący ból w okolicach skroni, to podniósł ręce. Za nim ruszyli pozostali wyczytani więźniowie.

Po wejściu do szkoły nieco go zaskoczyło ciepło nagranych słońcem murów. Dopiero gdy zagłębił się w korytarz, poczuł zaduch. Pod drzwiami siedziało po kilku więźniów. Opierali się o ścianę, a ich porozrywane ubrania, przesiąknięte potem wymieszanim z krwią, niesamowicie cuchnęły. Niektórzy mieli rękawy wymazane czerwoną farbą.

Prowadzący Iwa esesmani kazali mu się zatrzymać przed pierwszymi drzwiami. Pozostali poszli dalej. Iwo dostrzegł, że więźniowie zatrzymywali się przed kolejnymi drzwiami. Nie pozwolono im usiąść. Wszyscy stali, w każdej chwili gotowi wejść do środka.

I rzeczywiście, po chwili jedne z drzwi otworzyły się i esesman wciągnął do środka przybyłego więźnia. Chwilę później Iwo doświadczył tego samego i znalazł się w sali, która jeszcze niedawno rozbrzmiewała perlistym śmiechem uczennic.

Iwo został popchnięty na krzesło postawione naprzeciwko katedry, gdzie za biurkiem siedział rosły esesman i skrzętnie coś notował. Drugi, znacznie niższy, z podwiniętymi rękawami koszuli i bez marynarki od munduru, przemierzał salę, jakby się niecierpliwił, że nie zdąży wykonać zadania. Więzień nauczony doświadczeniem nie śmiał podnieść wzroku, ale zdołał dostrzec, że w rogu widnego i nader przestronnego pomieszczenia stał przeszklony regał, w którym schowano globus. Ławki zsunięto pod ścianę, by nie przeszkadzały w poruszaniu się po pracowni geograficznej.

Iwo przypomniał sobie naukę nazw wszystkich dużych miast w Polsce. Po odzyskaniu niepodległości w kraju, który został rozszarpany pomiędzy zaborców i kolejne pokolenia mogły się uczyć geografii Polski jedynie ze starych map, nauczyciele szczególnie kładli nacisk na to, by każdy uczeń potrafił wymienić największe miasta na wschodzie i zachodzie oraz na południu i północy, a także znał najdłuższe rzeki w kraju. Wtedy Iwo niechętnie się o tym uczył. Teraz zrozumiał, że działania nauczycieli miały wyjątkowe znaczenie w krzewieniu polskości, którą tu na Wybrzeżu tak skutecznie tłamszono.

Wreszcie skryba przewrócił kartkę w dużej księdze i sięgnął po leżące na stosie dokumenty.

– Iwo Koźmiński? – spytał, nie podnosząc wzroku znad księgi.

– Tak – odparł więzień.

– Syn Ignacego i Florentyny Koźmińskich? Stały meldunek w Niwach?

– Tak.

– Pracownik Urzędu Celnego Granicznego w Stutthof?

– Zgadza się – przytaknął, unikając wzroku esesmana.

Niespodziewane kopnięcie w krzesło sprawiło, że z niego spadł, uderzając łukiem brwiowym o podest. Krew natychmiast zalała mu pół twarzy. Pulsujący ból kazał mu zacisnąć powiekę. Spróbował się podnieść, ale wtedy poczuł na plecach odcisk drewnianej pałki. Nie rozumiał, czym sobie zasłużył na bicie.

– Nic nie zrobiłem... – jęknął, gramoląc się bliżej katedry, choć wiedział, że to w niczym nie pomoże. – Pracowałem tylko...

– Ta polska świnia twierdzi, że pracowała... – Prowadzący przesłuchanie zarechotał skrzekliwym głosem. – Tak dobrze pracowałeś, że na złotą listę się dostałeś – zrymował, po czym ponownie zaskrzeczał przeciągle: – Gdzie donosiłeś?

– Na nikogo nie donosiłem – powoli wycedził i zaczął się podnosić, ale w tej samej chwili na plecach poczuł cios i ponownie upadł, ciężko łapiąc oddech.

Ból rozszedł się po całych plecach i nawet nie zelżał, gdy nastąpił nowy atak. Kolejne kopnięcie było perfekcyjnie wymierzone. Prawa nerka natychmiast eksplodowała bólem i choć Iwo bardzo tego nie chciał, to nie zapanował nad pęcherzem.

– Kurwa mać! A kultury to cię nigdzie nie nauczyli?! – wrzasnął oprawca prosto do ucha rozciągniętemu na podłodze więźniowi.

Iwo nie wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę. Czuł unoszący się wokół zapach moczu, nie potrafił zebrać myśli. Ból go obezwładniał, a wstyd odbierał poczucie godności.

– Wstawaj, szmato, i mów, do kurwy nędzy, komu donosiłeś na prawych Niemców?

Iwo zebrał się w sobie i spróbował wstać, jednak robił to bardzo ślamazarnie, wciąż ciężko łapiąc powietrze.

– Szybciej, szybciej! – poganiał go krążący niczym kat niski esesman. – Lepiej, żebyś nie musiał ci pomagać!

– Takich jak ty mamy tutaj wielu i każdy czeka na rozmowę z nami, więc przestań uważać się za kogoś wyjątkowego i mów, o czym powiadałeś swoich przełożonych – naciskał siedzący za biurkiem oficer.

– Ja tylko wykonywałem swoją pracę – powoli odpowiedział, dokładnie cedząc każde słowo.

Dopiero gdy w jego nosie coś chrupnęło, zorientował się, że kat stał tak blisko niego. Bryzgająca krew w jednej chwili zalała mu usta i brodę. Dłonie podążyły w stronę złamania, ale nie zdołały niczego naprawić. Czuł w ustach metaliczny posmak ciepłej krwi. Nie miał siły jej wypluć. Zgięty w pół z oniemiałym wzrokiem wpatrywał się w kapiącą na drewnianą podłogę posokę.

– Jak tak dalej pójdzie, to ja się wykończę – stwierdził prowadzący przesłuchanie. – Miałem mieć papierkową robotę, a już mam dość rozmów z tymi polskimi chamami, którzy nie rozumieją prostych pytań.

– Słusznie wódz mówił, że to podludzie i nie ma dla nich miejsca wśród nas – podchwycił oprawca krążący wokół Iwa niczym lew wokół swojej poranionej ofiary, która już przestała się bronić i jedynie czeka na śmierć. – Szkoda na takich papieru.

– Inteligenci pojebani! – ciągnął skryba. – Dużo kłapią mordami, a gdy przychodzi co do czego, to pieją jak panny. I tacy ludzie reprezentują naród?

– Jaki naród, tacy reprezentanci – wtrącił przysadzisty kurdupel, podciągając wyżej rękawy.

– Do gadania pierwsi... Wielcy uczeni... Artyści... Zachciewa się im...

– Tylko do roboty zagnać ten motłoch, bo innego pożytku z tego nie będzie.

– A co oni potrafią? – Oficer zaśmiał się, po czym wstał, by rozchodzić nogi. – Gadaniem nie zarobią na swoje życie.

– To szybko zdechną. – Kurdupel parsknął śmiechem.

– Zobaczymy, co potraficie... – odezwał się oficer. Chwycił Iwa za włosy i mocno za nie pociągnął. Głowa mężczyzny posłusznie odchyliła się w tył. – Ten już nic ciekawego nie powie – zawyrokował i puścił włosy.

Iwo ostatkiem sił trzymał się na kolanach.

– Won na korytarz! – zagrzmiął oprawca i tym razem szturchnął Iwa, by wstał.

Chłopak spróbował się podnieść, ale nogi mu drżały. Zebrał się w sobie, bo wiedział, czym grozi ociąganie się. Wreszcie zgarbiony odwrócił się w stronę drzwi i poczłapał do wyjścia.

Gdy znalazł się na korytarzu, stojący za nim esesman popchnął go, więc upadł pod przeciwną ścianą.

– Siadać i czekać! – zagrzemiał na odchodne i wciągnął do środka kolejnego aresztanta.

Iwo przez chwilę leżał, usiłując zebrać siły, by zmusić swoje obolałe ciało do ruchu. Nie potrafił jednak się zmobilizować. Chłód podłogi dawał wytchnienie. Starał się nie słuchać jęków dochodzących z za drzwi oraz z dalszej części korytarza. Nie chciał myśleć o tym, co jeszcze może się wydarzyć. Łudził się, że to, co najgorsze, już go spotkało. Czuł pulsującą krew w złamanym nosie. I choć oddychał przez usta, to miał wrażenie, że jego twarz rozsypała się na kawałki i zamiast niej zionie czarna dziura.

Nie miał pojęcia, jak długo tak leżał. I gdyby nie odbijające się echem po korytarzu kroki esesmanów prowadzących kolejne ofiary na przesłuchanie, zapewne leżałby dalej. Resztki jasnego umysłu kazały mu się zwlec na bok i zrobić przejście. Gdy oparł się o ścianę, zwiesił głowę i próbował zebrać siły. Te jednak nie wracały. W duchu modlił się, by ponownie nie wezwano go na przesłuchanie. Stojący przy drzwiach strażnicy nie zwracali uwagi na więźniów. Zaśmiewali się z żartów, które jeden z nich sypał jak z rękawa. Popijali przy tym kawę zbożową, której aromat roznosił się po całym korytarzu, chwytając w swe szpony puste żołądki więźniów.

Nagle strażnicy umilkli i głośno uderzając podszwami o podłogę, zasalutowali. Zapadła cisza. Wchodzący na korytarz esesman powoli przeszedł aż do końca, dokładnie oglądając tych, którzy zdążyli się załapać na przesłuchanie. Z odrazą patrzył na zmoczone spodnie, podarte i zakrwawione ubrania. A gdy wrócił, twardym głosem zakomenderował:

– Zabierzcie te ścierwa na dwór! Nie czujecie, jak tu cuchnie?!

– Mieli zostać do dalszego przesłuchania – próbował wyjaśnić jeden ze strażników.

– Wyprowadzić pod ścianę i postawić na baczność. Niech się trochę przewietrzą! – rzucił z przekąsem.

Strażnicy natychmiast ruszyli wzdłuż korytarza, szarpiąc i kopiąc więźniów. Gdy ci już stanęli na nogach, wyprowadzono ich na zewnątrz i zgodnie z rozkazem ustawiono pod ścianą.

Iwo miał wrażenie, że za chwilę zemdleje. Kolory zlewały się w jedno. Ręce i nogi drżały, a świat wokół niego wirował. Czas jak na złość płynął powoli i do południa kilka razy czuł, jak obsuwa się po murze. Stojący przy nim więzień, który znacznie lepiej wyglądał, pomógł mu wstać i unieść drżące ręce nad głowę.

– Musisz wytrzymać – szeptał sąsiad. – Wiecznie nas tak trzymać nie będą.

– Pić – jęknął Iwo.

– Nie myśl o tym – odparł nieznajomy. – Myśl o tych, dla których chcesz stąd wyjść.

Około południa Iwo ledwie trzymał się na nogach. Jedyłą pociechą stał się fakt, że esesmani nie reagowali na to, iż więźniowie opuścili dłonie.

Mężczyzna sapał, wciąż łapiąc powietrze ustami. Pulsujący ból nosa nieco się zmniejszył, ale opuchlizna zawęziła pole widzenia. Wolał nie otwierać oczu, bo światło go raziło.

Po południu Iwo nabrał przeświadczenia, że brodzi w wodzie. Odkąd zjawił się w Stutthof, nieraz musiał się zamoczyć, tropiąc przemytników. Teraz czuł, że stracił grunt pod nogami, a jego ciałem szarpią morskie fale.

– Trzymaj się, chłopie! – powiedział stojący najbliżej towarzysz niedoli.

– Widzę, że rozmów wam się zachciewa! – krzyknął strażnik tuż przy uchu więźnia. – Tacy jesteście towarzyscy i tyle macie energii?! – dodał, nie kryjąc sarkazmu, po czym zagwizdał z uznaniem. – To zapraszam na małą rozgrzewkę. – Palcem powiódł dookoła placu.

Iwo, mrużąc oczy, spróbował skupić się na poleceniu. Nie potrafił nawet pomyśleć, że w takim stanie mógłby biegać. Nie pozostawiono mu jednak wyboru. Esesmani poczęli ustawiać więźniów w rzędach. Opieszalych ponaglano wyjątkowo szybko. Kilka razy pałką wystarczyło. Iwo pchnięty przez napierających na niego więźniów poruszył się i zataczając się, człapał przed siebie.

Więźniowie omijali go, nie chcąc zebrać kolejnych ciosów. Biegło ich tak wielu, że szybko powstały trzy kółka i tak Iwo trafił do środkowego, dzięki czemu z każdej strony był osłonięty przez jakiegoś więźnia. Nie miał pojęcia, ile razy okrążył plac szkolny, ale w pewnej chwili poczuł silne torsje i choć nie miał czym

wymiotować, to upadł na kolana, starając się zapanować nad organizmem. Biegący omijali go, a on nie potrafił z powrotem dźwignąć się na nogi.

Wreszcie się poddał i upadł. Nie czuł kopnięć, które miały go ocucić. Nie czuł pałki na plecach, dzięki której miał odzyskać siły witalne. Nie słyszał tego, co się działo wokół niego.

Rozdział VI



W oczekiwaniu na wiadomość

– I teraz nie można tamtędy przejść. Ci Polacy zrujniają pół miasta, byle tylko postawić na swoim i udawać, że są coś warcy – tłumaczyła Klara Fischer, która od ponad godziny dotrzymywała towarzystwa chorej przyjaciółce. – Mówię ci, masz szczęście, że tego nie widziałaś. Ci pocztowcy powinni się wstydzić, że przez nich cała okolica jest zrujnowana! – gderała, kręcąc na palcu gruby pukiel włosów.

Kiedy tak siedziała na tle woalowych firan, wyglądała, jakby jej głowę spowijały płomienie. Kolor rudy niejednokrotnie przyniósł jej wiele cierpienia i szyderstw i nikt tak naprawdę nie miał pojęcia, skąd się wziął w jej rodzinie. Żaden z żyjących członków zacnej rodziny kupieckiej Fischerów nie pamiętał, by jakkolwiek kuzyn szczyił się podpalaną czupryną. Na tym tle niekiedy dochodziło do uszczypliwej wymiany zdań między matką Klary a jej teściami, którzy ogłędnie mówiąc, nie do końca darzyli synową zaufaniem. Ojciec Klary nigdy nie zwątpił w to, że dziewczyna jest z jego krwi, znał bowiem przykre fakty z życia swej żony. Wiedział, że ta była efektem gwałtu obwoźnego handlarza wyróżniającego się płomiennym temperamentem i czupryną. Zarówno matka Klary, jak i babka bardzo wstydziły się tego faktu, dlatego nikt oprócz nich, a po narodzinach córki, również oprócz Ernesta Fischera, nie miał pojęcia o nieprzyjemnych wydarzeniach z przeszłości.

Nela leżała w łóżku, wtuliwszy głowę w poduszkę. Marzyła o tym, by w jej pokoju wreszcie zapanowała cisza. Głos Klary coraz bardziej ją drażnił, a naiwność podawała w zwątpienie ich dawną przyjaźń. Cóż miała zrobić, skoro matka posłała po przyjaciółkę z myślą, by ta dotrzymała towarzystwa markotnej pannie?

Od trzech dni Nela nie wychodziła z domu. Na początku wiedziona nadzieją czekała na wiadomość od Tomasa, który nie chciał jej ze sobą zabrać, gdy kręcił się pod Victoriaschule. Ale choć jej młodszy brat bardzo się starał, by zdobyć jakieś informacje, to tymczasowe więzienie stało się twierdzą, z której żadne wiadomości nie miały prawa wyciec. Oficjalna wersja tego, kim są zatrzymani, nie pozostawiała wątpliwości, że to zdradziecki element pochodzenia polskiego i żydowskiego, który podpala i niszczy infrastrukturę, by sabotować działania armii niemieckiej i w ten sposób uniemożliwić jej prowadzenie rzetelnej walki z wrogiem. Nikt, kto do tej pory trafił do Victoriaschule, nie opuścił jej murów.

Każdy kolejny dzień jedynie utwierdzał Nelę w przekonaniu, że Iwa spotkało coś złego. Niby dlaczego miałby zostać uwięziony? Nie walczył w obronie miasta. Nie stawiał oporu przy aresztowaniu. Jak niewinny człowiek miałby zostać pozbawiony wolności? Ten brak logiki obezwładniał ją, a do tego brak możliwości działania sprawił, że popadła w otępienie.

– I całe ogrodzenie wokół tej poczty roznieśli w pył. Przejść tam teraz trudno, ale podobno mają zagnać jakichś więźniów do uporządkowania ulic – ciągnęła Klara, nie zważając na milczenie przyjaciółki. – W końcu to oni sprowokowali naszych – wyjaśniła dumna z siebie, że może przekazać tyle cennych informacji osobie, którą zmogła choroba i nie wie, co się wokół niej dzieje.

Wreszcie Klara wstała i przysiadła na łóżku Neli.

– Może wezwać do ciebie doktora? – zaproponowała przejęta. – Naprawdę fatalnie wyglądasz.

– To zwykłe przeziębienie – zapewniła i przekonująco zakaszła, a później naciągnęła koc po samą szyję. – Wybacz mi, ale muszę się zdrzemnąć, bo czuję, że znów powraca mi gorączka – skłamała i przepraszająco zmarszczyła brwi.

– Kochana, ty sobie odpoczywaj i o nic się nie martw – zapewniła Klara i pocałowała przyjaciółkę w czoło. – Jutro do ciebie zajrzę.

Cisza, która zapanowała po wyjściu Klary, przyniosła Neli ulgę. Znów mogła zebrać myśli i przeanalizować zdobyte informacje. Nie było ich zbyt wiele i to ją najbardziej martwiło. Tomasz wciąż jej jednak powtarzał, że złe wieści nadlatują niespodziewanie, ale bardzo szybko. Dobrze wloką się, trąbiąc na boki o swej radości. A brak wiadomości to najlepsza wiadomość. Ta myśl nie pozwalała jej zwariować.

Gdy wygramoliła się z łóżka, usiadła pod oknem, gdzie chwilę wcześniej gderała Klara. Jak co dzień czekała na Tomasa, który zdawał jej raport ze swojego śledztwa i choć obawiała się tego, że i dzisiaj niczego się nie dowie, to nie potrafiła się wyzbyć nadziei.

Spojrzała na zawieszony na ścianie zegar. Dochodziła czwarta. Jeszcze chwila i Tomasz powinien pojawić się w domu. Nie pomyliła się co do brata. Kilka minut później cicho wślizgnął się do jej pokoju i cmoknął ją w policzek.

– Jakbym nie wiedział, że symulujesz, to pomyślałbym, że faktycznie jesteś chora – powiedział.

– Wolę tak niż tłumaczyć, dlaczego mam podły nastrój – przyznała. – Myślałam, że wybuch wojny i odwołanie ślubu to najlepsze, co mogło mi się przydarzyć, ale teraz muszę jeszcze znaleźć Iwa, a później... – Zawiesiła głos i z bólem dodała: – Będziemy musieli gdzieś się ukryć.

– Chyba wpadłem na pewien pomysł – oświadczył i usiadł na drugim fotelu, tuż naprzeciwko siostry. – Gdy dzisiaj kręciłem się po Holzgasse, spotkałem Hansa Dettlaffa – oświadczył, nieco ściszej głos. – Pamiętasz? Razem z nim chodziłem na dodatkowe lekcje rysunku.

Nela pokiwała głową, doskonale pamiętała chłopaka dwa lata starszego od Tomasa. Wspólna pasja sprawiła, że ci chętnie przebywali we własnym towarzystwie również po zajęciach. Jakież było zdziwienie Neli, gdy pewnego dnia Tomasz wrócił z lekcji rysunku i oświadczył, że Hans rzucił malarstwo. Dopiero po kilku miesiącach dowiedzieli się, że jego ojciec przegrał w karty dużą sumę pieniędzy, a wierzyciele nie zamierzają się z nim patyczkować i głośno domagają się spłaty pożyczek. Cała rodzina Dettlaffów musiała zakasać rękawy i wziąć się do pracy.

– Hans wychodził właśnie z Victoriaschule. Początkowo byłem zbyt zaskoczony, by do niego podejść.

Nela przysunęła się bliżej brata, nie chcąc uronić ani jednego słowa.

– Gdy skręcił z Holzgasse, to podbiegłem do niego i się z nim rozmówiłem.

– I co on tam robił? – ożywiła się, czekając na ciąg dalszy opowieści.

– Jego ojciec próbuje stanąć na nogi – ciągnął, patrząc na siostrę wymownie. – Od wiosny ma swój sklep, w którym pomaga cała rodzina, a że jedyne, co ojcu

pozostało, to znajomości, zatem udało mu się wkręcić do nowego więzienia i jego sklep zaopatruje Victoriaschule w jedzenie.

– I co to dla nas oznacza?

– Powiedziałem Hansowi, że potrzebuję informacji o jednej osobie, ale on nie chce się w takie sprawy mieszać...

– Wiedziałaś... – przerwała Tomasowi. – Nie możemy oczekiwać, że ktoś ot tak nam pomoże. W tym mieście nie ma współczucia dla bliźniego.

– Poczekaj, poczekaj – uciszył ją. – Hans sam nie będzie wypytywał o Iwa, ale zaproponował, że mogę z nim wejść do szkoły i się rozejrzeć – wyjaśniał szybko, cały czas zacierając ręce.

– Naprawdę? – Nela z niedowierzaniem pokręciła głową. – Myślisz, że uda ci się czegoś dowiedzieć?

– Nie mam pojęcia, ale lepsze to niż nic.

– Dziękuję ci. – Rzuciła mu się na szyję i mocno przytuliła.

Znów odzyskała wiarę w sens poszukiwań.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się odwdzięczyć za wszystko, co dla mnie robisz. – Westchnęła, nie podnosząc głowy z ramienia brata.

– Po to ma się brata, czyż nie? – odparł.

Nela poczuła piekące pod powiekami łzy. Gdyby tak bardzo nie bała się o losy rodziny, już dawno przegnałaby Wilhelma ze swojego życia. Nie miała jednak żadnych wątpliwości, że nie zawaha się spełnić swoich gróźb i pograżyć jej rodzinę, gdy tylko nie spełni jego oczekiwań. Wieść o tym, że Frank miał skłonności homoseksualne, nie powinna ujrzeć światła dziennego i Meyer doskonale o tym wiedział.

– Znajdziemy Iwa. Przrzekam ci to.

Nela podniosła się i otarła łzy. Później wydmuchała nos i spróbowała się uśmiechnąć.

– Chyba musimy znaleźć ci jakieś odpowiednie ubrania, jak na pracownika sklepu przystało – zauważyła, patrząc na jego błękitną koszulę i naciągnięty na nią granatowy pulower. – Chodź. Przeszukamy twoją szafę.

– Tak w ogóle to już niebawem skończą mi się czyste ubrania – przyznał ze wstydem w głosie.

– Adela nie wróciła? – upewniła się Nela, bo od dwóch dni nie schodziła na dół, a jak przystało na chorą, posiłki przynoszono jej do łóżka.

– Kolejny minus wojny.

– Plusów jak na lekarstwo – odparła i wychyliła się na korytarz, by upewnić się, że nikt nie zobaczy, jak przemyka do pokoju Tomasa.

Upewniwszy się, że rodziców nie ma w zasięgu wzroku, podreptali do pokoju obok i przeszukali zakamarki szafy, która rzeczywiście wionęła pustkami. Na szczęście udało im się znaleźć jakąś zaplamioną bawełnianą koszulkę, którą ze strachu przed awanturą Tomas ukrył w czeluściach szafy. Wygnieciona i zniszczona doskonale nadawała się dla pomocnika sklepiarza. Do tego nieco postarzony kaszkiet, który Nela pogmiotła i jednym szybkim ruchem nadpruła daszek. Tak nie mógłby wyglądać nikt, kogo stać było na godne życie w Danzigu. Z tym przeświadczeniem obydwójce położyli się do łóżek.

Rankiem Nela pobiegła do pokoju brata i pożegnała się z nim, błagając, by na siebie uważał. Potem, obgryzając paznokcie, czekała na jego powrót.

Tuż przed południem drzwi jej pokoju się otworzyły. Podskoczyła na łóżku. A gdy zobaczyła wchodzącego Tomasa, zerwała się na równe nogi i nie bacząc na fakt, że wciąż jest w nocnej koszuli, której dla niepoznaki nie zdjęła, przytuliła się do brata.

– Jak dobrze, że już jesteś – zaczęła. – Niestworzone myśli przychodziły mi do głowy, a najgorsza była ta, że także ciebie uwięzili.

– Niby za co? – Obojętnie wzruszył ramionami.

Przygarnął ją do siebie i przez chwilę głaskał po plecach. Stali tak, ciesząc się swoją obecnością.

– Znalazłeś Iwa? – spytała, zaglądając mu w oczy.

Chłopak nabrał powietrza i powoli je wypuścił. Potem pociągnął siostrę za rękę i usiedli na łóżku. Długo nie wypuszczał jej dłoni.

– No, mówże – błagała, czując, że nie wytrzyma dłużej tej niepewności.

– Neluś...

– Błagam...

– Niestety nie znalazłem Iwa...

Wypuściła resztkę powietrza z płuc i schowała twarz w dłoniach. Nie płakała. Usiłowała zebrać myśli.

– Może rzeczywiście już go wypuścili? – Spojrzała na brata wyczekująco. – Niby co mieliby od niego chcieć?

Chłopak wstał i zaczął krążyć po pokoju, jakby bił się z myślami. Wreszcie przecesał swoje ciemne, krótko przystrzyżone włosy i z powrotem usiadł na łóżku.

– Z tego, co wiem, to nikt stamtąd nie wyszedł na wolność – zaczął. – Z całego miasta zwożą tam Polaków, przesłuchują, ale nikogo nie wypuszczają.

– I oni wszyscy tam siedzą?

– Część już gdzieś wywieźli.

– To znaczy kogo?

– Tych, których skończyli przesłuchiwać.

– I gdzie oni teraz są?

– Tego nie udało mi się ustalić.

– Skoro tylu ludzi aresztowali, to możliwe, że Iwo nadal tam jest...

– To prawdopodobne, ale... Byłem na dziedzińcu i widziałem setki ludzi sterczących pod ścianami budynku, którzy mdleli ze zmęczenia. Udawałem, że część tego, co przywieźliśmy, przez przypadek spadło mi z wózka i muszę wszystko pozbierać. Kilka razy wracałem po czerstwy chleb i wtedy starałem się podejść jak najbliżej więźniów, by się im przyjrzeć.

– A może akurat był na przesłuchaniu? – rzuciła z nadzieją w głosie.

– Specjalnie zwlekałem z powrotem, wypytując rozdzielających żywność więźniów o to, kogo, gdzie i jak długo przesłuchują. Ponoć nie ma reguły, jednych trzymają chwilę, a innych pół dnia.

Nela wstała i tym razem to ona krążyła po pokoju. Była tak blisko, ale jednak wciąż daleko. Ten brak pewności, co się dzieje z Iwem, doprowadzał ją do szaleństwa.

– Wrócę tam jutro – odezwał się Tomas.

Przystanęła i odwróciła się w jego stronę.

– To zbyt niebezpieczne.

– Daj spokój. – Machnął ręką od niechcenia. – Gdy tylko przy wejściu sprawdzili nasze dokumenty, natychmiast przestali się nami interesować. Dobrze się rozejrzałem i wierz mi, po tym, co tam widziałem, nie zamierzam pchać się w tarapaty – przyznał, zbyt późno gryząc się w język.

– A co widziałeś?

Czułość Neli zadziałała jak barometr wychwytyjący najmniejsze wahania ciśnienia.

– Raczej nie patyczkują się z Polakami – przyznał, nie chcąc wchodzić w szczegóły.

– Biją ich?

– Podobno inaczej nie chcą zdradzić, jak chcą pokonać Rzeszę.

– Pokonać Rzeszę? Gdyby ojciec to usłyszał, to chyba by osiwił – dodała z przekąsem.

– Powtarzam to, co słyszałem. Swoją drogą to trochę dziwnie brzmi, że kraj, który wypowiedział wojnę, już na początku tak bardzo boi się, że ją przegra. – Zamyślił się. – Tak czy siak jutro tam wrócę i spróbuję powęszyć.

– Tylko bądź ostrożny i nie rób niczego, co mogłoby cię narazić – poprosiła. – A teraz leć się umyć, bo cuchniesz jak skunks.

– To podobno zapach ludzi pracy – obwieścił triumfalnie.

– Wolałam, gdy pachniałeś farbami. – Spróbowała się uśmiechnąć.

– Muszę szybko wrócić do malowania, bo inaczej nie zniosę tego, co się wokół nas wyprawia.

– Może zbyt pochopnie zrezygnowałeś z wyjazdu do Paryża?

– Sam już nie wiem, co robić. – Sposepniał. – Tam byłoby bezpieczniej, ale nie potrafię was tutaj zostawić, nie wiedząc, co dalej się wydarzy.

Stali teraz naprzeciwko siebie, a ich myśli uciekły w stronę ostatnich wydarzeń, których żadne z nich nie pojmowało. Bo choć Danzig w blisko dziewięćdziesięciu procentach zamieszkiwali ich rodacy, to właśnie oni walczyli na ulicach, sprawiając, że to miasto stało się zimne, obce i bezduszne.

– Odnajdę go. – Tomas pierwszy przerwał milczenie. – W końcu Iwo jest też moim przyjacielem... – dodał i wyszedł na korytarz.

Nela wsunęła się pod koc. Nie zamierzała schodzić na posiłek. Bajeczka o przeziębieniu stała się bardzo wygodna i gwarantowała jej spokój.

Niebawem ktoś jednak sobie o niej przypomniał i drzwi otworzyły się z hukiem. Chora wzdrygnęła się i z przestrachem zerknęła na wejście.

– A żesz ty! – warknęła matka, balansując z tacą w rękach. – Jednego Hitler nie przewidział – gderała i nie czekając, aż córka zapyta, ciągnęła: – Że te tchórze pouciekają do mysiej dziury i zostawią nas na lodzie.

Nela nie musiała pytać, o kim mowa. Od wybuchu wojny spadły na nich domowe obowiązki. Na początku to Nela wiele z nich przejęła, a gdy sama położyła się do łóżka, siłą rzeczy prowadzeniem domu zajęła się jej matka. Ojciec wciąż biegał do senatu, by trzymać rękę na pulsie i cały czas wspierać rządu Alberta Forstera, w skrytości ducha licząc, że jego poświęcenie zostanie należycie wynagrodzone, gdy tylko wojna się zakończy. Funkcja kanclerza byłaby zdecydowanie warta rozważenia.

Dziewczyna ciężko podciągnęła się na łóżku i usiadła, opierając się o wezglowie. Ana postawiła na jej kolanach tacę i wytarła lnianą serwetką rozlany bulion warzywny.

– Wiem, że powinien być na mięsie, ale skąd tu je wziąć? – ubolewała, bo dotychczas tylko nieliczne sklepy zostały ponownie otwarte, a i te cierpiały z powodu braku wielu podstawowych produktów.

Mieszkający w okolicznych wioskach chłopcy bali się przyjeżdżać do miasta, gdzie wciąż nie było spokojnie. O świeżym mięsie i wędlinach nie było co marzyć. Warzywa też straciły swój aromat i zdrowy wygląd. Dlatego wszyscy sklepikarze tak bardzo zabiegali, by jak najszybciej pozbyć się niewygodnego towaru, sprzedając go do więzienia.

– Zjedz i przebierz się, bo Wilhelm zapowiedział, że przyjdzie po podwieczorku i zabierze cię na wycieczkę – wyjaśniła matka, po czym uśmiechnęła się promiennie.

– Ale ja nadal fatalnie się czuję – skłamała i na potwierdzenie zakaszłała.

– Świeże powietrze dobrze ci zrobi – odparła Ana Witt tonem niepozostawiającym wątpliwości, że decyzja już zapadła. – Tylko ubierz się nieco cieplej, bo wieczory bywają chłodne.

Nela nie czuła smaku zupy. Nieśpiesznie wyławiała z niej kawałki nierówno posiekanej marchewki i tegorocznych ziemniaków, które szczęśliwie kupili zaraz po wykopkach i złożyli w piwnicy. Na wierzchu zaprawianej mąką zupy pływały oka z przesmażonej słoniny z niedoszłego wesela.

Gdy dziewczyna opróżniła talerz, wstała z łóżka i się przebrała. Zgodnie z radą matki naszykowała też gruby sweter, bo choć lato było wyjątkowo upalne, a i początek września należał do nadzwyczaj gorących, to w powietrzu wisiała zapowiedź zmieniającej się aury. Chmury pojawiały się na niebie niespodziewanie, przynosząc krótkotrwałe opady deszczu, który zmywał kurz z ulic.

Podniesione głosy dochodzące z dołu stanowiły doskonały dowód tego, że zapowiadany gość właśnie się zjawił. Nela zrobiła głęboki wdech, a potem ciężko wypuściła powietrze i poczłapała na dół.

– Świetnie wyglądasz – pochwalił ją Wilhelm, gdy stanęła w holu. I choć czuła, że kłamał, to nie zaproponowała, gdy się nachylił, by pocałować jej dłoń. – Najwidoczniej potrzebowaś trochę czasu, by dojść do siebie.

– Każdy z nas go potrzebował – wtrąciła Ana, niosąc z kuchni gorącą herbatę i kilka herbatników znalezionych na najniższej półce w kredensie. – Zapraszam na skromniutki poczęstunek, a jeśli nikogo nie znajdę do pomocy w kuchni, to obawiam się, że wkrótce nawet takich frykasów nie będzie w naszym domu – poskarżyła się, przepraszając patrząc na przyszłego zięcia.

– Po wczorajszej wygranej na Westerplatte nie mam wątpliwości, że pójdzie nam szybciej, niż przypuszczałem. – Wilhelm się zaśmiał. – Kolejne miasta kapitulują i wchodzimy do nich jak do siebie, a polscy żołnierze uciekają jak szczury do podziemi.

– Nie wyobrażam sobie, aby któryś z naszych mógł tak postąpić – zachnęła się Ana, drepcąc w stronę jadalni.

Tuż za nią kroczyła córka, a na końcu Anders prowadził gościa. Nela pchnęła ciężkie, przeszklone drzwi prowadzące do jadalni i przepuściła w nich matkę, a potem pomogła jej rozstawić nakrycia. Kiedy wszyscy zasiedli przy stole, Nela jedynie od czasu do czasu potakiwała albo uśmiechała się, marząc o tym, by to godne pożalowania spotkanie wreszcie się skończyło.

– Dziękuję za pyszny podwieczorek. – Wilhelm skłonił się szarmancko i z upodobaniem cmoknął nieco pomarszczoną dłoń gospodyni, po czym lekko pchnął Nelę w stronę wyjścia. – Musimy się spieszyć, żeby zdążyć przypatrzeć się dowodom naszej potęgi – dodał dla wyjaśnienia.

Chwilę później znaleźli się w aucie Wilhelma, po czym ostrożnie ruszyli z miejsca. Wiele ulic wciąż pozostawało nieuprzątniętych, więc musieli kluczyć i je omijać. Nela miała jednak wrażenie, że Wilhelm nie zamierza się poddać. Wreszcie zatrzymał auto, wyłączył silnik i najpierw sam wysiadł, a potem pomógł Neli. Podprowadził ją kawałek i pokazał jej miejsce, które dotychczas przed wścibskimi oczyma skrywał las.

– Tylko gruz i kikuty drzew, a pośrodku zatknięta majestatyczna flaga naszego państwa – zauważył Wilhelm urzeczony widokiem zmiecionej z powierzchni ziemi składnicy broni. – Taki obraz powinien namalować twój brat, żeby przekazać go kolejnym pokoleniom, by nigdy nie przyszło im do głowy wstydzić się swojego kraju.

Nela patrzyła na ogrom zniszczenia. Nie pojmowała, jakiemu rzekomo wyższemu dobru miało ono służyć. Czy tej dumy wystarczy, by uciszyć płacz rodzin tych, którzy polegli?

– Tak rodzi się wielka historia Tysiącletniej Rzeszy – ciągnął wpatrzony w powiewającą na wale flagę z olbrzymią swastyką pośrodku. – Jestem dumny, że przyszło mi żyć w tych czasach, a moje dzieci przyjdą na świat jako obywatele potężnego kraju, o którym nikt nigdy nie zapomni.

Nela objęła swoje ramiona, bo nagle po jej plecach przebiegł dreszcz. Kwestię ślubu wciąż pomijała, licząc na to, że gdy odnajdzie Iwa, uciekną gdzieś daleko i uwolni się od Wilhelma.

– Zimno ci? – zdziwił się, bo choć słońce chyliło się ku zachodowi, wciąż czuć było przyjemne ciepło.

– To przez chorobę – skłamała i odwróciła wzrok.

– Nie rozumiem, dlaczego się nie cieszysz? To nasza przyszłość. Wspólna przyszłość – podkreślił.

– Wili... – zaczęła. – Ja nie jestem najlepszą kandydatką na twoją żonę – odważyła się odezwać.

– Nawet o tym nie myśl. – Pogroził jej palcem. – Przybliżył się i szepnął jej wprost do ucha, bo w okolicy zagęściło się od gapiów, którzy tak jak oni przyszli tu, by napawać się dumą ze zwycięstwa. – Już to ustaliliśmy, a fakt, że jeszcze nie wzięliśmy ślubu, nie zwalania cię z danego mi słowa. Pamiętaj, co jest na szali.

Nie musiał jej o tym przypominać. Na pamięć znała jego groźbę, choć wciąż się łudziła, że może zdoła go przekonać do wycofania się z niej i zostawienia jej w spokoju. W tej chwili kolejny raz poczuła ogromny zawód.

Słyszała jego trajkotanie, gdy wracali do samochodu, ale żadne z tych słów nie miało dla niej znaczenia. Marzyła o tym, by znaleźć się w domu i zaczekać na informacje, które obiecał jej Tomas.

Jak za mgłą widziała mijane zabudowania, niektóre z nich solidnie uszkodzone. Inne w nienaruszonym stanie górowały nad Danzig, przypominając o potęgze narodu, który od wielu lat tu dominował.

Wreszcie dotarli do domu Wittów. Nela, nie czekając na otwarcie drzwi, wysiadła z auta i popędziła do domu. Szczęśliwa z tego, że nikogo z domowników nie spotkała, wbiegła po schodach na górę i ukryła się w swoim pokoju. Czym prędzej rozebrała się i położyła do łóżka, a kiedy w drzwiach stanęła matka, udała, że śpi. Później długo leżała, nie potrafiąc przegnać kłębiących się w jej głowie złowieszczych myśli. Przyszłość spowiła gęsta mgła.

Obudziło ją pukanie do drzwi. W pokoju było już całkiem jasno. Widocznie udało jej się wreszcie przysnąć. Teraz usiadła na łóżku i zaprosiła gościa. Tomas wszedł bez ociągania się. Znowu założył brudne, znoszone ubrania.

– Już wróciłeś? – szepnęła, nie dowierzając, że przespała całe przedpołudnie przez nikogo nieobudzona.

– Tak, tak – powiedział i czym prędzej usiadł przy niej. – Nikogo nie ma w domu, więc nie musimy szeptać.

– Udało ci się czegoś dowiedzieć? Proszę, powiedz, że on żyje – jęknęła i chwyciła brata za ramię, nie zwracając uwagi na unoszący się wokół niego nieprzyjemny zapach.

– Żyje – przyznał pośpiesznie.

– Naprawdę?! – Podskoczyła na łóżku i rzuciła się bratu w ramiona. – Jesteś pewien?

– Udało mi się wejść do tej ich kuchni. Akurat gotowali jakąś zupę, choć może to była kawa? – zastanawiał się na głos. – Nikt nie pilnował tych więźniów, to wcisnąłem im po jabłku do kieszeni i zacząłem wypytywać. Trochę mi to zajęło czasu, ale dotarłem do mężczyzny, który potwierdził, że Iwo rzeczywiście był w Victoriaschule przez ostatnie dni.

– Przez ostatnie dni? – powtórzyła za nim. – To gdzie jest teraz prawdopodobne?

Tomas przygryzł dolną wargę.

– Nie mam pojęcia...

Rozdział VII



Pierwszy krok

Lepkie powietrze zawisło dwa metry nad podłogą i szczelnie wypełniło całą ciężarówkę. Wąskie smużki światła przeciskające się między plandeką dowodziły tego, że jeszcze nie nadszedł wieczór, choć Iwo dałby sobie rękę uciąć, że ich podróż trwa od kilkunastu godzin.

Najpierw wcześnie rano postawiono ich na baczność. Zaskoczeni powoli oswajali się z kolejnymi poleceniami esesmanów, którzy nakazali im zabrać swoje rzeczy z piwnicy, w której spali ostatnie noce i wyjść na plac przed Victoriaschule. Tam, w niewielkim oddaleniu od nowo przybyłych więźniów, ustawiono ich na placu, wycytując nazwiska. Później wskazani mieli ustawić się po pięciu i dopiero w takim szyku wygnano ich na ulicę. Nikt nie zaprzętał sobie głowy tym, by dać więźniom śniadanie. Zresztą słowo „śniadanie” w Victoriaschule nabrało nowego wymiaru, bo oprócz kromki czarnego chleba i kubka mętnej, gorzkiej kawy zbożowej nic nie było do zjedzenia.

Poranek był ciepły i gdyby tego dnia Iwo szedł do pracy, zapewne znalazłby chwilę, by przysiąść na brzegu Wisły Królewieckiej i nacieszyć się promieniami słońca. Ale dziś musiał znosić wyzwiska rozemocjonowanych Niemców, którym niespieszno było do pracy, za to ochoczo otwierali okna i wychylali się przez nie, krzycząc obelgi pod adresem prowadzonych. Co żwawszi, widząc kroczącą kolumnę w obstawie esesmanów, wyskakiwali na ulicę, by chwycić kamień albo kawałek cegły z rozwalonego ogrodzenia czy kamienicy i rzucić w stronę więźniów. Esesmani udawali, że tego nie widzą, uśmiechając się pod nosem.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie mieli zaczekać. Nie pozwolono nikomu usiąść. Mijały kolejne godziny w oczekiwaniu na samochody. Kilku więźniów

opadło z sił i przysiadło na bruku, ale natychmiast zostali solidnie obici pałkami i postawieni na baczność.

Gdy słońce znalazło się wysoko nad ich głowami, przeraźliwy odgłos klaksonu wwiercił się pod czaszki więźniów, a chwilę później wybuchła radość. I choć nikt nie wiedział, skąd ten nagły entuzjizm, bo żadne hasło o uwolnieniu nie padło, to na smutnych twarzach pojawiły się niewymuszone uśmiechy, a w sercach zrodziła się nadzieja. Na co? Tego nikt z zebranych na ulicy nie wiedział. Jednak nie chcieli utracić tego, co przez ostatnie dni trzymało ich przy życiu.

W podróży siedzieli ściśnięci jak śledzie w beczce. Nie ujechali zbyt daleko, gdy zostali zatrzymani. Nikt nie informował ich, kiedy pojedą dalej. Wreszcie ruszyli.

Iwo kolejną godzinę spędził w przepełnionej ciężarówce, w której wielu już omdlało i teraz leżało na kimś. To, co Iwa zaskoczyło, to panująca wokół cisza.

Po pewnym czasie z oddali zaczęły dochodzić odgłosy ujadających psów. Zbliżały się. Więźniowie nasłuchiwali. Niektórzy zaczęli się podnosić, bez pośpiechu i nieporadnie, czasem depcząc po ciałach innych współwięźniów. Wreszcie szczekanie psów stało się nie do zniesienia. Pilnujący ich esesmani zdążyli już wysiąść i rozprostować kości. Wnętrze zalało światło. Zmęczeni ludzie mrużyli oczy. Na drżących ze zmęczenia nogach wyskakiwali na zewnątrz wśród ponagleń esesmanów i szczekających psów.

Iwo stanął pośród innych więźniów, a gdy jego wzrok przyzwyczaił się do światła, zaczął się ostrożnie rozglądać. Ustawianie w kilku szeregach szło wyjątkowo sprawnie, bo widok wyrrywających się w stronę więźniów czworonożnych bestii dodatkowo wszystkich motywował.

Gdy kolumna była już uformowana, ruszyli. Psy dreptały wzdłuż szpaleru więźniów gotowe do ataku. Esesmani poganiali zdrętwiałych więźniów.

Suchość w ustach była nie do zniesienia. Iwo starał się o tym nie myśleć, ale nie potrafił. I choć próbował zwilżyć spierzchnięte usta, to nie miał jak tego zrobić. Ciężko sapał. Rany po pobiciu w czasie przesłuchania jeszcze nie zdążyły się zabliznić, więc wciąż odczuwał ból, który dzisiaj szczególnie mocno mu doskwierał. Marzył o tym, by wreszcie móc się napić i położyć. Ostatkiem sił przebierał nogami, dlatego ucieszył się, gdy dotarli do jakiejś bramy. Zaskoczył go jej wygląd. Nie przypominała tych, które kiedykolwiek widział. Nad szeroką bramą stała budka strażnicza, do której można było się dostać, pokonując

kilkanaście schodów w górę. Plac otoczono drutem kolczastym gęsto zaplecionym na drewnianych słupkach.

Tam kazano się im zatrzymać. Esesman, który odebrał więźniów z ciężarówek, odszedł w stronę strażnicy.

Stali, przypatrując się niewielkiej polanie pośrodku lasu, nad którą niczym wielkie grzyby jaśniało kilka namiotów. Wokół nich krzątała się spora grupa ludzi. Większość zdejmowała z wozów długie deski i krokwie. Inni układali je według długości. Kolejni ciągnęli puste wozy, by nie przeszkadzały. Po prawej stronie majaczył fragment szkieletu budynku, przy którym uwijało się kilkunastu mężczyzn wbijających gwoździe.

Strażnicy nie pozwolili nikomu usiąść. Minuty wlekły się w nieskończoność. Słońce zdążyło uciec, by nie patrzeć na zmęczone twarze, brudną odzież i smutne oczy więźniów, którzy z desperacją rozglądali się po miejscu, do którego zostali przywiezieni.

W mroku pojawił się esesman w towarzystwie kilku innych, którzy minęli bramę i usiedli przy ustawionym przez robotników stole.

– Stawać w rzędzie! – krzyčeli strażnicy jeden przez drugiego.

Tych, którzy nie zdążyli dość szybko zareagować, ponaglali, używając drewnianych pałek. Kilku więźniów wilo się po piachu, inni próbowali stanąć zgodnie z rozkazem.

– Podchodzić bliżej i ustawić się przed stołem!

Sznur ludzi wolno przesuwiał się w stronę siedzących esesmanów, przed którymi leżały księgi i formularze. Przed Iwem stało kilkunastu innych więźniów, więc zdążył pojąć, że w tym miejscu odbywała się rejestracja nowo przybyłych. Iwo podał swoje dane, a później otrzymał pasek materiału z wybitym numerem.

– Czego stoisz?! Do umywalni, marsz! – usłyszał za swoimi plecami i poczuł silny cios między żebrami.

Celnik zgiął się wpół, ale w tym samym momencie ktoś go chwycił pod ramię i odciągnął. Nie miał siły podnieść głowy, ale poddał się i poczłapał dalej.

Przed umywalnią musiał zdjąć ubrania. Na wierzch rzucił opaskę z numerem. Zimna woda spłynęła mu po twarzy. Zaczął ją łapać w dłonie i łapczywie pić, nie zwracając uwagi, że zaczyna szczekać z zimna. Miał wrażenie, że z każdym łykiem odzyskuje maleńki fragment utraconych sił.

– Jazda, wynoście się stąd! – ponaglał esesman, od czasu do czasu zaglądając do środka.

Iwo wyszedł i niemal natychmiast trafił do strzyżenia. Patrzył na wirujące wokół niego włosy. Leżało ich tak dużo i były w tak wielu kolorach, że wreszcie zlały się w jedną masę, w której brodzili więźniowie.

Gdy wyszedł na zewnątrz, odszukał swoje ubrania i wetknął do kieszeni numer. Kilku współwięźniów, siedziało na ziemi i przyszywało pasek na ubranie. Iwo usiadł obok jednego z nich i zaczekał na igłę. Później zaskakująco wprawnymi ruchami naszył numer na swoją koszulę.

Gdy już wszyscy nowi więźniowie siedzieli na trawie, pojawił się młody esesman głośno wykrzykujący kolejne komendy. Hardym wzrokiem omiótł rozproszony tłum i z niezadowoleniem splunął na piach.

– Baaaaaczność! Stać, kiedy do was mówię, i łeb do dołu, żebym nie musiał patrzeć na wasze wstrętne mordy. Jasne?!

Nikt nie śmiał odpowiedzieć. I choć na zewnątrz zdążyło się zrobić ciemno, a kilka z rzadka rozwieszonych wzdłuż placu żarówek niewystarczająco oświetlało twarze zebranych, to nikt nie odważył się podnieść wzroku.

– Od tej pory jesteście numerami – ciągnął, idąc wzdłuż równo ustawionych więźniów. – Nie macie imion! Nie macie nazwisk! – Zawiesił głos i pałką podniósł głowę jednego z więźniów, a gdy ten nieuważnie spojrział na strażnika, otrzymał cios między oczy. Kiedy się osunął na ziemię, esesman, nie puszczając pałki, splótł ręce i poszedł dalej. – Ty jesteś numerem! Ty też jesteś numerem! I ty też jesteś tylko pierdolonym numerem! – krzyknął do stojących najbliżej więźniów. – Bez numeru nie istniejecie! Czy to jasne?!

– Tak! – wyrwało się z kilkudziesięciu gardeł.

Przemawiający niczym polująca pantera skoczył na stojącego najbliżej niego więźnia i z całej siły wymierzył mu cios pałką w głowę. Młody mężczyzna, który zapewne jeszcze kilka tygodni wcześniej ze względu na urodę i dar mówienia mógłby uchodzić za bawidamka, teraz, brocząc krwią, leżał nieprzytomny.

– Nigdy nie mówicie w tym plugawym języku! – warknął esesman, a stojący za nim strażnicy zaśmiali się głośno. – Tu wolno się porozumiewać wyłącznie w języku panów.

Iwo wiedział, o jakim języku mowa. Przez ostatnich kilka dni wielokrotnie słyszał to określenie. Kiedy więc młody esesman ponowił pytanie, wszyscy jak jeden mąż odpowiedzieli mu po niemiecku.

– A teraz powtarzamy od początku – zakomenderował i odszedł, a na jego miejsce przyszedł znacznie niższy i nieco starszy strażnik. Do północy krzyczał komendy, które wszyscy powtarzali:

– Czapkę zdjęć! Czapkę włóż! Baaaaaczność! Spocznij!

I tak co chwila z kilkudziesięciu gardeł wydobywał się gromki okrzyk. Gdzieś w oddali rozległy się nawoływania puszczyka. Błady księżyc uciekł wzrokiem i skrył się za jednym z obłoków, ciesząc się, że nie musi dłużej patrzeć na twarze dręczonych więźniów.

Wreszcie zmęczeni esesmani pomaszerowali na zasłużony odpoczynek. Nie sądzili, że ich zmiana przeciągnie się aż tyle. Jutro nie omieszkają zameldować przełożonym o tym, jak pilnie wykonywali swoje obowiązki. Może zasłużą na dodatkowy dzień wolny?

Światła zgasły. Pozostały tylko te obok strażnicy, które oświetlały wejście i ogrodzenie.

Głodni osuwali się na ziemię, choć nikt im na to nie pozwolił. W idealnej ciszy kładli się jeden obok drugiego. Pogrążeni w wewnętrznej niemocy, bólu fizycznym i unurzani w emocjonalnym bagnie, nie mieli siły myśleć o przyszłości. Najpierw musieli przetrwać przerażającą teraźniejszość.

Iwo, zasypiając, powtarzał numer: siedem-trzy-zero-dwa. To była jego nowa tożsamość.

Spanie na ziemi nie należało do szczególnie przyjemnych. Więźniowie zapadali w krótkie, nerwowe drzemki. Majaki pozbawiały ich tak potrzebnej energii. Rankiem więc obudzili się równie zmęczeni, co wieczorem zasypiali.

– Pobudka! Do umywalni i na poranny apel! – usłyszał Iwo, gdy przecierał oczy.

Skrzywiony nos wciąż go bolał. Usiadł na uklepanej ziemi i rozejrzał się wokół siebie. Ileż by oddał, żeby to wszystko okazało się jedynie sennym koszmarem...

Widząc zmierzających ku nim esesmanów, zerwał się na równe nogi i zaczął ponaglać innych. Ci, którzy nie zdążyli się dźwignąć, otrzymali wymowne przypomnienie w postaci odcisniętej podeszwy na plecach lub brzuchu. Wkrótce obok nocujących na placu ustawili się więźniowie śpiący w namiotach. Iwo patrzył

na nich z nieukrywaną zazdrością. Choć sam nigdy nie nocował w namiocie, to Rajmund opowiadał mu, że jednego roku spędził kilka dni na biwaku z harcerzami. Spali na siennikach pod grubymi kocami, bo nawet latem bywają chłodniejsze noce. Oczywiście wyobraźni Iwo dostrzegł rozłożone w stojących nieopodal niego namiotach grube pledy. Jemu tej nocy musiała wystarczyć marynarka.

Apel ciągnął się aż do śniadania. Kolejno wyczytywani więźniowie recytowali swoje numery, esesman odhaczał je na długiej liście. Więzień, który się pomylił musiał truchtem okrążyć cały plac apelowy, a potem miał obowiązek powtórzyć swój numer poprawnie, oczywiście po niemiecku. Jeśli i tym razem mu się nie udało, stawał na środku z podniesionymi rękoma i czekał, aż któremuś z esesmanów nie przypomni się o jego istnieniu.

Iwo bez zająknięcia podał swój numer obozowy. Gdy apel dobiegł końca, czerech więźniów wciągnęło na plac wózek, na którym ustawiony był olbrzymi sagan i sterta nierówno pokrojonych kromek szarego chleba.

– Szybciej! Szybciej! Ustawiać się! – pośpieszał esesman. – Tu nie ma czasu na siedzenie. Chcecie jeść? To musicie na to zapracować!

Po dwóch stronach wózka uformowały się kręte ogonki więźniów ściskających kwarty. Kolejka szybko się przesuwała. Iwo nie potrafiła zapanować nad cieknącą mu ślinką, gdy patrzył na siadających na ziemi więźniów, którzy łapczywie pochłaniali przydzielony posiłek.

Wreszcie przyszła jego kolej. Podsunął kubek, w którym po chwili znalazła się brunatna polewka. Patrzył na nią, usiłując ustalić, co to takiego. Ktoś go popchnął.

– Przełaż, bo tamujesz kolejkę – ponaglił go nieco wyższy do niego młody mężczyzna w zawiązanej na głowie chustce.

Iwo złapał pajdę chleba i odsunął się na bok, wciąż wpatrując się w zawartość kubka.

– Lepiej jedz, bo jak zobaczą, że się ociągasz, to jeszcze ci zabiorą – szepnął inny więzień, przeciskając się obok.

Iwo zanurzył usta w napoju. Dłuższą chwilę nie potrafił określić smaku, który czuł. Wreszcie przełknął pierwszą porcję. Więcej się nie zastanawiał, oderwał pokaźny kęs chleba i zaczął przeżuwać. Nie smakował jak żadne pieczywo, które kiedykolwiek jadł. Gliniasta pajda zapychała, więc próbował popić ją brunatną

breją. Spojrzał na resztę posiłku, a potem zerknął na pozostałych więźniów. Choć nie dostali nic innego, jedli w ciszy.

– Nie patrz na to, co jesz – odezwał się mężczyzna, który zagadnął go poprzednio. – Inaczej niczego tu nie tkniesz. Wyobraź sobie, że to najlepszej jakości zbożówka, jaką dotychczas piłeś, a to – pokazał na resztkę chleba – placek drożdżowy jak u mamy albo babci. Spróbuj teraz – nalegał, czekając, aż Iwo zje.

Ten patrzył w jego ciemne oczy, nie wiedząc, czy mówi prawdę, czy jedynie z niego drwi. W końcu Iwo odgryził kolejny kawałek chleba i wyobraził sobie, że je chałkę, którą piekła babka, gdy jeszcze żyła. Jakże ta drożdżówka rozpływała się w ustach! Trudno było się od niej oderwać. Przez chwilę miał wrażenie, że siedzi przy świątecznym stole zastawionym wielkanocnymi wypiekami, a zapach szynki wędzonej dymem z jałowca przypominał mu o tym, ile dni przygotowywali potrawy na świąteczny stół. Kobiety piekły ciasta i pasztety, a ojciec wędził mięso. Lubił mu w tym pomagać. Wtedy ojciec chętnie opowiadał. Czasem tak bardzo się rozpędził, że i o Wielkiej Wojnie coś zdradził. Na co dzień unikał tego tematu i wszyscy domownicy to rozumieli. Wojna pozbawiła go całej rodziny, którą Niemcy wycieli w pień.

Iwo przeżuł jedzenie i popił breją z kubka.

– Widzisz, udało się – pochwalił go sąsiad i wyciągnął dłoń, by się przedstawić. – Alfred Brzeziński, a dla przyjaciół Fredek – szepnął, zakrywając swój numer obozowy.

– Iwo Koźmiński. – Uścisnął dłoń niewiele starszego od siebie mężczyzny, którego osmolona twarz i pobladłe oczy zdradzały trudy pobytu w obozie.

– Za co siedzisz?

– Za niewinność – oświadczył zgodnie z prawdą, bo nie miał pojęcia, dlaczego został aresztowany.

– Czyli jak wszyscy. – Mrugnął do niego porozumiewawczo. – Przywieźli mnie tu w pierwszym transporcie, zaraz po tym jak mnie wyciągnęli z domu. Tamtego dnia nie miałem dyżuru w elektrowni, więc siedziałem w chacie. Myślałem, że jak mnie przesłuchają, to wszystko się wyjaśni i wypuszczą mnie do domu, a tymczasem wylądowałem tutaj.

– I co tu robicie?

– Stawiamy baraki.

– Dla kogo?

– Chyba dla więźniów takich jak my.

– To teraz tutaj będzie więzienie?

– Ponoć mamy zostać tutaj, dopóki się nie poprawimy i nie nauczymy się szanować nowej władzy w kraju.

– Szanować? – zasępił się Iwo. – A czy ktoś z nich – tu powiódł wzrokiem po kręcących się wokół placu esesmanach – w ogóle ma pojęcie, co to szacunek?

– Póki tu jesteś, przytakuj im i udawaj, że mają rację. Inaczej nie wyjdiesz stąd żywy.

Tego akurat nie musiał dwa razy powtarzać. Iwo zdążył się już zorientować, jak mało znaczy jego zdrowie i życie dla Niemców.

– Koniec zarcia! Do roboty, darmozjady! Baraki same się nie zrobią! – krzyknął nowo przybyły do obozu esesman i począł rozdzielać robotę pomiędzy kilkuset mężczyzn.

Na placu zaroilo się od tych, którzy nosili deski, przycinali je na wymiar i przybijali do szkieletu długich budynków wytyczonych wzdłuż ściany lasu.

– Umiesz wbijać gwoździe? – spytał Alfred.

– Coś tam umiem – odparł Iwo. – Pomagałem ojcu stawiać stodołę, gdy stara była już za mała na zboże.

– To będziesz ze mną – zarządził. – Tylko uważaj, żeby zbyt dużo gwoździ nie zgiać, bo wtedy dostają szału – ostrzegł, po czym wziął niewielki młotek, a drugi podał Iwowi.

– Co to znaczy? – dopytywał, drepzcząc za nowym kolegą.

– Jeden taki, co wcześniej młotka w rękę nie trzymał, chciał poszarżować, bo mu się nosić desek nie chciało, a teraz od dwóch dni jeszcze nie wyszedł z namiotu, bo na oczy nie widzi, tak napuchł od kopnięć w głowę.

Iwo zastygł, trzymając młotek w powietrzu i usiłując odgrzebać w czeluściach pamięci, jak wiele gwoździ złamał lub zgiał, gdy pomagał w budowie stodoły. Wtedy nie wydawało mu się, żeby było ich zbyt wiele. Tym niemniej jednak zdarzały się takie wypadki. Może więc lepszym wyjściem było dźwiganie desek lub ich przycinanie?

– Oni wcale nie mają łzej – wyjaśnił Alfred, podążając za wzrokiem Iwa. – Wieczorem ledwie trzymają się na nogach, a plecy im pękają z bólu.

Iwo opuścił młotek i poczłapał za innymi.

Do obiadu udało mu się wypoziomować i przybić kilkadziesiąt desek, a przy tym nie zgiąć ani jednego gwoździa. Gdy około południa na placu pojawił się wózek z wielkim saganem, rozległ się gwizdek oznajmiający przerwę. Niemal natychmiast zaległa cisza, a wszystkie narzędzia zostały złożone w ką. Więźniowie chwycili stojące na nielicznych stołach blaszane miski i ustawili się w dwóch rzędach po obydwu stronach wózka. Iwo stał tuż za Alfredem i choć w uszach wciąż mu dzwoniło od ciągłego słuchania uderzeń młotków, to zapytał:

– A długa ta przerwa?

– Pół godziny, a potem robota do kolacji.

– Myślisz, że dzisiaj też będziemy musieli spać na dworze?

– W namiotach już nie ma miejsca. Śpimy w nich po piętnastu – przyznał Alfred, powoli przesuając się w kolejce do jedzenia.

– Przecież za chwilę przyjdą przymrozki, to jak my wytrzymamy?

– Nie mam pojęcia, co oni sobie myślą, ale gdybyśmy stanęli na głowie, to i tak nie skończymy tych baraków do końca miesiąca – oświadczył Alfred. – Szczytem było znalezienie kogoś, kto gwoździe umie wbijać, bo tu większość to nosa znad książki nigdy nie wyściubiła. Nogi im się płaczą przy noszeniu desek.

– Ja coś tam umiem. Nawet szyby potrafię wstawić – odezwał się stojący obok nich więzień. – Zanim wyjechałem na studia medyczne, to nieraz wybiłem szybę, kiedy graliśmy w piłkę. Ojciec prał mnie za to za każdym razem, a później wymyślił, że lepszą karą dla mnie będzie samodzielne wstawienie szyby kupionej z własnych pieniędzy. Gdy dwie pierwsze mi pękły i musiałem zapłacić za kolejną, szybko załapałem w czym rzecz.

– Pan medyk? – zainteresował się Alfred.

– Panem to ja byłem tydzień temu, teraz dla przyjaciół jestem Bolek Chmiel, a dla tych skunksów siedem-osiem-zero-trzy – odparł, zerkając, czy nikt im się nie przygląda.

– Fredek i Iwo – powiedział Alfred, pokazując najpierw na siebie, a później na Iwa. – Też byłeś we wczorajszym transporcie?

Mężczyzna skinął głową.

– Tam w namiocie mamy takiego, co to od jakiegoś czasu nie wychodzi, bo tak go obili – szepnął Fredek. – Może zerkniesz na niego i powiesz, co z nim zrobić?

– Zajrzeć mogę, ale nie mam żadnych leków, żeby mu podać.

Właśnie dotarli do wózka z jedzeniem, więc zamilkli i zaczekali, aż w ich miskach znajdzie się porcja zupy. Iwo z ciekawością zamieszał zawartość. Na dnie mętnej zupy w kolorze zbliżonym do porannej kawy odnalazł dwa małe ziemniaki i kilka kawałków brukwi wraz z liśćmi. Wszystkie warzywa wraz z obierkami były twarde i niedogotowane. Głód jednak sprawił, że mężczyzna zamieszał palcem zupę i zaczął wyciągać z niej kawałki brudnych warzyw. Najpierw wpadł na pomysł, by je obrać, ale szybko uświadomił sobie, że w ten sposób straci część jedzenia. Porcja nie wyglądała ani na dużą, ani na pożywną. Porzucił więc pomysł i zabrał się do jedzenia. Woda ciekła mu po dłoni, kiedy wpychał do ust kawałki warzyw. Nawet nie spostrzegł, gdy miska opustoszała, ale choć wciąż czuł głód, to o dokładce, nawet takiego jedzenia, mógł jedynie pomarzyć. Wylał z miski zebrany na dnie piasek i odstawił ją na stół, przy którym z braku miejsca siedzieli tylko nieliczni. Potem wrócił i usiadł na wydeptanej trawie. Mieli jeszcze chwilę odpoczynku. Postanowił położyć się na ziemi i nieco odetchnąć.

Tego dnia słońce jakby od niechcienia wyglądało zza chmur. Przynajmniej nie było gorąco. Nagle Iwo poczuł rżnący ból w brzuchu. Przekręcił się na bok i odruchowo zwinął w kłębek, ale dolegliwości nie minęły. Na czole wykwitły krople potu, a z jego wnętrzości dochodziły odgłosy bulgotania, jakby połknął kocioł z gotującym się w nim bulionem. Wił się z bólu, zapierając się nogami.

– Iwo, co ci? – zaniepokoił się Alfred. – Coś cię boli? – spytał, ale widząc błądność mężczyzny i kropelki potu na czole, nie musiał czekać na potwierdzenie. W podskokach ruszył na poszukiwania dopiero co poznanego doktora.

Niedługo potem wrócił, prowadząc Chmiela. Korpulentny lekarz z łysiejącym czołem i wypiekami na twarzy nachylił się nad cierpiącym i przez chwilę opukiwał jego brzuch, a potem przytknął do niego ucho i nasłuchiwał.

– Będzie żył – zawyrokował w końcu. – Ale dobrze to się nie skończy.

W chwili gdy wypowiedział te słowa, Iwo poczuł nagłe parcie w dole brzucha, ostatkiem sił podniósł się i nieco zamglonym wzrokiem odszukał latrynę. Popędził w jej stronę. Duży dół, a nad nim przerzucona deska nie wyglądały zachęcająco, ale Iwo nie miał czasu, by się zastanawiać. Ledwie zdążył zdjąć

spodnie. Nie wiedział, ile czasu tak spędził, ale gdy się wreszcie wyprostował, czuł znacznie mniejszy ucisk w żołądku. Oczywiście nieprzyjemne dolegliwości bólowe pozostały. Otarł pot z czoła i nieco przygięty poczłapał na plac. W tym czasie inni wrócili do pracy. Początkowo zamierzał jeszcze chwilę odpocząć na ławce przy stole, ale gdy przechodził obok wznoszonego baraku, obserwujący go esesman nakazał mu powrót do pracy.

– Weź młotek, uklęknij i nisko przybijaj gwoździe – szepnął Brzeziński, a sam nieco go osłonił.

– Nie mam siły i wciąż mnie boli.

– Wiem, ale udawaj, że pracujesz. Bo inaczej będzie źle – przestrzegł.

W obozie pracował drugi tydzień i wiedział, czym się kończy opieszałość, a na litość Niemców nie ma co liczyć. Od pierwszych chwil pobytu za drutami jasno nakreślono zasady. Osłabieni nie mają ulgowego traktowania. Przeciwnie, dostają kilka pałek przez plecy, by wybić im z głowy symulowanie.

Iwo zgięty wpół wbijał kolejne gwoździe, jednak brakowało mu precyzji. Jedna deska przesunęła się, bo nie mógł jej utrzymać we właściwym miejscu. Karcący wzrok Alfreda nakazał mu poprawić robotę, dlatego teraz usiłował wyciągnąć gwóźdź. Budując z ojcem w Niwach stodołę, oprócz młotka miał też odpowiednio wygiętą łapkę służącą do podważania i wyciągania nierówno wbitych gwoździ. Tutaj musiał je wydłubywać palcami. Wreszcie, gdy zdawało mu się, że sukces jest niemal na wyciągnięcie ręki, znów poczuł nieprzyjemne parcie i chcąc nie chcąc, podbiegł do strażnika, ściągnął czapkę z głowy i drepzcząc w miejscu, zgłosił mu chęć odejścia za potrzebą.

– A toś nie ty przed chwilą wróciłeś? – dopytywał, dokładnie go lustrując. – Znowu chcesz się lenić?

– Ja muszę na stronę – powtórzył, wciąż nie mogąc ustać w miejscu.

– I taki z was pożytek! Lenie! Sraczkę potraficie mieć na zawołanie, a do roboty dwie lewe ręce – warknął, powoli przestępując z nogi na nogę.

– Błagam, bo nie wytrzymam... – Iwo już niemal płakał.

– Leć, ale od tej chwili mam cię, psie, na oku i lepiej, żebyś szybko wrócił do roboty! – sarknął podniesionym głosem.

Iwo nie potrzebował bardziej dosadnego pozwolenia. Ile sił w nogach i tchu w piersiach ruszył w stronę latryny. Tym razem nie zastanawiał się nad miejscem

i warunkami. Czym prędzej przycupnął na desce. Gdy z niej zszedł, poczuł ulgę. Z nadzieją, że to już koniec przykrych dolegliwości, popędził w stronę baraku.

Odgłosy uderzających w deski młotków uzupełniane dźwiękami kilkunastu pił, a do tego pobrzękiwania gwoździ i pomruki ciągniętych po ziemi desek komponowały się w całość, tworząc wyjątkową melodię, której z zapartym tchem przysłuchiwały się okalające plac strzeliste sosny, jedynie od czasu do czasu delikatnym szumem długich igieł zaznaczając swą obecność.

Iwo wrócił na swoje miejsce i znów przykucnął tuż obok Alfreda. Chwycił młotek i wziął się do pracy. Początkowe uczucie ulgi z każdą chwilą ustępowało miejsca zmęczeniu i nagłemu pragnieniu. Z wnętrzości wciąż wydobywało się nieprzyjemne bulgotanie, a w ustach czuł suchość.

– Gdzie stawiają wodę? – spytał, gdy nikt na nich nie patrzył.

– Wodę? Tutaj nie dostaniesz wody – odparł Alfred.

– Jak to? – zdziwił się. – Muszę się napić.

– Nie dają nam do picia niczego oprócz zupy i tej zbożówki wymieszanej ze zmielonymi żołądziami.

– I to wszystko? – jęknął. – Nie wytrzymam.

– Musisz. Wieczorem dostaniesz picie.

Iwo spuścił głowę i z rezygnacją zabrał się do dalszej pracy. Zdążył wbić kilka gwoździ, ale zrobił to zbyt szybko i jeden nie wszedł równo. Spróbował go poprawić, ale główka zgięła się jeszcze mocniej. W myślach sam siebie za to zbeształ. Ale już po chwili jego myśli poszybowały w stronę wzmagającego się pragnienia.

– A może zakradnę się do umywalni? – zasugerował.

Alfred spojrzał na niego z zaciekawieniem i przez chwilę markował robotę, udając, że cały czas ustawia deskę, by znalazła się pod właściwym kątem.

– Nie radzę – odezwał się tak, by stojący nieopodal esesman pochłonięty paleniem papierosa ich nie usłyszał. – Jeśli ktoś cię tam znajdzie albo ktoś na ciebie doniesie, to dostaniesz za swoje.

Iwo przez chwilę milczał. Nie mógł pojąć, dlaczego przewinieniem miałoby być wypicie kilku kropel wody. Przecież ciężko pracowali. Jak miało im wystarczyć wypicie kubka obrzydliwego wywaru rano i wieczorem oraz zjedzenie mętnej brei

na obiad? Nie wyobrażał sobie, że woda może stanowić towar luksusowy. Gdy tak się zastanawiał, coś jeszcze wzbudziło jego czujność.

– Fredek, ktoś może donieść? – upewnił się.

Mężczyzna mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Wiesz, jak jest...

– Ale że donieść, bo ktoś chciał się wody napić?

– Miej oczy szeroko otwarte, to szybko zobaczysz, jak to wszystko działa.

Iwo bez przekonania wrócił do swojego zajęcia.

Słońce leniwie wyglądało zza chmur, jakby miało ciekawsze zajęcia niż obserwowanie rosnącego obozu ukrytego w lesie nad Bałtykiem. Iwo, choć przez dwa lata zdążył poznać nadmorskie miejscowości, nie przypuszczał, że wróci do Stutthof jako więzień, który ma podlegać resocjalizacji. To wszystko, co widział i czego przez ostatnich kilka dni doświadczał, wydawało mu się koszmarnym snem, z którego nie potrafi się obudzić. Sen, w którym zabrakło Neli. Odkąd esesmani zabrali go do Victoriaschule, nie miał pojęcia, co się dzieje z dziewczyną. Miał nadzieję, że bez szwanku wróciła do domu.

– Auć! – krzyknął, patrząc na upadający przy jego nogach młotek. W tej samej chwili wcisnął kciuk do ust i zaczął ssać, ale ból po uderzeniu nie zelżał.

– Ciii! – uciszyło go kilku wymownie patrzących na niego więźniów. – Chcesz, żeby tu przylazł i zaczął marudzić?

Iwo pokręcił głową i zawstydzony zerknął w stronę kręcącego się nieopodal strażnika. Rosły Niemiec patrzył na nich i wyczekująco tupał ciężkim skórzanym butem. Wszyscy bez ociągania zabrali się do pracy. Iwo ostrożnie wsunął do kieszeni kolejny zgięty gwóźdź i sięgnął po nowy. Zdążył uderzyć w niego dwukrotnie, gdy na plecach poczuł silny nacisk podeszwy. Wzdrygnął się i spojrzał przez ramię.

– Pokaż, co tam masz! – zakomenderował esesman, który chwilę wcześniej zaczął go obserwować.

Iwo odłożył na ziemię młotek i podniósł obydwie dłonie.

Esesman opuścił nogę i przeszedł do przodu. Widząc puste dłonie, spojrzał mężczyźnie w oczy, a potem, celując prosto w skrzywiony nos, kopnął go w twarz.

Iwo miał wrażenie, że jego głowa rozpadła się na setki kawałków i przestała istnieć. Szum w uszach i obezwładniający ból zawłaszczający sobie jego ciało sprawiały, że zemdłał.

Kilka skrzywionych gwoździ niemal bezgłośnie wypadło z kieszeni na ubitą ziemię i cierpliwie czekało na to, co się dalej wydarzy w miejscu, gdzie ludzie tracili swe człowieczeństwo.

Rozdział VIII



Pewna niepewność

Ostatnie promienie słońca wpadały do jadalni, malując wzory na dębowej podłodze. Długa firanka lekko powiewała, ale chłód ciągnący od okna wymógł na Adeli szybkie jego zamknięcie. Służąca poprawiła stojący przy oknie kwietnik z dużą glinianą donicą z dorodną paprocią i wróciła do kuchni, by przynieść deser.

Pani domu śledziła każdy ruch kobiety, dopatrując się w niej jakiejś zmiany, bo choć Adela pracowała u Wittów od kilku lat, to teraz wyglądała jakoś inaczej. Ana nie bardzo potrafiła wskazać tej różnicy, ale chwilami miała wrażenie, że służąca, choć powróciła do pracy, to wcale nie jest wdzięczna swoim gospodarzom. Kiedyś z większym sercem i serdecznością stawiała talerz przed nosem któregoś z Wittów. Teraz, chociaż wciąż była grzeczna, uczynna i wciąż smakowicie gotowała, to nie czuć było tej troski o pracodawcę.

Ana zastanawiała się, czym ten chłód może być spowodowany, ale nie potrafiła znaleźć powodu. W końcu przyjęła kobietę z powrotem na służbę, choć nie omieszkała jej wygarnąć, że zostawiała chlebodawców w potrzebie. Owszem, Adela tłumaczyła się, że dzieci bardzo jej potrzebowały, bo mąż gdzieś przepadł, ale to według Wittów nie stanowiło usprawiedliwienia. I może wcale by jej nie przyjęli na służbę po trzytygodniowej absencji, gdyby nie świadomość Any Witt, że jej możliwości samodzielnego prowadzenia domu są nikłe i bez profesjonalnego wsparcia dłużej ta rodzina nie podola. Szalę na korzyść ponownego przyjęcia Adeli do pracy przechyliła informacja o śmierci dotychczasowej pokojówki. Ana zaproponowała więc kobiecie pracę, ale pod warunkiem że zajmie się również podawaniem do stołu. O dodatkowej zapłacie

gospodyni ani się nie zająknęła. Dość tego, że Adela krążyła po domu, sprząając po domownikach, a Ana wreszcie miała czas na wyjście z niego i zadbanie o siebie.

– Nie mogłam uwierzyć, że ci dranie tak się obeszli z pocztą – sarknęła. – Taki budynek... taka perełka... – Z bezradnością kręciła głowę, przetykając kawałek świeżo upieczonego przez Adelę klopsa. – Można by tam urządzić galerię sztuki, ale te polskie ścierwa wołały rozwalić budynek, niż go ocalić.

Milcząca i nieobecna myślami Nela opuściła widelec, którym od dłuższej chwili dłubała w jedzeniu, i nadstawiła ucha. Wiedziała, że pocztowcy długo się bronili i nie chcieli się poddać, ale to nielogiczne, żeby sami zniszczyli budynek. To raczej oni byli atakowani i ostrzeliwani.

– Do tego jeszcze daleka droga – zauważył Anders, odstawiając pusty talerz po sutej kolacji. – Najpierw trzeba uporządkować ulice, żeby nasi chłopcy mieli jak działać.

– Wiem, wiem – odparła Ana, przypatrując się mężowi z podziwem. – Nie sądziłam, że ta wojna przyniesie aż tyle pracy.

– Najważniejsze, aby teraz mądrze doprowadzić to wszystko do końca i osiągnąć jak najlepsze efekty – odparł Anders, jakby przemawiał na wiecu wyborczym.

– Jestem taka dumna z naszego Franka. – Ana uśmiechnęła się, a łzy niemal natychmiast zalśniły w jej oczach. – Zostawił dom i rodzinę, by stanąć do walki w obronie ojczyzny. Oby tylko dbał o siebie i wrócił do nas cały i zdrowy.

– Dobrze go wychowaliśmy – podkreślił Anders i wzniósł toast. – Za Franka!

– Za Franka! – powtórzyła Ana i podniosła kieliszek, czekając, aż dołączą do nich Tomas i Nela.

Nela wiedziała, że nie ma wyjścia i musi choćby zanurzyć usta w winie. Spojrzała na Tomasa. Bez słowa odstawili niemal pełne kieliszki na stół i w milczeniu czekali na zakończenie kolacji.

– Nelcia, a ty coś taka milcząca? – zainteresował się ojciec. – Znowu źle się czujesz?

– Myślała, że wyjdzie z Klarą na eklerki, ale ich ulubiona cukiernia wciąż jest zamknięta – usprawiedliwił ją Tomas, który od kilku tygodni roztaczał nad Nelą swoje opiekuńcze skrzydła.

Nie miało znaczenia, że jest od niej dwa lata młodszy. Rozumiał cierpienie siostry i wiedział, że została z nim sama. Zbyt dużo dla niego znaczyła, żeby nie chciał jej pomóc. Dotychczas to ona służyła mu wsparciem, kiedy nie mógł znaleźć weny, i dobrym słowem, gdy ojciec na niego sarkał. Ale choć Tomas bardzo się starał, to czuł, że w ostatnich dniach zawiódł oczekiwania Neli. Wprawdzie zdołał w końcu ustalić, dokąd wywożą więźniów z Victoriaschule, ale niczego więcej nie wywęszył. Za kilka dni kończył się wrzesień, a on nie potrafił powiedzieć, czy Iwo wciąż jest w obozie założonym na obrzeżach wsi Stutthof.

Dokładnie wiedział, w którym miejscu znajduje się obóz, bo właśnie tam trafili z Nela, gdy pierwszego dnia wojny usiłowali odnaleźć Iwa. Nie mógł jednak zrozumieć, gdzie mieliby przebywać więźniowie. Oprócz wykarczowanego lasu i kilku namiotów nie było tam budynków do zamieszkania. Dlatego też nie do końca wierzył temu, co usłyszał o wywożonych tam jeńcach.

– Zaraz, zaraz, czemu jeszcze jej nie otworzyli? – obruszyła się Ana i z nadzieją spojrzała na drzwi, oczekując rychłego powrotu Adeli z dopiero co upieczonym ciastem ze śliwkami.

– Bo właściciel zginął – wyjaśniła Nela grobowym głosem.

– To trzeba po niego posłać, niech wraca do miasta. Przecież teraz już jest spokojnie – ciągnęła Ana.

– Z cmentarza nikt już nie wróci – rzekła Nela smętnie.

Nad stołem zawisła cisza wplątana w pajęczynę myśli unoszących się w powietrzu. Ana nerwowo zamrugała powiekami i odchrząknęła z niesmakiem. O sprawach śmierci przy stole nie wypadało dyskutować. Po wielokroć powtarzała to swoim dzieciom.

Przedłużającą się ciszę przerwało wejście Adeli, która ustawiła na stole tacę z wiktuałami, a potem rozstawiła filiżanki i nalała do nich herbaty z mięty, którą latem sama zebrała i ususzyła. Później nałożyła po kawałku ciasta i podsunęła każdemu talerzyk. Wyszła na palcach, wyczuwając, że w jadalni atmosfera się zagęszcza.

– Czy Adela zostanie z nami do końca wojny? – spytała Nela, wydłubując z ciasta upieczone kawałki śliwki.

– A niby gdzie by mogła znaleźć taką pracę? – zdziwiła się Ana. – Niech się cieszy, że ma szansę zarobić trochę grosza.

Nela przez chwilę układała sobie w głowie myśli, by zadać kolejne pytania w taki sposób, aby nie wzbudzić podejrzeń rodziców.

– Ona musi pracować, żeby mieć na chleb dla swoich dzieci, bo jej męża aresztowano i gdzieś wywieziono.

– Aresztowano? – podchwycił ojciec. – Wywieziono? – Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie mieszające się ze strachem. – Przecież dokładnie sprawdziłem tę rodzinę, zanim przyjechałaś Adelę do pracy.

– Może miał jakieś konszachty z polskimi bandytami? – zastanawiała się Ana, rozumiejąc przerażenie męża.

– Dowiem się jutro i jeśli to nie pomyłka, to wyrzucę ją na zbity pysk – warknął. – Nikt nie będzie narażał mojej rodziny na posądzenie o jakieś koneksje z polską hołotą!

Nela zgarbiła się, nie śmiać nikomu spojrzeć w oczy. Czuła, że nie tylko pogrzebała szansę, aby dowiedzieć się czegoś o Iwie, ale również naraziła rodzinę Adeli, choć nie zrobiła tego z rozmysłem. Nigdy wcześniej nie musiała analizować tego, co i o czym lub o kim mówi we własnym domu. Teraz każde słowo mogło przynieść zgubę komuś, kto i tak miał już dość innych problemów. Siedziała więc w ciszy, zastanawiając się, jak odkręcić to, co zrobiła. Miała wrażenie, że jej ciało zdrętwiało, a myśli utknęły w ciemnej przestrzeni, w której trudno się poruszać, by znaleźć wyjście.

– Nela, idziemy na wieczorny spacer? – zaproponował Tomasz, dostrzegając zmianę nastroju siostry.

Dziewczyna nawet nie drgnęła, więc chłopak podskoczył do niej i pomógł jej wstać, a potem wyprowadził z jadalni.

– Musisz się opanować, bo inaczej wszystko się wyda i stracimy szansę na odnalezienie Iwa – uprzedził ją, gdy wchodzili po schodach.

– Ja nie potrafię ciągle kłamać i lawirować! – Dziewczyna zaszlochała, zatrzymując się w połowie schodów.

– Nie masz wyjścia – odparł i pociągnął ją na górę. – Inaczej... – Urwał, widząc cierpienie na twarzy siostry.

Nela weszła do swojego pokoju i ciężko opadła na łóżko. Czuła zmęczenie i rezygnację. Od kilku dni krążyła z Tomaszem wokół Victoriaschule w nadziei, że uda im się spotkać kogoś znajomego, kto udzieli im jakichś wieści o więźniach.

W mieście krążyły różne informacje o tym, kto i za co może trafić do aresztu. Strach czał się w każdej polskiej piwnicy, przybudówce i na przeludnionych strychach. Ludzie nie czuli się bezpiecznie, wychodząc na ulicę za chlebem, którego wciąż brakowało, a jeśli się pojawił w sklepie, to i tak pierwszeństwo w jego zakupie przynależało Niemcom. Polacy musieli mieć niemieckich przyjaciół, by nie umrzeć z głodu. Ale krąg owych przyjaciół topniał, bo współpraca między wrogimi narodami była zakazana pod groźbą najsurowszych kar. Wyjątek stanowiło zatrudnienie Polaków u niemieckich pracodawców, ale tutaj liczyło się całkowite oddanie pracowników i ich nieposzlakowana opinia.

– Chodźmy stąd – zachęcił Tomas, uchylając drzwi.

– Nie mam siły – przyznała Nela, siedząc na podłodze z podciągniętymi pod brodę nogami. – Już nie wiem, co robić. Nie mogę pojąć, dlaczego łapiemy i więzimy ludzi, z którymi jeszcze miesiąc temu chodziliśmy po tych samych ulicach, mijaliśmy się w parkach i oddychaliśmy tym samym powietrzem. To nienormalne...

– Neluś, ty to wiesz i ja to wiem, ale takich jak my jest niewielu. Nie zdołamy ich przekonać do naszych racji. Musimy więc zrobić, co w naszej mocy, by jakoś przetrwać w tej rzeczywistości, a gdy tylko odnajdziemy Iwa, zrobię wszystko, byście znowu byli razem.

Dziewczyna nie mogła wydobyć z siebie słowa. Ból, który towarzyszył jej od chwili rozłąki z Iwem, chwycił ją za gardło i mocno trzymał. Jej usta drżały, a z zaciśniętych oczu płynęły łzy. Zdążyła już dostrzec swój błąd. Gdyby wcześniej zdecydowała się uciec z Iwem, dzisiaj byłiby razem. Wierzyła, że w Polsce byłiby bezpieczniejsi. Teraz nawet nie wiedziała, gdzie jest Iwo.

– Neluś... – zaczął Tomas, po czym klęknął przy siostrze. – Neluś, nie możemy się poddać. Iwo czeka na ciebie. Tylko musimy go odnaleźć. Resztę załatwimy. Mam trochę pieniędzy ze sprzedaży obrazów malowanych na zamówienie dla znajomych rodziców. Nie chciałem ich ruszać. Wiesz, jak to jest, gdy człowiek wyjedzie w nowe miejsce i musi się odnaleźć w towarzystwie. Wtedy warto mieć jakiś grosz na ekstra wydatki. Na razie wyjazd do Paryża stanął pod znakiem zapytania, więc co stoi na przeszkodzie, żebym inaczej spożytkował te pieniądze? Po tym jak Francja wypowiedziała Niemcom wojnę, nikt mnie tam nie chce, nawet jeśli osobiście nie mam nic wspólnego z tym całym cyrkiem. To nie moja wojna,

ale to tacy jak ja i ty najwięcej za nią zapłacą. Szkoda tylko, że ten mały człowieczek tego nie pojmuje.

– Już raz nas wspomogłeś...

– I zrobię to znowu, bo nie wyobrażam sobie, żeby Iwo miał niesłusznie gnić w więzieniu.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziaczyć... – Spojrzała na niego zboląła.

– Nawet o tym nie myśl. Teraz musimy skupić się na czymś innym.

Nela powoli kiwnęła głową. Tomas pomógł jej wstać z podłogi i podał jej sweter, bo wieczory nie należały już do ciepłych.

Właśnie schodzili na dół, gdy w holu dostrzegli jakieś zamieszanie. Nela zamarła. Było jednak za późno, by niepostrzeżenie wrócić na górę.

– Zobacz, Nelciu, kto nas odwiedził – zawołała Ana, podczas gdy Klara i Wilhelm właśnie witali się z panem domu.

– Uśmiechaj się i potakuj – polecił Tomas, nachylając się do jej ucha.

Nela jak na zawołanie przywołała sztuczny uśmiech na twarz, ale nie zrobiła kroku.

– Musimy do nich zejść – odpowiedział brat i lekko popchnął siostrę.

Ta powoli pokonała schody i podeszła do przybyłych. Nadstawiła policzek i zaczęła na przywitanie z przyjaciółką i narzeczoną. W sumie nie potrafiła znaleźć właściwego określenia dla łączących ją z Wilhelmem relacji. Nie kochała go i to było pewne. Jej uczucia były bliższe nienawiści wobec człowieka, który odważył się ją szantażować.

Zapach wody kolońskiej nachylającego się nad nią mężczyzny wywołał w niej obrzydzenie. Przed oczyma miała wspomnienie, gdy po raz pierwszy zagroził jej, że wyda sekret Franka. Wtedy wiele nocy przepłakała, nie rozumiejąc, jak mogła pokochać takiego człowieka.

– Jak zwykle wyglądasz pięknie – odezwał się Wilhelm, odsuwając się od niej o krok.

– Ach, zakochani – zauważyła Ana z dumą i odrobiną tęsknoty w głosie.

Wiedziała, że dla niej czas miłosnych uniesień już dawno się skończył. Andersa pochłaniała polityka. Wiele wieczorów spędził w towarzystwie innych mężczyzn,

rozprawiając o sprawach istotnych dla Danzigu oraz dla III Rzeszy. Początkowo Ana czuła się odtrącona, bo nieraz chciała wyjść do teatru czy do kina, ale jej mąż miał ważne spotkanie partii. Podobnie było z wyjazdami. Ana kochała poznawać nowe miejsca, dlatego chętnie podróżowała po Niemczech. Myślała, że kiedy dzieci na tyle podrosną, że będą mogły zostać z nianią w domu, ona wraz z mężem od czasu do czasu wyjedzie na zachód Europy, by poznać historię i kulturę innych krajów. Cóż, jeśli Andersa interesowała jedynie współczesna kultura, i to pojmowana przez pryzmat polityki...

Kilka razy Ana uparła się i wyjechała z dziećmi do Francji i do Włoch, ale nie czuła się dobrze, nie mogąc pójść na wydawane przez znajomych artystów przyjęcia. Nie była ani wdową, ani kobietą samotną, która miałaby prawo robić, co zechce, nie bacząc na konwenanse. Anders nie zgadzał się na jej samotne wyjścia na przyjęcia, więc niejedną wieczór nudziła się w pokojach hotelowych. Uznała więc, że owe podróże nie sprawiają jej takiej radości, jakiej oczekiwała. Zaprzestała zatem wyjazdów zagranicznych.

– Dobrze, że odwiedziliście Nelę, bo ostatnio humor jej nie dopisuje – podkreśliła matka, patrząc na zaszklony wzrok córki.

– Nela jest taka wrażliwa – zauważył Wilhelm, siląc się na czułość.

– Ty też to dostrzegłeś – rozczuliła się Ana i z uznaniem uśmiechnęła się do mężczyzny.

– Jak ja ci zazdroszczę – wtrąciła Klara, cmoknąwszy przyjaciółkę w rozpalony policzek.

– To moja przyszła żona, muszę więc wiedzieć o niej wszystko – oświadczył, wprawiając Nelę w osłupienie.

Nie tego oczekiwała po człowieku, który budził w niej lęk i odbierał wolność. Wiedziała jednak, że Wilhelm jest zbyt cwany na to, żeby tak łatwo zrezygnować ze swojej kariery, bo do tego właśnie była mu potrzebna. I póki co nie miała siły, by mu się otwarcie przeciwstawić.

– Zapraszamy na herbatę i coś słodkiego. – Anders przerwał sielankę. – Chodź, chciałem z tobą porozmawiać w cztery oczy w salonie przy lampce koniaku – dodał, patrząc na Wilhelma i świadomie pomijając Tomasa, którego nadal traktował jak dziecko.

Chłopak natychmiast to wyczuł, więc odwrócił się na pięcie i poszedł na górę.

– Albo szkockiej? – zapytał śmiało Wilhelm, stawiając się niemal na równi z gospodarzem.

Odkąd wybuchła wojna, mieli sporo wspólnych tematów do omówienia. Szybko pojęli, jak można, a nawet należy działać, aby wojna stała się bolesna dla każdego Polaka czy Żyda.

Ana zabrała dziewczęta do kuchni, bo Adela, posprzątawszy po kolacji, zdążyła już wyjść. Należało znowu rozpaść w kuchni, żeby zagotować wodę na herbatę. Na szczęście pozostała duża część upieczonego rano ciasta, choć Ana dałaby sobie rękę uciąć, że powinno być go znacznie więcej. I choć nigdy nie złapała Adeli na tym, że kradnie jedzenie, to nie wyzbyła się wobec niej podejrzeń.

W tym czasie Anders poprowadził Wilhelma do salonu i upewniwszy się, że nikt za nimi nie idzie, zamknął drzwi, a potem podszedł do barku, by nalać do kieliszków szkockiej, którą tak lubił przyszły zięć.

– Mam już listę – zaczął Wilhelm, mocząc usta w mocnym trunku.

– I nikt nie będzie o nic pytał?

– Na razie mają inne zmartwienia na głowie.

– A jak wrócą i będą się domagać zwrotu? – dopytywał Anders niepewnie.

– Oni już niczego nie mają. Wszystko przechodzi na rzecz państwa.

– Właśnie... państwa. – Anders westchnął i dużym haustem wypił połowę zawartości kieliszka, po czym się skrzywił.

– Przecież my w ten sposób zadamy o interesy Rzeszy i nie pozwolimy, by perełki straciły swą świetność – stwierdził Wilhelm i wzruszył ramionami.

– To na pewno, bo przez lata małżeństwa nauczyłem się od małżonki, że sztuki nie da się niczym zastąpić.

– Właśnie, i my chcemy ocalić to wszystko od zniszczenia.

Anders nie mógł usiedzieć na miejscu. Coś mu szeptało do ucha, że to, co chcą zrobić, nie leży w kręgu uczciwych działań, ale z drugiej strony wiedział, że jeśli tego nie zrobią, to rzeczywiście skorzysta na tym ktoś inny.

– Masz coś na oku? – spytał po dłuższej chwili namysłu i wyczekująco popatrzył na mężczyznę.

– Dwa miejsca. Wystarczy zadbać, żeby papiery miały wcześniejszą datę.

– Przygotujesz wszystko?

– Anders, załatwię to, jak trzeba. Mam też ludzi, którzy w razie czego wytłumaczą tym ludziom co i jak – oświadczył.

Witt podrapał się po czole, jakby trapiło go coś, z czym nie do końca potrafił sobie poradzić.

– Mam jeszcze jedną ciekawą propozycję – zaczął niepewnie.

– Powiesz coś więcej?

– Właścicielka uciekła z Danzig, a jej mąż trafił do Victoriaschule.

– Chcesz się zaopiekować jej majątkiem?

– I tak przepadnie...

– Ale skoro nie ma jej na miejscu, to w jaki sposób podpisze dokumenty?

– Wymyśl coś. W końcu jesteś prawnikiem.

– Spróbuję – dodał, a potem szkło lekko zabręczało w jego dłoni, gdy stuknął w kieliszek gospodarza.

Wypił wszystko i pokrzepiony trunkiem oraz dobrą passą nadstawił kieliszek po dolewkę.

Nela od dłuższej chwili stała tuż przy uchylonych drzwiach, podsłuchując rozmowę. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek Wilhelm mówił do jej ojca po imieniu. Ale dzisiaj nie tylko to wprowadziło ją w osłupienie. Nie miała pojęcia o tym, że mężczyźni robią wspólne interesy. Być może ojciec traktował Wilego jak członka rodziny i dlatego tak otwarcie z nim rozmawiał. Nela ciężko westchnęła i zrezygnowana zapukała do drzwi.

– Mama zaprasza na herbatkę i skromny poczęstunek – oświadczyła.

Mężczyźni bez słowa dopili resztę trunku z kieliszków i wyszli na korytarz. Anders zachęcony smakowitymi zapachami ciasta ochoczo podreptał do jadalni. Nela zrobiła kilka kroków za ojcem, ale wówczas poczuła szarpnięcie za łokieć i stanęła dęba. Podniosła wzrok i dostrzegła zimne spojrzenie Wilhelma, który przytrzymał ją i zaczął, aż zostali na korytarzu sami.

– Myślisz, że nie wiem, co robisz razem z bratem? – syknął wprost do jej ucha.

– To boli... – zaczęła, usiłując się wyrwać.

– Jeśli nie przestaniesz robić zamieszania i wzbudzać wokół siebie zainteresowania, to nie wytrzymam i powiem twojemu ojcu, że się puściłaś z jakimś polaczkiem.

– Co ty pleciesz? – jęknęła, wybałuszywszy na niego wzrok.

– Przestań łazić po Holzgasse. Na szczęście mam jeszcze paru zaufanych przyjaciół, którzy wiedzą, czym jest honor i dlatego zamiast na ciebie donieść, to zwrócili się bezpośrednio do mnie.

Nela spuściła wzrok i zacisnęła usta.

– Nie po to tyle pracowałem, żeby zdobyć taką pozycję i stracić wszystko przez twoją głupotę – syczał, potrząsając jej ranieniem jak szmacianą lalką. – Pamiętaj, że jeśli ja pójdę na dno, to pociągnę też ciebie razem z twoją rodziną.

Dziewczyna czuła jego nieświeży oddech. W uwięzionym w żelaznym potrzasku ramieniu coraz mocniej pulsowała krew.

– Puść, bo to naprawdę boli – podkreśliła, szarpiąc się jeszcze mocniej.

– To ma boleć! – warknął przez zaciśnięte zęby. – A ty masz pamiętać, że jesteś moją narzeczoną i masz się godnie zachowywać. Nie chcę słyszeć, że wypytujesz o jakiegoś polaczka.

– Idziecie? – Głos Tomasa zawisł w powietrzu.

– Chyba już wszystko ustaliliśmy, prawda, skarbie? – spytał Wilhelm, zwalniając uścisk i jednocześnie zachowując kamienną twarz. – Obydwoje musicie na siebie uważać, bo w mieście pełno polskich szaleńców, którzy dla kilku groszy gotowi są pobić, a nawet zabić – oświadczył z troską w głosie. – A nie zniósłbym tego, że moja narzeczona i jej rodzina cierpią. Za chwilę to będzie i moja rodzina... – zauważył z rozrzewnieniem i uśmiechnął się najpierw do Tomasa, a później do skulonej narzeczonej.

Tomas skrzywił się, próbując poukładać sobie w głowie to, co usłyszał. Nie miał na to jednak czasu, bo drzwi do jadalni otworzyły się na oścież i pojawiła się w nich rozbawiona Klara.

– Ile można na was czekać, gołąbeczki? – zachichotała i kilkakrotnie zatrzepotała gęstymi brązowymi rzęsami okalającymi jej oczy w kolorze bursztynu. – Wiem, że teraz macie dla siebie mało czasu, ale herbata stygnie, a ciasto czerstwieje – zażartowała, po czym wzięła Nelę pod rękę i zaprowadziła do stołu.

Dziewczyna cicho syknęła z bólu. Przyjaciółka zerknęła na nią zaskoczona, ale wymuszony uśmiech Neli widocznie wypadł na tyle przekonująco, że usiadła przy stole i powróciła do rozmowy.

– Właśnie opowiadałam twoim rodzicom, jak pięknie wyglądają ulice przyozdobione czerwonymi flagami Rzeszy. A gdy łopoczą na wietrze, to jakby morze falowało, tylko woda zmieniała kolor – szczebiotała uśmiechnięta.

Nela siedziała obok przyjaciółki, nie mając odwagi spojrzeć na siedzącego naprzeciwko niej Wilhelma.

– Też o tym bajecznym widoku opowiadałem Neli – skłamał narzeczony.

– Danzig tak szybko się zmienia... – rozmarzyła się Klara.

– I całe szczęście – wtrącił Anders.

– Wyobrażasz sobie nas idących ulicami skąpanymi w czerwieni flag? Ty w białej sukni i z pękiem rumianków w dłoni – ciągnął Wilhelm, nie odrywając wzroku od Neli.

– To urocze – zauważyła Klara, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Zabrakło chwili i byłby ślub. – Ana westchnęła z troską w głosie. – Ale przecież ofensywa idzie po naszej myśli, więc niebawem pomyślimy o weselu.

– Spokojnie, do lata ze wszystkim się uporamy – zapewnił Anders.

– Po co czekać do lata? – Wilhelm machnął ręką. – Czy my potrzebujemy wystawnego wesela? – zwrócił się w stronę Neli, ale ta zacisnęła usta i nawet nie raczyła obdarzyć go spojrzeniem. – Jak dla mnie, ślub możemy wziąć nawet jutro – dodał, wyraźnie akcentując ostatnie słowo.

Nela wyprostowała się na krześle i wytrzeszczyła oczy.

– Nie! – zaprotestowała hardo.

– Jak to? – zdziwiła się Ana, wpatrując się w nieoczekiwanie zmienione oblicze córki.

– Co nagle, to po diable – odparł przytomnie Tomas.

– Nie mogę ot tak wziąć ślubu... – zaczęła Nela. – A sukienka? Kwiaty? Goście? – wymieniała na poczekaniu.

– Sukienkę masz gotową – odparła Ana. – Kwiaty jakieś znajdziemy. W ogrodzie jeszcze stoją hortensje.

– Te suche badyle? – oburzyła się Nela z siłą, jakiej dawno nie czuła. – Suche kwiaty w wiązance ślubnej to przepis na nieudany związek... Ból i cierpienie – plotła, co jej ślina przyniosła na język.

Kiedys przeczytała w jakimś czasopiśmie o przesądach związanych ze ślubem, a i matka szczerze w nie wierzyła. Ojcu też nie były obojętne. Lata temu odrzucił wiarę, w której został ochrzczony i wychowany. Twierdził, że ona tylko go ogłupia i pozbawia możliwości świadomego wyboru. Jako polityk tej klasy musiał zachować jasność umysłu. Zarówno religia katolicka, jak i protestancka nie gwarantowały mu tego. Z każdym kolejnym rokiem zarówno on, jak i cała rodzina oddalali się od kościoła, choć paradoksalnie nadal kultywowali tradycje świąteczne. Było to jednak bardziej przywiązanie do pewnych zachowań w określonym czasie niż potrzeba postępowania zgodnie z zasadami jakiejś wiary.

Dla Neli wiara nie miała znaczenia. Nie rozumiała jej. Nigdy nikt nie pokusił się o to, by wyjaśnić jej, czym jest i co mogłaby wnieść do jej życia. A wraz z dojściem do władzy partii NSDAP Kościół był coraz bardziej piętnowany, zaś modny stawał się okultyzm i to właśnie o nim chętnie pisano nawet w liczących się periodykach. Temat był tak chodliwy, że obowiązkowo pojawiał się na każdym przyjęciu i spotkaniu towarzyskim. A gdy Hitler ujawnił, że sam korzysta z usług wróżbitów, zapanowała istna moda na wróżby, a nawet wywoływanie duchów. I choć Neli to ostatnie w ogóle nie pociągało, wręcz bała się takich fanaberii, to wiedziała, że jej matka przepada za podobnymi spotkaniami i często uczestniczy w seansach spirytystycznych. Następnego dnia z rozrzewnieniem o nich opowiadała w czasie kolacji, co sprawiało, że jej córka tym bardziej zamykała się na ten nieodgadniony świat istot, których nie pojmował rozum.

Pamiętała chwilę, gdy Ana Witt z fascynacją opowiadała o spotkaniu z Himmlerem w Berlinie. Była zauroczona dowódcą SS i bez opamiętania wychwalała go jako mecenasa wszelkiej maści okultystów. Reichsführer kultywował rytuały wzorowane na wagnerowskich operach w zamku Wewelsburg, do którego zaprosił państwa Witt, by w specjalnej komnacie ukrytej w podziemiach zamkowych mogli zobaczyć kamienny stół znany z legend arturiańskich, wokół którego zasiadali uczestnicy seansu spirytystycznego. Niestety Anders zaniemógł na zdrowiu i przez kilka dni leczył się z paskudnego przeziębienia. A Anie nie wypadało pozostawić małżonka samego w Berlinie. Musiała więc zrezygnować z zaproszenia, nad czym potajemnie wciąż ubolewała.

– Rzeczywiście, coś o tym słyszałam – zauważyła Klara.

– To poszukamy czegoś zielonego – odparła Ana, chcąc uspokoić córkę.

– Mamciu, to nie mogą być jakiegokolwiek kwiaty – szepnęła niemal ze łzami w oczach Nela. – Dla mnie to najważniejszy dzień w życiu i chcę, by wszystko było wyjątkowe i dopasowane do siebie.

– Ach, te baby! – zachnął się Anders i z wyrzutem spojrział na córkę.

– Dla kobiety to wyjątkowa chwila – usiłowała tłumaczyć Ana. – Nic na to nie poradzicie, że chcemy, by przetrwał w naszej pamięci lata. Później życie już nie jest tak kolorowe – dodała z nieskrywanym smutkiem.

– Lepiej odpuść, mój drogi, bo płaczu i szlochów nie zniosę w tym domu – stwierdził Anders, patrząc to na córkę, to na niedoszłego zięcia.

Wilhelm głośno przełknął ślinę i zagryzł dolną wargę. Nikt nie widział leżących na udach zaciśniętych dłoni. Przychodząc tu dzisiaj, liczył na inny obrót sprawy. Tymczasem został osaczony. Potrzebował chwili, by opanować wzburzone nerwy.

– Do lata ze wszystkim się uporamy i wtedy nareszcie będziecie razem – zapewniła Ana.

Wilhelm zmusił się do uśmiechu, który mógł być odebrany jako akceptacja pomysłu przyszłej teściowej, jednak w rzeczywistości maskował rosnącą w nim irytację.

Rozdział IX



Nieoczywiste oczywistości

Cichy świergot ptaków niósł się echem wśród wysokich drzew. Wprawdzie jesienne nawoływania z każdym dniem stawały się coraz cichsze, ale wciąż dawały sygnał nadejścia nowego dnia w obozie jenieckim w Stutthof.

Iwo obudził się skostniały z zimna. Gdy powróciła mu świadomość, podciągnął nogi pod brodę i objął się rękoma. Choć spał w jedynym swetrze, jaki zdołał zachować, i przykrył się marynarką, to od ziemi ciągnął chłód. O sienniku mogli tylko pomarzyć. Nawet siana im żałowano i równo rozdzielono pomiędzy wszystkie namioty. Nocne przymrozki zmuszały wszystkich do tulenie się do siebie. Odór spoconych ciał zmęczonych całodzienną pracą fizyczną gryzł w nozdrza, ale wszyscy szybko nauczyli się nie zwracać na to uwagi. Teraz spało ich po dwudziestu w namiocie, a w niektórych nawet więcej. Do umywalni chodzili raz w tygodniu, a i tak o mydle mogli tylko pomarzyć. Gdy na zewnątrz panował chłód, mycie przysparzało jeszcze większego kłopotu. Ludzie chodzili przeziębieni, narażając się na szykany i opluwanie.

Iwo przypomniał sobie o swoim wstydlwym problemie i dotknął miejsca, w którym dawniej znajdował się jego wąski nos. Twarda drewniana rynienka pozostała na swoim miejscu. Czasem zsuwała się w ciągu nocy. Za dnia nie mógł jej wkładać, żeby nie narazić się esesmanom. Bolesław Chmiel okazał się bardzo zaradny i kilka dni po tym, jak twarz Iwa została solidnie obita, a nos ponownie złamany, przyniósł kawałek wydrążonego drewna. Najpierw potajemnie sprawdził, czy opuchlizna zesza, a potem z pomocą Fredka nastawił nos. Iwo nieomal zemdłał. Gdyby nie kawałek patyka, w który wbił zęby, ściągnąłby do swojego namiotu wszystkich strażników. Później Chmiel wcisnął

kilkucentymetrowy kawałek drewna, który miał zabezpieczyć nos przed ponownym poruszeniem się i dać mu szansę, by się prawidłowo zrósł.

Pierwszego dnia, gdy wyszedł z tym osobliwym opatrunkiem z namiotu, natychmiast wzbudził zainteresowanie, najpierw współwięźniów, a potem esesmanów. Wystarczyło jedno szturchnięcie, by pozbył się drewnianej rynienki otulającej jego nos.

– Apel! – donośny krzyk strażnika przerywany gwizdkiem wyrwał Iwa z zamyślenia i przyspieszył jego wstawanie.

Trudno było przemieszczać się do wyjścia wśród splątanych ciała, ciasno ułożonych na piasku. Szybko więc opracowali sposób, by uniknąć wzajemnego deptania sobie po głowach. Najpierw musieli wstać i wyjść ci, którzy spali najbliżej wyjścia. Jeśli ktoś się ociągał, należało go pośpieszyć, by nie znaleźć się w grupie ostatnich więźniów stawiających się na apelu. To groziło obcięciem racji żywnościowych dla mieszkańców całego namiotu. Dlatego nikt nie chciał spać najdalej od wyjścia. W namiocie Iwa wszyscy zgodzili się, by była rotacja. W związku z tym każdego dnia spali w innym miejscu, przesuwając się zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Tej nocy Iwo wraz z Fredkiem, którego szczerze polubił, a i wiele mu zawdzięczał, spali mniej więcej w połowie drogi do wyjścia. Gdy więc z oddali doszły do nich odgłosy pobudki, natychmiast szarpnął druha za ramię schowane pod poplamionym płaszczem i nie odpuszczał, dopóki tamten nie otworzył oczu.

– Wstawaj i na zbiórkę – wyjaśniał patrzącemu na niego zaspanemu mężczyźnie.

Wspólnie poczęli się przeciskać. Wkrótce stanęli przed namiotem i co tchu pognali na plac pośrodku obozu, gdzie w kilkunastu długich szeregach ustawiali się więźniowie. Każdy miał przypisane swoje miejsce zgodnie z tym, w którym namiocie mieszkał.

Iwo zajął swoje i zmachany gonitwą patrzył na innych więźniów spieszących na apel.

– Nos... – syknął przez zęby Alfred i obdarzył Iwa wymownym spojrzeniem.

Mężczyzna czym prędzej złapał za rynienkę i ukrył ją w kieszeni, obok niegdyś należącej do Neli białej bawełnianej chusteczki do nosa, która nie wiedzieć jak zaplątała się w jego rzeczach, a którą potajemnie zabrał z walizki i ukrył w kieszeni

marynarki. Później zadbał o to, by z nim pozostała. Teraz traktował ją jak talizman na szczęście i dowód na to, że Nela naprawdę istniała i podarowała mu swoje serce.

Ostatni maruderzy otrzymali reprimendę w postaci kilku razów wymierzonych cienką wierzbową witką. Wreszcie poranny apel mógł się rozpocząć. Po sprawdzeniu obecności i przydzieleniu pracy na cały dzień wszyscy mogli wrócić na śniadanie. Brunatna polewka nie miała żadnego smaku. Podobnie jak kromka szarego, gliniastego chleba cienko pomazanego margaryną lub odrobiną marmolady z brukwi, w którym pełno było trocin.

Po zjedzeniu pierwszego z trzech posiłków, które otrzymywali coraz liczniejsi więźniowie obozu, następował wymarsz do pracy. Jeńcy podzieleni na komanda, mieli przydzielone określone zadania. Znakomita większość już piąty tydzień pracowała przy wznoszeniu baraków. I choć wszyscy się starali robić jak najwięcej, czując na plecach mroźny oddech zbliżającej się coraz większymi krokami zimy, to wciąż nie było widać końca.

– Myślisz, że w tym tygodniu przywiozą szyby? – odezwał się Iwo, gdy na chwilę przestał uderzać młotkiem w gwóźdź na wysokości swojej głowy.

– Jeśli nie wstawimy okien, to jaki sens ma przenoszenie nas do baraków? Już lepiej w tych namiotach.

– A idź tam! – obruszył się Władek, który przyjechał do obozu zaledwie tydzień temu i od tamtej pory przylgnał do Iwa i Alfreda. – Obyśmy jak najszybciej mogli tam spać. Luźno będzie, a i cieplej niż w tych szmatach.

– Chyba powinni wyznaczyć jakieś komando do zbijania prycz – zastanawiał się Alfred.

– Dobrze robią, że prawie wszystkim każą pracować przy barakach, bo szybciej staną. Później weźmiemy się za meble – odparł Władek, który przewyższał Iwa i większość więźniów o głowę, dlatego najczęściej wbijał gwoździe tam, gdzie inni nie mogli dosięgnąć. – Swoją drogą myślałem, że skoro tylu chłopów, to pójdzie nam to szybciej.

– Tylko pomyśl, ilu z nich kiedykolwiek trzymało młotek w ręce – zauważył Alfred i wymownie spojrzał na przyjaciela.

W obozie Iwo był już trzy tygodnie, dlatego zdążył się zorientować, że nie tylko w ich namiocie w większości mieszkają ludzie dobrze wykształceni, którzy przed

wybuchem wojny nie parali się pracą fizyczną. Zarabiali jako wykładowcy uniwersyteccy, nauczyciele, lekarze, aptekarze, artyści, a nawet księża. Ci ostatni wieczorami mieli ręce pełne roboty, służąc wsparciem tym, którzy w ciągu dnia podupadli na duchu i poczynali wątpić, że jest ktoś, kto nad nimi czuwa.

Wszyscy ci ludzie szybko odnajdowali swoje grupy zawodowe i trzymali się razem, darząc się szczególnym szacunkiem i zrozumieniem sytuacji. Na razie nikt nie wiedział, ile czasu przyjdzie mu spędzić w obozie jenieckim. Dla wielu wciąż niezrozumiałym był fakt przetrzymywania ich w zamknięciu bez wyroku sądu czy nawet bez wszczęcia postępowania przeciwko nim.

– Może lepiej by było, gdyby poszli do pracy w kuchni albo do rozładunku towarów? – zapytał Władek, przypominając wszystkim, że wciąż jest nowicjuszem i nie zdążył poznać wszystkich prawideł rządzących obozem.

– Ale oni już to robią – wyjaśnił Iwo bardzo cicho, bo właśnie dostrzegł zbliżającego się strażnika, który najwyraźniej miał już dość sterczenia w jednym miejscu i dlatego postanowił przejść na drugą stronę baraku.

– Po prostu brakuje fachowców – podsumował Alfred i głośniejszym uderzył młotkiem w deskę, by w ten sposób uciszyć inne rozmowy toczące się pomiędzy więźniami.

Młody esesman przeszedł obok mężczyzn, uważnie przypatrując się przybitym przez nich deskom. Podszedł bliżej i ze znanstwem wskazał wystający gwóźdź.

– Czyj to? – spytał po niemiecku.

Iwo spojrzał we wskazanym kierunku. To była deska, którą on przybijał. Rzeczywiście łepok gwoździa nieco odstawał. Oczywiście przy odrobinie dobrej woli mógł poprawić niewielką fuszerkę. Rzucił się więc do roboty, lecz zaraz poczuł na plecach uderzenie pałką. Odruchowo przyklęknął. Wiedział, że nie ma prawa pozostać w tej pozycji.

Odwrócił się, przeczuwając, co się za chwilę wydarzy. Pomyślał, że może zdoła niepostrzeżenie wyjąć z kieszeni i założyć na nos swoją drewnianą łupinkę. Wpatrzony w buty stojącego przed nim strażnika powoli sięgnął do kieszeni, ale wtedy wydarzyło się coś, co pozbawiło go tchu.

– Sturmmann, to ja spartoliłem robotę – oświadczył Władek i stanął pomiędzy Iwem a Niemcem, który zadarł głowę i wybałuszył oczy na wielkoluda; oprócz tego, że przewyższał go o głowę, to tygodniowy pobyt nie zdążył go odchudzić

i wciąż jeszcze ważył ponad sto kilo. – Niewygodnie mi tak nisko przybijać i dlatego ta fuszera, ale już poprawiam – dodał pokornie i jednym mocnym uderzeniem dobił gwóźdź. A za swoją gafę przeprosił wymuszonym uśmiechem.

Iwo szybciej oddychał, wciąż klęcząc. Nauczony doświadczeniem wołał nie poruszać się bez wyraźnego pozwolenia.

– Wracać do roboty – zarządził młody strażnik, wymachując na boki ścisną w rękę pałką. – Tylko bez takich wybryków.

Przez kolejną godzinę nie spuścił wzroku z pracujących, gotów w każdej chwili interweniować, gdyby ich poczynania wzbudziły jakiegokolwiek podejrzenia.

Iwo opanował drżenie rąk i starał się nie zwracać uwagi na to, że jest obserwowany.

– Herman, co ty się tym gnidom tak przypatrujesz? – zagaił młodego strażnika inny, nieco straszny i roślejszy. – Jeszcze kto cię posądzi, że któryś wpadł ci w oko. – Zaśmiał się i poklepał kolegę po ramieniu.

Młodzik zmieszał się i natychmiast spochmurniał. Nie w smak były mu takie komentarze. Owszem, nie był jeszcze z dziewczyną, ale mężczyźni go brzydzili. Tym przyglądał się z podziwem i zainteresowaniem. Nad wyraz sprawnie operowali narzędziami. Nie wszyscy tak potrafili. Widział fuszerki wstawiane przez innych więźniów. Ta ekipa zasługiwała na pochwałę. Tylko czy wypadało chwalić takich degeneratów? W końcu w nagrodę tutaj nie siedzieli.

Karl Herman odwrócił się i omiół wzrokiem pozostałych więźniów. Jego kolega stanął po przeciwnej stronie baraku. W ten sposób wszystkich mieli na oku i mogli dopilnować, by więźniowie nie rozmawiali. Komendant obozu po wielokroć przestrzegał, by eliminowali zbędne gadulstwo w czasie pracy. Jeńcy mieli myśleć o przydzielonych im zadaniach do wykonania, a nie snuć plany na przyszłość, a już na pewno niedozwolone było myślenie o ucieczce. „Im mniej rozmów, tym mniej problemów” – to zdanie wtłaczano im do głów na każdym apelu i szczególnie pieczołowicie przestrzegano tej zasady.

Sturmann Herman zamyślił się nad swoim losem. Mieszkając w Marienburgu, widział siebie jako właściciela stolarni. Kochał pracę w ciszy, a dotyk chłodnego drewna dawał mu poczucie spokoju. Nieraz zapominał się i drażył kawałek drewnianka, dopóki nie powstał jakiś krasnolud, smok czy elf znany z baśni czytanych mu w dzieciństwie przez babkę. Ta praca bardzo drażniła

jego rodziców, którzy pokładali w nim inne nadzieje. Gdy tylko podrósł, zabronili mu chodzić do pobliskiej stolarni i spędzać w niej każdy wieczór. Zamiast tego ojciec zapisał go do Hitlerjugend i przykazał wykonywać wszystkie polecenia przełożonych. Tutaj kilkunastoletni chłopiec miał zbudować swoją pozycję i choć nie należał ani do specjalnie wyrosniętych, ani do dobrze zbudowanych, to musiał sprostać wymaganiom nazistowskiej formacji, w której miał zajęcia z musztry wojskowej i uczył się posługiwać bronią palną. Latem dużo czasu spędzał na powietrzu, przymuszany do uprawiania sportu, głównie boksu. Nie znosił ćwiczeń fizycznych i współzawodnictwa, w którym zwykle przegrywał.

A później przyszła propozycja wstąpienia do formacji SS. Rodzice zdecydowali, że powinien z niej skorzystać. Co mógł zrobić?

Po zjedzeniu cienkiej zupy na obiad więźniowie powrócili do pracy. I znów nastąpiła kanonada odgłosów przybijania, cięcia, mocowania desek. I tak od świtu do nocy.

Herman postawił kołnierz płaszcza i poprawił czapkę, bo od kilku minut siąpił deszcz. Ci więźniowie, którzy posiadali czapki, też mocniej naciągnęli je na uszy. Pozostali mieli już wilgotne włosy. Sturmmann spojrzał w górę przez nienakryty dach. Posępne chmury zakryły błękit nieba, co przyspieszyło nadejście nocy.

Szczęśliwie odgwizdano koniec pracy. Więźniowie powlekli się na apel. Po całym dniu pracy tylko nieliczni mieli siłę ustać na nogach przez godzinę czy dwie, bo i tak się zdarzało. Dzisiaj po cichu liczyli, że deszcz im pomoże i zniechęci strażników do męczącego postoju na placu.

Iwo znowu cierpiał z powodu bólu brzucha. Dwa razy po obiedzie biegł do latryny, ale nie bardzo pomogło. Teraz włókł się na zbiórkę, a jego myśli krążyły wokół kolacji.

Zgodnie z przewidywaniami apel odbył się w wyjątkowo szybkim tempie i przemoczeni jeńcy podreptali w stronę wózka z jedzeniem. Choć padało, sagany z kawą stały otwarte. Nikt się tym nie przejmował, że wodnista kawa stanie się jeszcze bardziej lurowata. Gorzej wyglądała kwestia chleba, który namoknięty rozpadał się na kawałki, gdy podawano go więźniom.

Iwo wziął swoją porcję i poczłapał w stronę namiotu. Zanim do niego doszedł, zdążył zjeść cały rozmoczony chleb, nawet kawałek, który mu wypadł na błotnistą ziemię.

Wszedł do środka, usiadł na słomie i wypił z blaszanej miski wodnistą kawę. Puste naczynie obowiązkowo wystawił przed namiot. Każda kropla czystej wody była na wagę złota. Nikt nie przepuścił takiej okazji i już po chwili rząd kilkunastu misek otoczył ich namiot. Inne też oplótł pierścien blaszanych naczyń.

Alfred usiadł najdalej od wyjścia. Dzisiejszej nocy to oni mieli spać w tym miejscu. Jedyna korzyść z tego układu to możliwość szeptania z leżącymi najbliżej więźniami. Iwo nie miał siły nawet na to. Zwinął się w kłębek i mocniej przyciągnął nogi do piersi, potem poprawił marynarkę i zamknął powieki, usiłując przestać myśleć o bólu brzucha.

Tymczasem Alfred odwrócił się w stronę Władka, a widząc, że kolega nie śpi, zwrócił się do niego z pytaniem, które chciał mu zadać, odkąd pojawił się w obozie.

– Jak naszym idzie na froncie? – zagaił najciszej, jak potrafił.

– Frontu już dawno nie ma – odparł Władek szeptem.

– Jak to „nie ma”?

– Nasi już się poddali. Władze uciekły za granicę, a żołnierze albo trafili do obozów jenieckich w Rzeszy lub w Związku Radzieckim, albo wydostali się z kraju, żeby walczyć ramię w ramię z wojskiem angielskim. Wielu ukryło się w lesie i uprzykrza życie szwabom.

Alfred zmarszczył brwi.

– Dlaczego u Ruskich?

– Czerwoni napadli na nas – odparł Władek.

– Napadli? – powtórzył cicho Fredek.

– Teraz z dwóch stron jesteśmy otoczeni i nie ma szans na szczęśliwy koniec.

– A co ze wsparciem ze strony Francji i Anglii? – indagował dalej sąsiad.

– Sami trzęsą portkami.

– Nie ma żadnej pomocy?

– Na razie wszyscy się na nas wypięli...

– Czyli nie ma szans, że szybko nas stąd wypuszczą...

– Ponoć dużo takich obozów w Polsce, Rzeszy i Związku Radzieckim.

– Ale wszystkich nas w nich nie zamkną.

– Nie byłbym tego taki pewny... – Władek zmarkotniał. – Z mojej wsi wywieźli wszystkich mężczyzn i chłopców. Mam tylko nadzieję, że kobietom dali spokój... – Urwał nieskory do dalszej rozmowy.

Myśli Władka poszybowały w rodzinne strony, gdzie spokojnie pracował w cukrowni. Każdy grosz przynosił do domu i oddawał matce, która dzieliła jego wypłatę na trzy równe części. Pierwszą przeznaczala na zakup kawy, herbaty, cukru czy przypraw. Za drugą część kupowała buty dla jednego członka z dziesięcioosobowej rodziny. Trzecią znów dzieliła – jedną połowę oddawała Władkowi na jego wydatki, zaś pozostałą kwotę chowała do puszek na czarną godzinę, a tych nie brakowało wśród liczego rodzeństwa Władka.

Matka podobnie postępowała z pensją przyniesioną przez męża i z wypłatą starszej córki. Sama nie zarabiała, prowadziła natomiast dom i opiekowała się młodszymi dziećmi. Gdy do miasteczka weszli Niemcy, z ich domu wyprowadzili trzech mężczyzn. Jego brat nawet nie skończył szesnastu lat. To był ostatni raz, kiedy widział brata i ojca. Później ciężarówki przetransportowały ich w różne miejsca. On po tygodniowej włóczędze po różnych więzieniach wylądował w Stutthofie.

Alfred przekręcił się na drugi bok. Nie mógł zrozumieć, jak Polska mogła tak łatwo utracić wolność. Polityka prowadzona przez władze wydawała się gwarantować spokój wszystkim mieszkańcom kraju. Kolejne traktaty i sojusze miały zapewnić bezpieczeństwo. Wiele razy słyszał przemawiającego Mościckiego, który twierdził, że Polska rośnie w siłę i nigdy więcej nie upadnie na kolana przed żadnym sąsiadem.

A Związek Radziecki? Jak to się stało, że stanął ramię w ramię z Rzeszą? To nie mieściło mu się w głowie. Długo w nocy kręcił się, nie mogąc zasnąć.

Rozdział X



Pakt z diabłem

– To bez sensu – oświadczył Tomas, sadowiać się na fotelu ustawionym naprzeciwko łóżka Neli. – I tu wcale nie chodzi o pieniądze.

– Wiem i nie mam prawa wymagać od ciebie więcej – przyznała Nela, całkiem nieświadomie obgryzając paznokcie. – Naprawdę zasługujesz na medal, a pieniądze ci oddam.

– Nawet tak nie myśl.

– Przecież wiem, ile guldenów wydałeś, żeby dowiedzieć się, gdzie wywieźli Iwa.

– To dopiero początek – westchnął. Musimy mieć pewność, że on tam naprawdę jest.

Teraz w ciszy zastanawiali się nad kolejnym krokiem, który powinni wykonać. Odkąd Wilhelm zdradził Neli, że wie o jej poszukiwaniach, musieli zachować czujność. Tomas zabronił siostrze jakichkolwiek rozmów z esesmanami. Z jednym z oficerów przez jakiś czas ot tak rozmawiał, żartował, częstował go papierosami, by na koniec niby od niechcienia zagaić o więźniów Victoriaschule. To dzięki temu wiedzieli, że Iwo został wywieziony do obozu w Stutthof. Wciąż jednak pozostawało otwarte pytanie, czy nadal tam przebywał, czy może trafił już do innego miejsca. Oddałaby wszystko, gdyby tylko miała cień nadziei na to, że Iwo powrócił do swojej wioski. Ta niepewność burzyła jej spokój.

– Powinniśmy jechać więc do Stutthof i sprawdzić – zaczęła Nela. – Wiemy, dokąd iść, bo już raz tam byliśmy. Teraz jest jasne, co szykowano za drutami. – Westchnęła i mocniej okryła się kocem.

Przez ostatnich kilka wieczorów na dworze panował chłód, a nocami szadź otulała swym białym płaszczem roślinność. Odkąd Wittowie zwolnili Adele, której reputacja została solidnie nadszarpnięta, co mogło postawić gospodarzy w złym świetle, nie było komu zająć się prowadzeniem domu, a co za tym idzie – paleniem w piecach. Przepalano więc raz na dwa, a nawet trzy dni, gdy już domownikom grabiły z zimna wszystkie palce, a nos czerwieniał. I chociaż Ana Witt rozpuściła po mieście wici, że usilnie szuka kogoś do pomocy w kuchni, to nikt nie kwapił się odpowiedzieć na jej apel.

– Przecież w każdym areszcie jest lista aresztowanych, więc i tutaj powinno być podobnie – ciągnęła niewzruszona Nela.

– To zbyt niebezpieczne – zauważył. – A jeśli ktoś zainteresuje się tym, dlaczego wypyujemy o Polaka?

– A czyż to przestępstwo?

– Nelciu, nie kombinuj – jęknął i też sięgnął po gruby pled leżący na drugim fotelu. – Myślisz, że ktoś się na to nabierze?

Patrzył na nią wyczekująco, ale nie odpowiedziała. Zmienił więc temat. Od dawna nurtowało go to pytanie, ale nie śmiał go zadać. Ostatnie wydarzenia nieco go zmyliły, dlatego nie wiedział, co powinien o tym myśleć.

– Dlaczego zwodzisz Wilego? – zaczął dość niepewnie. – On cały czas myśli, że chcesz tego ślubu.

Nela w milczeniu, ale ze zdwojoną siłą poczęła wyskubywać wełniane nici z koca. Już dawno spodziewała się tego pytania, ale gdy rozbrzmiało w pokoju, nie wiedziała, od czego zacząć. Opuściła głowę jeszcze niżej, by w szarości popołudnia nie dostrzegł jej szklistego wzroku. Łamiącego głosu nie zdołała ukryć.

– Wiem, jak to wszystko wygląda – zaczęła wreszcie. – Myślisz, że to mi się podoba? Że tego chcę?

– Nie – odparł. – Ale nie mam pojęcia, dlaczego to robisz. Z jednej strony ryzykujesz wszystko dla Iwa, a z drugiej strony ciągniesz związek z Wilim. To po prostu nie w porządku wobec żadnego z nich.

– Nie masz pojęcia, ile bym dała, by było zupełnie inaczej...

– Inaczej, czyli jak?

Nela na moment zagryzła dolną wargę, ale ta nie chciała przestać drżeć. Nie zdołała też zapanować nad łzami, które spłynęły po jej policzkach. Jeszcze bardziej

się skuliła.

– Nie płacz, proszę – nalegał, siadając przy niej i obejmując ją ramieniem. – Wiem, że ci ciężko, dlatego nie śmiałem pytać, ale może będzie ci lepiej, kiedy to z siebie wyrzucisz?

Nela przytuliła się, wciąż szlochając. Tomas gładził jej miękkie włosy puklami spływające na ramiona. Ostatnio często nosiła je rozpuszczone, bo zupełnie straciła chęć układania ich w elegancką fryzurę.

Siedzieli tak w milczeniu, aż noc na dobre rozsiadła się na parapecie i zasłoniła cały świat. Dopiero w ciemności Nela zdobyła się na odwagę, by przemówić.

– Chciałabym być z Iwem i to z nim spędzić resztę życia, ale Wili nie pozwala mi odejść.

– Jak to? – zapytał, nie wypuszczając jej z objęć.

Skinęła głową, a później długo opowiadała o tym, jak bardzo pomyliła się wobec Meyera. Tomas nie przerywał, składając w całość zagadkowe zachowania narzeczonych, dla których uczucie miłości stało się tak odległe jak dwa bieguny.

– Sądzisz, że Frank naprawdę jest... – Urwał, nie mogąc znaleźć właściwego określenia.

– Nie wiem, ale gdy zaczęłam się nad tym zastanawiać, to rzeczywiście Frank nie spotykał się z żadną dziewczyną. Nawet gdy dał się wyciągnąć na potańcówkę, to i tak stał pod ścianą. Zawsze wydawał mi się nieśmiały wobec kobiet.

– To się nie mieści w głowie – oświadczył, odsuwając się od Neli. – I co zamierzasz zrobić?

– Kolacja! – Głos matki dochodzący z dołu postawił obydwójce na równe nogi.

Nela wydmuchała nos i otarła z twarzy resztki łez, po czym poczłapała na dół. Wiedziała, że to wezwanie wcale nie oznacza, że matka zaprasza ich na kolację. To oni mieli ją przygotować i postawić na stole przed rodzicami. Już dawno przestała z tym dyskutować.

W kuchni, a później w czasie kolacji unikała rozmów, a Tomas starał się odpowiadać za nią.

Gdy po kolacji Nela położyła się do łóżka, sen długo nie przychodził. Wierciła się, to nakrywając się pierzyną z gęsiego puchu, to znów odkrywając, żeby się nie spocić. Wreszcie zmęczona zapadła w niespokojny sen.

Rankiem Nela wyściubiła nos spod pierzyny i przetarła zaczerwienione oczy. Miała plan. Nowy plan. Wyskoczyła z łóżka, starając się nie zwracać uwagi na chłód bijący od podłogi. W pośpiechu włożyła gruby golf z czarnej włóczki przywieziony przez ojca z podróży do Berlina, gdzie zjadł kolację w towarzystwie Hitlera i jego świty. Do tej pory bardzo lubiła podarunek, ale dzisiaj nie czuła się w nim tak dobrze jak kiedyś. Miała nieodparte wrażenie, że jest obserwowana. To dziwne uczucie ustąpiło dopiero wtedy, gdy zdjęła golf. Wrzuciła go głęboko do szafy, a potem włożyła bladoniebieski sweterek, a na niego zarzuciła kamizelkę z baraniej skóry. Do tego czarne spodnie i buty w tym samym kolorze. Złapała płaszcz. Teraz już mogła wyjść do miasta.

Niezauważenie wyslizgnęła się z domu. Miała ściśnięty żołądek, więc nie było sensu zaglądać do kuchni, w której nikt na nią nie czekał z kubkiem kawy na mleku czy chrupiącym rogalikiem z różanym nadzieniem.

Ostatnio każde takie wyjście miało jeden cel – poszukiwania Iwa. Nie patrzyła na naprędcę łatanie dziury w kamienicach i dziurawe jak durszlak płoty wokół nich. Nie skandowała, widząc kolejną grupę jeńców prowadzonych ulicami Danzig. Nie zadzierała głowy, by podziwiać dopiero co zawieszane flagi na budynkach, w których rozsiedli się Niemcy tak chętnie zajmujący mieszkania po Polakach. Dzień po dniu miasto stawało się coraz bardziej obce. Dusila się w nim.

Skuliła się i postawiła kołnierz płaszcza. Dmący tuż nad jej uchem wiatr przypominał o zbliżającej się zimie. W połowie października wszystkie kozuchy i futra wietrzyły się, by oddać zapach naftaliny. I chociaż tegoroczna jesień zdecydowanie różniła się od tych, które Nela wcześniej przeżyła, to jej matka nie zamierzała zaniechać tradycji odświeżania zimowej garderoby. Teraz czekała na nadejście zimy.

Póki co w dzień świeciło słońce i nie było potrzeby zakładania grubego futra. Nela przyspieszyła kroku. Minawszy kilka zamkniętych sklepów straszących powybijanymi szybami i obraźliwymi napisami na ścianach wobec polskich właścicieli, za rogiem skręciła w wąską uliczkę, którą rzadko jeździły bryczki czy samochody. Przebiegła przez jezdnię i weszła od tyłu do wysokiej kamienicy, która swą okazałość prezentowała od frontu. Pokonała kilkanaście dębowych schodów i weszła na drugie piętro. Zastukała do drzwi i czekając na ich otwarcie, rozpięła płaszcz i poprawiła rozwiane włosy, dodając sobie pewności.

Zamek zazgrzytał, po czym drzwi się uchylły.

– A co ty tutaj robisz? – przywitał ją ozięble gospodarz.

– Wili, musimy poważnie porozmawiać.

– Niby o czym? Wszystko jest jasne. Latem bierzemy ślub i tyle – przypomniał jej, wciąż trzymając ją na korytarzu.

– A gdybym miała dla ciebie lepszą propozycję? – zaczęła niepewnie.

– Słowo „propozycja” niezmiennie wzbudza moje zainteresowanie – stwierdził i odsunął się na tyle, by mogła wejść.

W mieszkaniu unosił się zapach tytoniu i kawy. Weszła do niewielkiego salonu, który jednocześnie służył prawnikowi jako gabinet.

Kątem oka dostrzegła dwie filiżanki stojące na stoliku przy oknie.

– Przepraszam za bałagan. Nie zdążyłem posprzątać – ciągnął, szybko zabierając naczynia ze stołu. – Siadaj, proszę.

Nela bez pośpiechu zdjęła płaszcz i przysiadła na skórzanej kanapie.

– Chętnie napiłabym się kawy – stwierdziła, chcąc odwlec moment rozmowy.

Wprawdzie wszystko przećwiczyła, i to kilka razy, ale widok dodatkowego nakrycia na stole nieco zbił ją z tropu. Nad filiżankami w zwiewnym tańcu unosiła się para. Najwidoczniej jego gość dopiero co wyszedł albo wciąż tu jeszcze był.

– Oczywiście, zaraz przyniosę.

Nela została sama, nasłuchując odgłosów z korytarza. Mogłaby przysiąc, że drzwi wyjściowe cicho stuknęły. Nie miała pojęcia, kim mógł być ów tajemniczy gość, ale po jego wyjściu odetchnęła, nabierając pewności siebie. Wiedziała, że to jedyna szansa i nie zmierzała jej zmarnować.

Gdy Wilhelm wrócił z tacą, na której niósł dwie nowe filiżanki, cukiernicę i podgrzane mleko, Nela czekała na niego z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Obserwowała mężczyznę stawiającego na stoliku naczynia. Nie zamierzała go wyręczać. Gdy już usiadł naprzeciwko niej i spojrzał na nią wyczekująco, przerwała ciszę.

– Obydwoje mamy świadomość, jak bardzo zależy ci, by nasz ślub odbył się jak najszybciej – zauważyła, starając się zachować kamienny wyraz twarzy. – Doskonale wiesz, że do lata jeszcze daleko, więc do tego czasu wszystko może się zdarzyć. W końcu mamy wojnę – dodała pewniejszym głosem. – Dzisiaj pijesz

kawę, planując przyszłość, a jutro zabłąkana kula naszego wojska trafia cię prosto w serce...

- O czym ty bredzisz? – obruszył się.
- O życiu... i o śmierci...
- Mów, z czym przyszedłeś.
- Mogę zgodzić się na ślub za dwa miesiące...

Wilhelm wstał i zaczął krążyć po salonie. Niebawem zamierzał zmienić mieszkanie. Budowę jego nowej kamienicy przerwał wybuch wojny. Majster uciekł w głąb Rzeszy, obawiając się śmierci. Jego pomocnicy rozpieczęśli się po okolicznych wioskach i nikt nie myślał o dokończeniu roboty. Na szczęście Wili miał już nowy plan, a trzypiętrowa kamienica po polskim przedsiębiorcy była w zasięgu jego możliwości. Najpóźniej do końca miesiąca chciał zamknąć transakcję darowizny, którą to życzliwa żona przedsiębiorcy zdecydowała się przekazać na rzecz przesympatycznego i pomocnego prawnika obiecującego jej możliwość mieszkania w kamienicy i opiekę aż do śmierci.

– Jaki stawiasz warunek? Bo nie wierzę w nagły powrót miłości – odezwał się, stając tuż przy niej. – Swoją drogą nie posądzałem cię o taką przebiegłość.

– Ludzie się zmieniają – oświadczyła, nie dając po sobie poznać, że w środku wciąż drży.

Wilhelm pokiwał głową z uznaniem.

- Czego chcesz?
- Potrzebuję informacji.
- Informacji? I ona jest tak cenna, że kładziesz na szali swoją rękę? – Zaśmiał się. Odczekała, aż Wilhelm przestanie.
- Chcę wiedzieć, czy w obozie w Stutthofie znajduje się Iwo Koźmiński.
- Polaczek?

Skinieniem głowy potwierdziła.

- To z nim się płączesz?
- Nie twoja sprawa.
- Moja, bo nie zrobisz ze mnie rogowca, ty mała dziwko! – warknął.
- Nie zrobię. Przysięgam. Ale muszę znaleźć tego człowieka. To przyjaciel Tomasa, który dużo dla niego zrobił i musimy mu pomóc.

– Przecież do obozu trafiają sami bandyci. Z kimś takim przyjaźni się twój brat? Niezła rodzinka...

– Iwo trafił tam przez pomyłkę. To dobry chłopak, dlatego tak bardzo się o niego martwimy.

– Skoro to przyjaciel Tomasa, to dlaczego jego tutaj nie ma?

– Bo nie stać go na to, by ci zapłacić za pomoc.

Wilhelm znów dreptał po salonie, ważąc wszystkie za i przeciw. Jeśli dobrze pójdzie, upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zatarł ręce i z powrotem usadowił się w fotelu. Patrząc Neli głęboko w oczy, odezwał się:

– Wierzę w prawdziwą męską przyjaźń, dlatego postaram się pomóc, ale najpierw muszę mieć pewność, że ten Koźmiński nie jest jakimś podpalaczem albo mordercą.

– Nie jest. Zaręczam. – Uśmiechnęła się.

Wilhelm podał jej filiżankę i w milczeniu czekał, aż ją opróżni. Kiedy oddała mu pustą, odstawił ją na stół, po czym wstał, zapiął zamszą marynarkę i ruszył w stronę wyjścia. Wiedziała, co powinna zrobić. Ruszyła za nim.

– Masz czas na załatwienie swoich spraw do sylwestra – powiedział, stojąc w otwartych drzwiach. – Tego dnia bierzemy ślub bez względu na wszystko.

– Tylko jeśli wywiązesz się z umowy. – Spojrzała na niego hardo.

– Tego akurat możesz być pewna. Odezwę się wkrótce – dodał i zaczekał, aż wyjdzie.

Nela na glinianych nogach zeszła na parter, a gdy wyszła na dwór, oparła się plecami o chłodną ścianę i z całych sił nabrała powietrza w płuca, a potem je wypuściła.

Wracała tą samą trasą, ale dopiero teraz zwróciła uwagę na uśmiechające się do niej słońce. Od dawna nie czuła w sobie tyle nadziei, co teraz. Może była przedwczesna, ale wiedziała, że przynęta zarzucona na Wilhelma zadziałała. Teraz należało się uzbroić w cierpliwość i zczekać na wieści.

Gdy wróciła do domu, do kuchni zwabiły ją odgłosy rozmowy. Podeszła bliżej i przyłożyła ucho do drzwi.

– Polaków już nigdy nie zatrudnię – mówiła Ana Witt. – To niepewny element. Niby porządni, zarzekają się, że w żadnych ciemnych interesach nie biorą udziału,

a później okazuje się, że mąż takiej łąduje w więzieniu za podjudzanie przeciwko nam, swoim chlebodawcom – ciągnęła podniesionym głosem. – Jakież to okrutne i bezduszne!

– Wiem, wiem i zaręczam pani, że moja kuzynka nigdy czegoś tak podłego by nie zrobiła. To porządna Niemka, choć stara panna. Umie gotować, a i przetwory pani robi. A jaki jabłecznik piecze! – zachwalała nieznajoma. – Teraz musi wyprowadzić się od swojego brata, u którego rezydowała, bo wróciły jego dwie córki z przychówkiem. Ich mężowie poszli na front, a one, bidule, nie mogą same mieszkać na gospodarstwie.

– Niech więc ta kuzynka przyjdzie jeszcze dzisiaj – stwierdziła Ana i pożegnała gościa.

Nela odczekała chwilę, zanim weszła.

– A gdzie ty bez śniadania biegasz po mieście? – zrugła ją matka.

– Musiałam coś załatwić.

Nela usiadła przy stole, na którym leżały wczorajszy chleb i masło, a tuż obok stał słoik z dżemem wiśniowym.

– Mam nadzieję, że od jutra na śniadanie znów będziemy jeść jajecznicę ze świeżych jaj i chrupiący chleb – rozmarzyła się matka. – Podskórnie wiedziałam, że Polakom nie można ufać. Tym razem będę mądrzejsza i zatrudnię rodowitą Niemkę. Może i nie zjemy tak dobrze, ale chociaż ojciec nie będzie musiał się wstydzić tego, co się dzieje pod naszym dachem. A i w piecach w końcu ktoś solidnie napali – dodała. – Och, już nie mogę się doczekać.

Nela rozumiała tę radość matki. Sama też miała dość dodatkowych obowiązków, które na nią spadły. Oprócz przygotowywania posiłków i rozpalania ognia musiała jeszcze pamiętać, by regularnie dokładać drewna do żeliwnej kuchni, bo wówczas o gorącej herbacie czy kawie można było zapomnieć. Na Tomasa spadło palenie w piecach, ale i jemu trudno było pamiętać o tym, by regularnie dokładać opału. A gdy wychodził z domu, by rozpytywać o Iwa, to Nela musiała doglądać wszystkiego. Z różnym skutkiem wywiązywała się z tego obowiązku, więc w domu przeważnie panował chłód.

Dopiero teraz jego właściciele zdali sobie sprawę, w jak wielkim budynku mieszkają i ile pracy wymaga jego prowadzenie. O palpitację serca przyprawiał Anę widok jej ukochanego ogrodu, w którym długie pędy róż wplątywały się

w gałęzie wierzby płaczącej, a usłany liśćmi trawnik przypominał pstrokaty dywan, który kiedyś widziała na jarmarku w południowej Bawarii. Z dnia na dzień odpychała od siebie myśl o jesiennych porządkach w ogrodzie. Rozpytywała znajomych o to, czy nie poleciliby jej kogoś do pracy na zewnątrz, ale każdy borykał się z tymi samymi trudnościami, czyli brakiem rąk do pomocy.

Nela zjadła śniadanie i posprzątała w kuchni. Później nastawiła zupę. Kilka dni temu matce udało się kupić dwa worki kartofli, trochę marchwi, buraków i kapusty. Teraz więc gotowała barszcz czerwony. Na coś przydało się przesiadywanie w kuchni, gdy była dzieckiem. I chociaż doskonale wiedziała, że jej potrawom daleko było do smaku tych przygotowywanych przez Adelę, to nikt nie grymasił i jadł to, co stawiała na stole.

Po obiedzie wreszcie spotkała Tomasza.

– Znowu lipa – oświadczył, gdy weszła do jego pokoju. – Nikt nic nie wie o obozie. Niby jest, ale po co i co się w nim dzieje, tego nie wiadomo.

– Mam nadzieję, że wkrótce czegoś się dowiemy – odparła enigmatycznie i usiadła na niewielkim dywanie leżącym obok łóżka brata. Po drugiej stronie podłoga była odsłonięta, żeby łatwo było można z niej zmyć rozchlapane farby.

Nela widziała obraz, nad którym aktualnie pracuje Tomasz, ale po raz pierwszy wolałaby nie patrzeć na płótno. Zielony las z powykrzywianymi sosnami niknął za czernią grubych, najeżonych kolcami drutów. Chłopak zamoczył pędzel w farbie i wrócił do malowania. Doskonale pamiętał widok, który teraz przywoływał na obrazie.

– Co zrobimy, jeśli Iwa tam nie ma? – spytała, podciągając kolana pod szyję.

– A co zrobimy, jeśli tam trafił?

– Dlaczego to wszystko musi być takie trudne? – Westchnęła.

Tomasz odsunął się od sztalugi i przez dłuższy czas patrzył na płótno, zastanawiając się, czego na nim brakuje. Wreszcie umoczył pędzel w czarnej farbie, a potem zanurzył ją w białej. Dokładnie wymieszał składniki i wrócił do pokrywania szarym kolorem górnej części obrazu. Stalowe niebo zionęło smutkiem.

– Nie mam pojęcia, dlaczego nasz naród tak sobie komplikuje życie. Coraz częściej myślę, że nie wyciągnęliśmy żadnej lekcji z Wielkiej Wojny – powiedział

wreszcie, nie odrywając się od pracy. – Wszystkie te aresztowania zakrawają na idiotyzm, a niedawno słyszałem plotkę, że rozstrzelano obrońców poczty.

– Ojciec mówił, że to byli partyzanci – podchwyciła, odwracając się do brata.

– To oficjalna wersja.

– Myślisz, że nas okłamał? – spytała, nie mogąc oderwać wzroku od obrazu.

– Ojciec myśli, że wciąż jesteśmy dziećmi i bezgranicznie mu ufamy.

Nela poderwała się i wybiegła z pokoju brata. Chociaż intensywnie mrugała powiekami, to przed oczyma wciąż miała widok sporego placu pośrodku lasu, do którego nikt niepowołany nie miał dostępu. Jaki los czekał tam Iwa?

Weszła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko. Miała wrażenie, że przez całe życie karmiono ją kłamstwami, które podawała dalej. Ufała rodzicom i kochała ich. A później pojawił się Wilhelm. Jemu też ufała, obdarzając szczerym uczuciem.

Głośne pukanie do drzwi przerwało jej rozmyślenia. Wstała i otworzyła drzwi.

– Nelciu, Wili przyszedł cię odwiedzić – oświadczyła matka z nieskrywaną radością. – Oj, żeby jeszcze tylko Frank i Tomas się ustatkowali i znaleźli sobie takie wspaniałe żony jak twój przyszły mąż...

Nela szła w milczeniu, cały czas zaciskając dłonie w pięści. Odetchnęła, gdy matka wreszcie poszła do kuchni, pozostawiając ją samą w holu. Niemal zmusiła się do tego, by rozprostować zaciśnięte palce. Spojrzała na dłonie, na których pojawiły się przekrwione prążki od paznokci.

– Czyżbyś potrzebował jeszcze jakichś informacji? – spytała, a jej głos nieprzyjemnie zazgrzytał.

Wilhelm podniósł się z fotela i podszedł, by się przywitać. Nawet nie drgnęła, gdy musnął jej policzek. Odsunęła się od mężczyzny, patrząc mu prosto w oczy, choć w środku drżała jak osika.

– Myślałem, że będziesz dla mnie miłsza. W końcu za dwa i pół miesiąca będziemy połączeni węzłem małżeńskim.

– To cię nie uprawnia do nachodzenia mnie w domu i zajmowania mi czasu.

– Jesteś moją narzeczoną, więc mam prawo cię odwiedzić – ironizował, nachylając się nad nią tak blisko, że czuła jego oddech.

Gdyby nie zrobiła kolejnego kroku w tył, zapewne dotknąłby swoim nosem jej twarzy.

– Jak doskonale wiesz, prawo połączy nas dopiero z chwilą ślubu, a na razie trzymaj się ode mnie z daleka – oświadczyła, starając się zachować pokerową twarz.

– Skoro tak sobie życzysz, to wychodzę – odezwał się wyjątkowo ugodowo.

Nela spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Przyniosłem ci wiadomości o tym przyjacielu Tomasa – wyjaśnił. – Oby tylko nie był zbyt bliskim przyjacielem, bo już jeden miłośnik męskiego towarzystwa w domu wystarczy. – Zaśmiał się grubym basem.

– Co z Iwem? – spytała, ignorując resztę jego wypowiedzi.

– A jednak jestem ci potrzebny. – Pokiwał głową z uznaniem dla samego siebie.

– Mów, co z Iwem.

Wilhelm znów się zbliżył. Tym razem nie mogła się odsunąć, bo plecami dotykała ściany. W jego wzroku tliła się nienawiść doprawiona dużą dozą pogardy.

– Siedzi w obozie i żyje na koszt Rzeszy. Taki truteń wśród przyjaciół Tomasa... Niedobrze to wygląda – wycedził, trzymając twarz tuż przy niej. – A jeśli kiedykolwiek dowiem się, że coś cię łączy z tym pomiotem, to najpierw zabiję jego, a potem ciebie – wyszeptał. – Jasne?

Patrzyła w jego obce oczy, zadając sobie pytanie, jak mogła wcześniej związać się z tym podłym człowiekiem.

Rozdział XI



Z nadzieją i wbrew niej

Od ponad dwóch godzin siedział, leżał, wisiał i schylał się, układając i przybijając deski na dachu baraku. Obolałe plecy wciąż wygięte w tę samą stronę. Drżące nogi zapierające się o drabinę, by zachować równowagę. Zgrabiałe ręce od chłodu. Każdego wieczora Iwo zasypiał z nadzieją, że to ostatnia noc w tym podłym miejscu. A potem nadchodził ranek, otwierał oczy i zapadał się w sobie. Jak długo miał jeszcze wytrzymać, żyjąc w ten sposób? Czy zdoła znieść ciągły głód, bóle brzucha i biegunki? Czy marzenia o wolności mają szansę się zrealizować? Nie tylko on mierzył się z tymi pytaniami.

Niektórzy próbowali szukać sposobów wydostania się z obozu. Szybko okazało się, że „Brama Śmierci” prowadzi tylko w jedną stronę. To mocno osłabiło morale tłące się w wygłodniałych więźniach, którzy z każdym dniem coraz mniej czasu poświęcali na myślenie o czymkolwiek innym niż jedzenie. A tego było jak na lekarstwo. Wraz z nadejściem chłodnych dni zapotrzebowanie na ciepły i pożywny posiłek stawało się coraz większe, jednak nie szło to w parze z tym, co serwowała obozowa kuchnia, która zdawała się za nic mieć normy żywieniowe. Coraz częściej w zupie można było znaleźć zgniłe lub spleśniałe warzywa. Ich ilość znacznie się zmniejszyła, w miskach głównie lądowała wodnista polewka w brunatnym kolorze.

Prace przy wznoszeniu budynków ślimaczyły się, więźniowie nie mieli siły wdrapać się na drabinę, a co dopiero przez kilkanaście godzin wbijać gwoździe czy docinać deski. Nowi w obozie wiedli prym, ale szybko tracili animusz i niemal w oczach chudli, a potem popadali w apatię i pracowali w tempie dłużej osadzonych.

Iwo na chwilę opuścił dłoń, w której trzymał młotek. Już nawet nie zwracał uwagi na pojawiające się na palcach odciski czy siniaki. Spojrzał w niebo, ale słońce od rana nawet na moment nie wyjrzało zza chmur. Wszyscy ze strachem przyjmowali każdą oznakę zmiany pogody. Wraz ze spadkiem temperatury jeszcze trudniej się pracowało.

– Wracać do roboty! – usłyszał Iwo i natychmiast zaczął przybijać gwóźdź. Wiedział, że drugiego upomnienia nie będzie.

Do zmroku pozostała nie więcej niż godzina. Zagryzł dolną wargę i począł miarowo uderzać w gwoździe. Wilgotne powietrze kleiło się do ciał pracujących więźniów, sprawiając, że trudniej było im utrzymać narzędzia i wykonywać powierzone zadania.

Mżawka po chwili przeszła w ulewę, a silny wiatr począł chlustać wodą w twarze więźniów. Żaden nie śmiał spytać, czy może przerwać pracę i zejść z dachu. Pilnujący ich esesmani siedzieli w części baraku, nad którą znajdował się dach, zatem nie odczuwali potrzeby wcześniejszego zakończenia zmiany. Poza tym komendant Pauly wciąż powtarzał, że więźniowie mają opóźnienie w pracach.

Iwo czuł ściekające po twarzy strużki deszczu. Przetarł wierzchem dłoni oczy i znów się nachylił, by dokończyć pracę. Wtedy usłyszał krzyk i odgłosy upadającego ciała. Spojrzał w dół i dostrzegł starszego mężczyznę leżącego kilka metrów dalej z nienaturalnie wygiętą nogą. Od kilku dni narzekał na zawroty głowy.

Władek był przy nim pierwszy. Choć znacznie schudł, to wciąż należał do grona najbardziej rosnących mężczyzn w obozie. Teraz usiłował ocucić leżącego.

– Rozejść się! – krzyknął strażnik, który wybiegł na zewnątrz, by sprawdzić, skąd to zamieszanie.

– Wracać do roboty! – dołączył drugi i począł odpychać coraz liczniej gromadzących się więźniów.

– Wynocha! Won! – powtarzał jak mantrę pierwszy z esesmanów, poszturchując pałką kolejnych jeńców. – Won! Wypierdalać do roboty!

Drugi ze strażników wierzchem buta lekko kopnął obolałego więźnia. Ten jęknął zaskoczony.

– Żyje – oświadczył triumfalnie. – Wstawaj, wałkoniu, i do roboty. Nie myśl, że będziesz się byczył! – zachnął się i mocniej szturchnął więźnia. Ten nawet nie

podniósł głowy, wciąż jęcząc i coś bełkocząc. – Wstawaj, do cholery! Nie będę czekał, aż łaskawie ruszysz swoją zawszoną dupę!

– Sturmman, ten biedak nie rozumie. – Iwo powoli podszedł, mnąc w dłoniach swoją czapkę i ani na chwilę nie podnosząc wzroku na strażnika. – On nie zna niemieckiego – dodał szybko dla wyjaśnienia.

– Cholerne polaczki! – zaklął esesman i z całej siły kopnął wijącego się w błocie jeńca. Ten nieporadnie próbował ochronić głowę. – Zabrać to ścierwo, niech mi się nie płacze pod nogami! – warknął.

Władek jakby na to czekał. Natychmiast ruszył na pomoc. Schylił się i spróbował unieść ciało. Dawniej nie miałby z tym najmniejszych problemów, ale teraz brakowało mu sił. Chwycił więc mężczyznę pod pachy i począł go ciągnąć w stronę namiotu. Tamten zaczął wyc z bólu. Wówczas Iwo zrozumiał, że Władek sam sobie nie poradzi. Pośpieszył z pomocą. Chwilę później dołączył do nich Alfred i we trzech zanieśli chorego do namiotu doktora Chmiela.

Po drodze dwa razy odpoczywali, ale nie porzucili współwięźnia. Gdy wreszcie wtaszczyli go do namiotu, opadli obok niego, ciężko dysząc. Nie mogli dłużej z nim zostać. Mieli obowiązek wracać do pracy i lepiej, żeby żaden strażnik nie zarzucił im opieszałości, bo w innym razie czekała ich surowa kara.

Wciąż głośno łapiąc oddech, podeszli do swoich stanowisk. Już z daleka słyszeli głośne utyskiwania strażników na nieudolność i lenistwo połączone z konfabulacją. Widocznie nie wierzyli, że wypadek nie był zamierzony. Iwo pokręcił głową i na drżących nogach wdrapał się na drabinę. Czuł zmęczenie w każdym fragmencie ciała, ale dzwonka kończącego pracę nadal nie usłyszał.

Na początku pobytu w obozie często liczył rytmiczne uderzenia młotka, by się zorientować, ile mniej więcej czasu pracował w ciągu dnia. Ale teraz coraz rzadziej udawało mu się zmusić mózg do tak intensywnego wysiłku.

Ostatnio zauważył, że jedyne, o czym myśli bez specjalnego wysiłku, to Nela. Jej wspomnienie stanowiło dla niego isierkę pośród obozowego mroku. Za każdym razem, gdy w pamięci przywoływał jej obraz, ścisnęło go w dołku, a w gardle rośla gula, która pozbawiała tchu. I choć nigdy przed nikim by się do tego nie przyznał, to nachodziły go myśli, w których widział Nelę stojącą nad jego grobem. Bał się takiego końca ich miłości, a jednak nie mógł odegnać tej wizji, która notorycznie powracała jak natrętna mucha zwabiona cuchnącymi fekaliami.

Owszem, wolał chwile, gdy przypominał mu się jej przyjazny uśmiech i wpatrzone w niego smutne oczy. Tak bardzo tęsknił za dotykiem jej gładkiej dłoni. Na więcej nie śmiałby sobie pozwolić. Skłamałby, twierdząc, że nie marzył o tym, by znów wziąć ją w objęcia i móc posmakować jej ust.

Wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że nie zdołał jej zabrać z miasta i wywieźć do Niw. Oczywiście wiedział, że Nela Witt nie należała do kobiet, które odnalazłyby się wśród trzody i drobiu. Jednak tam byliby znacznie bezpieczniejsi niż w mieście. Nela pomagałaby przy pracy w gospodarstwie. Po zakończeniu wojny mogliby wyjechać do Bydgoszczy i tam poszukać zatrudnienia. On znalazłby posadę jako nauczyciel albo urzędnik w administracji państwowej. Nela dostałaby pewnie wakat w szpitalu na Skrzetusku. Dwa lata temu na kilkumorgowej działce wzniesiono nowoczesny budynek, który miał zapewnić blisko pół tysiąca łóżek dla chorych w szybko rozwijającym się mieście. Z braku środków finansowych, ale również niedoboru personelu wciąż jeszcze nie zdołano uruchomić wszystkich z planowanych oddziałów.

Nadal miał w pamięci jej opiekuńcze dłonie, gdy sam potrzebował pomocy i znalazł się w szpitalu. Rany goiły się dość szybko, ale to znajomość z Nelą dodawała mu chęci do życia i szybkiego powrotu do zdrowia. Spojrzał na swoją rękę, choć naciągnięty rękaw zasłaniał blizny, które pozostały na skórze. Gdyby wówczas nie obrzucono jego kwatery zapalonymi słomianymi kulami, pewnie nigdy nie miałby okazji tak długo przebywać z Nelą. Przymknął powieki i na moment oddał się marzeniom.

Na początek mogliby wynająć w Bydgoszczy jakieś niewielkie mieszkanie, ale kiedy na świecie pojawiłyby się ich dzieci... Iwo uderzył się w palec i głośno syknął z bólu, po czym wepchnął obalony kciuk do ust i przez chwilę ssał go jak dziecko. Bezwiednie uśmiechnął się pod nosem. W oddali usłyszał metaliczny dźwięk dzwonka informującego o zakończeniu dnia pracy.

Każdego wieczora jeszcze przez kilkadziesiąt minut słyszał w głowie odgłosy stukania. Ostrożnie zszedł z drabiny, odłożył narzędzia w jedno miejsce. Zaczekał na Władka i Alfreda, by razem pójść na zbiórkę. Woda kapiała z ubrań, włosów i czapek, jednak nikt się tym nie przejmował. Znów stali w równych rzędach, czekając na odnotowanie przez strażników ich obecności.

Iwo czuł przeraźliwy chłód. Gdyby tylko mógł zdjąć i wysuszyć ubrania, ale o takim luksusie nawet nie miał co marzyć. Jeśli się rozbierze, to zamarnie

w nocy. Ubrania musiały wyschnąć na nim i na wszystkich pozostałych więźniach.

Wreszcie apel się zakończył i pozwolono im odmaszerować na kolację. Rozmoknięty chleb większość z nich zjadła, zanim jeszcze doszli do namiotów. Iwo też nie doniósł jedzenia. Po drodze zajrzał do namiotu doktora Chmiela. Bolesław zdążył już dowiedzieć się o czekającym na niego pacjencie, więc w pośpiechu pochłonął swoją porcję, a teraz nachylał się nad chorym, badając jego ciało.

Iwo przysiadł w rogu i czekał.

– Ma złamaną kość piszczelową i dwa najmniejsze palce lewej stopy – oświadczył lekarz, spoglądając na Iwa. – To cud, że kość nie wyszła na wierzch, ale mogę przypuszczać, że została mocno poharatana – dodał znacznie ciszej.

– Co teraz? – dopytywał Iwo.

– Cóż ja mogę... – Chmiel westchnął. – Mógłbym spróbować ją nastawić, ale i tak nie mam czym jej zabezpieczyć, by później nie uległa poruszeniu. I tak będzie go okropnie boleć.

– Przecież nie możemy go tak zostawić. – Iwo spojrzał na zboląłą twarz starszego mężczyzny, który ze strachem patrzył to na niego, to znów na lekarza, jakby nie pojmował, dlaczego nikt nie potrafi udzielić mu pomocy.

– Zrobię, co mogę – powiedział Chmiel i poklepał Iwa po ramieniu. – Trzeba znaleźć knebel i kilku chętnych do pomocy.

Iwo coś szeptał do siedzących najbliżej chorego mężczyzny, a na dany przez Chmiela znak wetknął pacjentowi swoją mokrą czapkę w usta, zaś ochotnicy chwycili drobne ciało poturbowanego i przytrzymali.

Łzy pociekły po twarzy zboląłego człowieka, a wybawieniem od nieludzkiego bólu okazało się omdlenie. Lekarz mógł pracować znacznie spokojniej. Gdy ustawił nogę, wziął dwa niezbyt grube kijki, które znalazł w pobliżu namiotu, i ułożył wzdłuż kości. Później splótł kilka najdłuższych źdźbeł słomy podanych przez Iwa i obwiązał nimi nogę, umiejętnie przytwierdzając do niej patyki.

– To wątpliwe zabezpieczenie – westchnął, gdy wreszcie przysiadł na barłogu obok pacjenta.

– Może jutro poprosić strażników, żeby zabrali tego biedaka na izbę przyjęć? – zapytał Iwo.

– Prosić możesz, tylko nie licz na to, że ktoś cię wysłucha – burknął siedzący obok niego niski mężczyzna z wydętymi ustami i zapadniętymi oczyma. – A teraz albo go gdzieś przesuniemy, albo co najmniej trzech z nas będzie tej nocy spało na siedząco – szepnął niepokieszony.

Iwo wiedział, że to on przyczynił się do tego, że mieszkańcy tego namiotu będą cierpieli niewygodę. Dodatkowa osoba to mniej miejsca dla każdego więźnia. Ale jak miał pozostawić cierpiącego człowieka bez pomocy?

– Jutro spróbuję coś wyprosić – obiecał Iwo i na czworakach przesunął się w stronę wyjścia.

By nie wzbudzić podejrzeń strażnika, najpierw pobiegł do latryny. Już dawno nauczył się, że w obozie nikt oprócz strażników nie ma prawa chodzić. Więźniowie nie mogą tracić czasu, dlatego wszędzie biegną.

Po powrocie do swojego namiotu wsunął się na miejsce pomiędzy Władkiem i Alfredem, po czym zdał im raport z tego, co zobaczył i co udało mu się ustalić.

– Naprawdę myślisz, że zdołasz przekonać strażników, że ten człowiek potrzebuje pomocy? – powątpiewał Alfred.

– Przecież w takim stanie nie jest zdatny do roboty...

– Obyś miał rację, bo pamiętasz, jak się skończyło, gdy Broniek zapytał, kiedy dostaniemy ciepłe buty i płaszcze? – Mężczyzna wymownie spojrzął na skulonego z zimna Iwa.

Chłopak wolałby nie pamiętać tego, co się wydarzyło na apelu, gdy jeden z esesmanów zgłosił przełożonemu, z jakim pytaniem zwrócił się do niego bezczelny więzień.

Zaraz po sprawdzeniu listy obecności wspomniany więzień został wywołany, a potem wyciągnięty na środek placu. Dowódca zmiany, ubrany w mundur, gruby płaszcz i ciężkie, wysokie buty, zasypał pytaniami stojącego przed nim wynędzniałego, zgarbionego więźnia. Indagował go, jak ktoś tak zdemoralizowany, podły i gnuśny śmie wymagać lepszego odzienia, wszak powinien być wdzięczny za to, że w ogóle jeszcze chodzi po tej ziemi.

Tego, co nastąpiło później, nikt się nie spodziewał. Ujadanie psów goniących uciekającego oberwańca, jego krzyki i nawoływania o litość nie zmieniły komendy „brać” wydanej przez śmiejącego się do rozpuku esesmana. Tego wieczora mężczyzna skonał, leżąc w rogu pod płótem. Później nikomu nie pozwolono pójść

na kolację. Tej nocy w każdym namiocie słyhać było burczenie wydobywające się z trzewi śpiących w nich osób.

Iwo ułożył się na słomie i przymknął powieki. Zasypiając, znów miał przed oczyma obraz ukochanej, która pochodziła z narodu ciemężycieli. Wiele razy zastanawiał się, jak to możliwe, że Nela tak bardzo różniła się od zdecydowanej większości społeczności niemieckiej zamieszkującej Wolne Miasto Gdańsk. Gdy ją poznał, nie miał pojęcia, kim jest jej ojciec. Dopiero w chwili aresztowania okazało się, że Nela jest córką senatora. Oniemiały patrzył na kobietę, dla której zrobiłby wszystko, i nie mógł uwierzyć własnym uszom. Znacznie później pojął, jak wiele dla niego ryzykowała. To dodało mu skrzydeł, które wciąż go niosły nad powierzchnią błotnistej ziemi. Nie potrzebował żadnych więcej deklaracji, by wierzyć w prawdziwość uczucia, jakim został obdarzony.

Ani Nela, ani Tomas nigdy nie dali mu odczuć, że jest gorszy. Nie wyobrażał też sobie, że mogliby propagować którekolwiek z haseł głoszonych przez nazistów o czystości rasowej, o wyższości jednego człowieka nad innym. Te slogany wypisywane na murach kościołów, domach Polaków czy ich sklepach stanowiły codzienny obraz tuż przed wybuchem wojny. Dlaczego wtedy nikt nie wierzył, że zapewnienia Hitlera o pokoju nie mają nic wspólnego z rzeczywistością? Każdy kolejny artykuł w gazecie opluwający Polaków, każde z wypisanych na murach haseł, każde z wygłoszonych przemówień przez członków NSDAP dowodziło wrogości wobec innych nacji i pragnienia przewodzenia im.

Początkowo nie wierzył, że wojna rozleje się po całym kraju, a on sam doświadczy nieludzkiego traktowania. Tym bardziej tęsknił do kobiety, która potrafiła odciąć się od otaczającego ją świata. Z tą myślą zasnął.

Rankiem ocknął się zdrętwiały. Pozostali towarzysze powoli się budzili, bo choć na zewnątrz wciąż panowała ciemność, to wiedzieli, że za moment nastąpi pobudka i wówczas nie ma chwili do stracenia. Trzeba co tchu biec na apel.

Iwo usiadł, wyjął wplątane w ubrania skrawki słomy i spróbował się przeciągnąć.

– Te, nie za dobrze ci – warknął na niego dryblas, który zdawał się jeszcze wyższy od Władka i wciąż mu brakowało miejsca, by się wyciągnąć. Teraz siedział, próbując rozprostować kości.

– Już ci nie przeszkadzam – obiecał Iwo, odsuwając się od nader rozdrażnionego chłopaka ciągle szukającego zwady.

– Każdy ma prawo się przeciągnąć – wtrącił się Władek zbudzony hałasem.

– Ale nie każdy ma prawo pchać mi swoje pazury w ślepie! – warknął tamten.

– Przecież nie zrobił tego specjalnie – zapewnił Władek.

– A czort go wie... – Dryblas zmierzył Iwa zaczepnym spojrzeniem i głośno prychnął, po czym splunął. – Jeszcze jaki oblesz z niego i mu się coś w głowie ubzdurało. Ja wolę się od takich trzymać z daleka.

– Waż słowa – obruszył się Waldek, ale Iwo uniósł rękę, by go uspokoić.

– Nie potrzeba nam awantur – zaczął. – Ale nie musisz się mnie obawiać, bo nigdy nie tknąłbym palcem kogoś, kto stał w innej kolejce niż ta po rozum – odgryzł się, choć sam nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego to zrobił.

Cios wymierzony w głowę powalił go na ziemię i na chwilę pozbawił jasnego myślenia. Zanim zdołał się podnieść, dostrzegł Władka dosięgającego twarzy dryblasa i Alfreda zaciekle uderzającego go w tors. Skotłowane ciała wiły się w sianie, pojękując, parskając i sapiąc.

Nagle jednak wszyscy trzej odskoczyli od siebie, słysząc dzwonek obwieszczający poranny apel. Co tchu poczęli się wygrzebywać ze słomy, by zdążyć na swoje miejsce.

Gdy zjawili się na placu zbiórki, Iwo dostrzegł stojącego na jednej nodze starszego mężczyznę. Drugą ledwie dotykał grząskiego podłoża. Jego drobna twarz zdradzała oznaki nieprzespanej nocy, a szczękające zęby dowodziły, że organizm trawi gorączka i chory wymaga wymaga właściwego leczenia.

Kiedy więc apel się zakończył i pozwolono im pójść po śniadanie, Iwo odszukał wzrokiem sturmmanna Hermana i podbiegł do niego. Schylił głowę i odczekał, aż ten pierwszy się do niego zwróci. Tak ich uczono.

– Czego? – zapytał.

– Sturmmann, jeden więzień wczoraj spadł z dachu i potrzebuje pomocy lekarza – pośpiesznie wyjaśnił po niemiecku, nie chcąc być posądzonym o marnowanie czasu strażnika.

– I...? – Herman patrzył, jakby nie rozumiał.

Iwo wiedział, że to tylko gra na czas, bo chłopak wcale nie jest głupi. Zdążył się zorientować, który ze strażników jest największym sadystą, a który wciąż jeszcze ma odruchy człowieczeństwa. Hermana ustawił najwyżej w hierarchii, dlatego to jego zaczepił.

– Myślisz, że wy tu na wakacje przyjechaliście? – sarknął, starając się, by jego głos zabrzmiał groźnie.

Iwo pokręcił głową i wciąż nie podnosząc oczu, ciągnął:

– On naprawdę cierpi.

– Takie jest życie.

Iwo wiedział, że to koniec rozmowy, a on niczego nie wskórał. Przynajmniej miał pewność, że zrobił wszystko, co było możliwe, by pomóc poszkodowanemu. Wciąż nie odwracając się tyłem do oficera, zaczął się cofać.

– Pokaż, który to – polecił Niemiec.

Iwo uśmiechnął się pod nosem i w podskokach ruszył w stronę namiotu, przy którym siedział chory, trzęsąc się i kiwając jak w amoku.

– To ten. – Pokazał palcem więźnia.

Herman popatrzył na zboląłego człowieka i bez słowa odszedł. Iwo przez moment nie wiedział, co ma robić. Dzwonek informujący o tym, że wszystkie komanda zbierają się, by za chwilę rozpocząć pracę, przywrócił mu świadomość. Pobiegł w stronę swojej grupy. Chwycił narzędzia.

– Chyba się udało – szepnął, przybliżając się do Władka.

Chłopak odetchnął z ulgą i spojrział na ostatni fragment dachu, który dzisiaj mieli pokryć deskami.

Strażnik wyznaczył stanowiska i nakazał rozpoczęcie pracy.

Iwo zaczął wdrapywać się na dach, gdy nagle rozległo się ujadanie psów. Kilkadziesiąt par oczu spojrzało w stronę, skąd dochodziły odgłosy. Wówczas wszyscy zobaczyli kuśtykającego więźnia, a za nim prowadzone przez dwóch strażników cztery owczarki niemieckie. Mężczyzna nieporadnie utykał, coraz głośniejsze krzyząc z bólu i przerażenia przed rozwścieczonymi bestiami, które jakby wyczuwając jego strach, szarpały się na postronkach, ochoczo szczerząc kły.

– To niemożliwe – szepnął przerażony Iwo, wodząc wzrokiem za towarzyszem. – Co ja narobiłem!

– Czy ktoś, kto tak szybko biega, potrzebuje pomocy lekarza? – drwili obserwujący zajście esesmani i z satysfakcją kiwali głowami.

– Naprawdę dobrze mu idzie – pochwalił inny.

– Jak trochę potrenuje, to wystawimy go do zawodów na olimpiadzie – zachichotał któryś z bliżej stojących strażników.

– Lepszego ze świecą szukać w całej Polsce – wtrącił pierwszy.

– Niewielu ich już tam zostało, więc nie ma co wybrzydzać – zawtórował mu inny.

Śmiech niósł się echem wśród ludzkich jęków i psiego jazgotu. Całość tworzyła przygnębiający obraz rzeczywistości, z jaką przyszło się mierzyć ludziom, którzy wciąż w pamięci mieli minioną wojnę i jej okrucieństwa.

Tymczasem więzień obłąkanym wzrokiem szukał miejsca, gdzie mógłby się skryć przed pościgiem. Wreszcie upadł i zaczął się czołgać. Z chwilą, gdy dotknął ogrodzenia, rozległa się kanonada wystrzałów z karabinów. Stojący na ziemi więźniowie natychmiast upadli. Pozostali, którzy zdążyli już wejść na dach czy drabiny, schylili się, osłaniając głowy. Wszyscy jednak wiedzieli, w którą stronę zostały skierowane lufy karabinów.

Rozerwane kulami wychudzone ciało z zaschniętymi strużkami krwi leżało przy płocie aż do wieczora, przypominając wszystkim o tym, że w tym miejscu ich życie zależy od ich wydajności i zaangażowania w pracę.

Rozdział XII



W zawieszeniu

Ciemność. Obraz. Ciemność. Obraz. Krzyki zachwytu. Pisk. Czerwona flaga z czarnym symbolem po środku. Ciemność.

Nela zamknęła zmęczone powieki. Nie mogła się uwolnić od dojmującego uczucia stracenia kolejnej godziny życia. Mogła zrobić coś pożytecznego, a tymczasem dała się namówić Klarze na wyjście do kina.

– Nawet nie miałam pojęcia, jak bardzo tego potrzebowałam – zachwycała się Klara, wstając z fotela, gdy tylko reflektory rozbłysły w sali kinowej. – Całe szczęście, że uruchomili już kino.

– Powoli wrócimy do normalności... – zauważył kroczący za Nelą Wilhelm. – I to tej sprzed dwudziestego roku – dodał.

– Ponoć była znacznie lepsza – zgodziła się Klara.

– A skąd to niby wiesz? – wtrąciła Nela, która, odkąd zasiadła w fotelu w sali kinowej, milczała jak zaklęta, bacznie obserwując wyświetlane na ekranie obrazy. – Wtedy zajmowałaś się raczkowaniem, a nie analizowaniem rzeczywistości.

– Przyganiał kocioł garnkowi... – obruszyła się. – Przypominam ci, że urodziłyśmy się w tym samym roku.

– I ja z tamtego okresu niczego ważnego nie pamiętam – wyjaśniła kąśliwie, kierując się do szatni, gdzie pozostawili okrycia.

– Ależ wy pięknie wyglądacie, gdy się kłócicie – wtrącił Wilhelm, uśmiechając się zaczepnie.

– My się nie kłócimy, tylko spieramy, a właściwie to wymieniamy poglądy – zauważyła Klara, puszczając do niego oko, co nie umknęło uwadze Neli.

– Może na zgodę zajrzemy do restauracji u Kurta? – zaproponował z uśmiechem.

– Powinam już wracać do domu – zaproponowała Nela.

– Serce, twoi rodzice wiedzą, że jesteś pod moją opieką i w związku z tym nic ci nie grozi – wyjaśnił i poprawił połę swej modnej tweedowej marynarki. – Trzeba uczcić nasze spotkanie, a skoro kolejne lokale się otwierają, to nawet jesteśmy zobowiązani do tego, by wspierać interesy naszych rodaków.

– Idziemy więc – zawyrokowała Klara i dokładnie zapięła swój kożuch, bo przełom października i początek listopada należał do wyjątkowo chłodnych i śnieżnych.

Nela wzięła podane jej przez Wilhelma futro z lisa i otuliła szuję wełnianym szalikiem w kolorze miętowym. Dłonie włożyła w skórzane rękawiczki, a na głowę wcisnęła toczek z lisiego ogona.

Gdy wyszli na zewnątrz, chłód nocy przyłgął do jej policzków. Wilhelm poprowadził kobiety do auta, bo choć do nowo otwartej restauracji nie było daleko, to nie chciał marznąć. W ogóle nie znosił zimy, dlatego gdy tylko nadarzała się okazja, o tej porze roku podróżował do Europy Zachodniej. Tamtejszy łagodny klimat dodawał mu energii i sił, by dotrzeć do kolejnego lata. W tym roku jednak wszystkie plany wzięły w łeb. Nazistowska ofensywa wciąż postępowała, ale nie miał pewności, że na Zachodzie jest bezpiecznie. Wolał zaczekać na ostateczne rozstrzygnięcie w zaciszu domowym, tuląc się do żonki.

Zerknął na siedzącą obok niego dziewczynę i uśmiechnął się do niej. Odkąd dobili targu w sprawie jakiegoś polskiego łążęgi, nabrał pewności, że ślub się odbędzie.

Właśnie dotarli na miejsce. Wilhelm zaparkował samochód przy krawężniku, rozchlapując przy tym zalegające na drodze błoto pośniegowe. Od ubiegłego tygodnia popadywał śnieg. Nieliczni mieli czas, by go odgarnąć sprzed domu, dlatego należało ostrożnie poruszać się po mieście, by się nie poślizgnąć i nie upaść.

– Grzane wino na początek – powiedział Wilhelm do kelnera, gdy tylko usiedli przy stoliku nakrytym kraciatym obrusem.

Nela rozejrzała się po wnętrzu. Nigdy wcześniej tutaj nie była, ale dostrzegła wielu dobrze ubranych gości, którzy ochoczo dyskutowali, nie bardzo skupiając

się na jedzeniu i piciu. Każde miasto potrzebuje miejsca do tego, by na neutralnym gruncie omówić interesy.

– Dlaczego nas tu przywiozłeś? – zapytała ni z tego, ni z owego.

– Bo lubię ten lokal – odparł, przeglądając menu. – Mają dobre jedzenie, a obsługa się nie ociąga.

Nela spuściła wzrok na leżącą przed nią kartę dań i zaczęła ją studiować. Kiedy podszedł kelner, zamówili posiłek.

– Myślisz, że do lata uwiniemy się z tą wojną? – zagadnęła Klara, patrząc na Wilhelma.

– Taką mam nadzieję, bo chciałbym zabrać żonę w podróż poślubną – odparł, obdarzając Nelę szerokim uśmiechem.

– Ależ wam zazdroszczę. – Klara się rozmarzyła.

– Znajdź sobie męża, to i podróż poślubną będziesz miała – odparł ubawiony Wilhelm.

– Przez tą wojnę wszyscy milusi mężczyźni zniknęli z mojego otoczenia – zachnęła się.

Później jeszcze chwilę gderwała na swoją samotność i brak rozrywek w Danzig. Wreszcie podano kolację, więc Nela nie musiała się wysilać, by śledzić rozmowę. Jej myśli natychmiast pogalopowały do domu. Już kolejny dzień czekała na ważny list. Szybko zjadła galaretkę z nówek i popiła resztką wina, które zdążyło już wystygnać.

– Może zamówić ci deser? – spytał Wilhelm, patrząc na pusty talerz narzeczonej.

– Dziękuję. Niczego więcej nie wcisnę – zaoponowała. – Poza tym jestem wykończona i chętnie wróciłabym do domu.

– Już? – wtrąciła się Klara, patrząc na nią wzrokiem zbitego psa. – Myślałam, że trochę potańczymy.

– Innym razem – stanowczo ucięła Nela i spojrzała na wiszący na ścianie za kontuarem duży dębowy zegar z białą tarczą, na której przesuwały się czarne wskazówki.

– Wytańczysz się za wszystkie czasy na naszym weselu – obiecał prawnik i podniósł dłoń narzeczonej, a potem, patrząc jej w oczy, złożył pocałunek.

Klara odwróciła skrepowany wzrok, choć w środku aż ją skręcało z zazdrości. Gdyby tylko Frank choć trochę rozumiał wysyłane przez nią sygnały, też mogłaby teraz patrzeć na swój pierścionek zaręczynowy. Ślub mógłby się odbyć po wojnie, ale miałyby na kogo czekać.

– À propos – przypomniała sobie Klara – znalazłaś swój pierścionek zaręczynowy?

Wilhelm natychmiast podniósł czujny wzrok na narzeczoną, a potem przeniósł go na jej dłoń.

– Niestety w tym zamieszaniu gdzieś się zapodział i nie mogę go odnaleźć – skłamała, przybierając minę niewiniątka.

– Obawiam się, że to nie wróży niczego dobrego – szepnęła, rozglądając się na boki, by mieć pewność, że jej słowa nie trafią do osób niepowołanych. – To podobno śmierć w rodzinie albo choroba... choroba przyszłego męża...

– Nie wierzę w zabobony – uciął krótko Wilhelm i by jak najszybciej skończyć temat, podniósł się i podał dłoń narzeczonej. – A poza tym jestem pewien, że pierścionek spokojnie sobie leży gdzieś w szafie albo w którejś z szuflad toaletki.

Nela w milczeniu ubrała się i poczęła przesuwać się do wyjścia. W pomieszczeniu robiło się tłoczno. Klara szła tuż za nią. Zamierzały wyjść na zewnątrz i poczekać, aż Wilhelm ureguluje rachunek.

Kiedy stanęły przy samochodzie, Nela zerknęła do środka restauracji, by się upewnić, że Wilhelm zaraz do nich dołączy. Wówczas tuż obok niego pojawił się jakiś mężczyzna. Nela przyglądała się rozmawiającym. Wojna nie zmniejszyła zapotrzebowania na usługi prawników. Przeciwnie, Wilhelm z rozkoszą opowiadał o tym, ilu nowych klientów zyskał.

– Zimno... – zauważyła Klara, przestępując z nogi na nogę. – Pójdę po Wilego, bo inaczej zamarzniemy – stwierdziła, mocniej otulając się kożuchem.

– Ja po niego pójdę – zaoferowała Nela i nie czekając na odpowiedź, podreptała do środka.

Podchodząc bliżej, nadstawiła uszu. W szmerze toczących się wokół niej rozmów wylapywała jedynie poszczególne słowa:

– To nie potrawa długo... Rozmawiałem... To dobry interes...

Podeszła bliżej, by wyluskać więcej, lecz wówczas rozmówca Wilhelma spojrział na nią czujnie i zamilkł.

Meyer, podążając za jego wzrokiem, odwrócił się w stronę dziewczyny.

– Już idę, najdroższa.

– Porozmawiamy innym razem – oświadczył nieznajomy i wmieszał się w tłum.

Wilhelm złapał jej chłodną dłoń i zaprowadził do samochodu. Przez całą drogę opowiadał o tym, jak każdego dnia widzi zmieniające się miasto. Polscy więźniowie uprzątają ulice i podwórka z gruzów i resztek własnej bytności.

– Wraz z początkiem roku zaczniemy oddychać pełną piersią – dodał na koniec, gdy podjechali pod dom Neli.

– Wy na pewno – podkreśliła Klara i uśmiechnęła się zawadiacko.

Nela odwróciła się do dziewczyny, by się pożegnać.

– Czy Frank pisał, gdzie jest? – zapytała, patrząc Neli prosto w oczy.

Ta jedynie pokręciła głową. Ostatnio przychodziło do nich mało listów. Może to wynik zniszczenia polskiego systemu pocztowego, a może ograniczonych możliwości nadawców. Nela, przypomniawszy sobie o tym, cmoknęła przyjaciółkę w policzek i postawiła nogę w klejącym się do butów śniegu.

Wilhelm pchnął furtkę i przepuścił narzeczoną. Zatrzymał się tuż przed drzwiami; nachylił się, by ją pocałować. Ta jednak odwróciła twarz.

– Tylko bądź grzeczna – ostrzegł i musnął ustami jej pachnące kwiatami rumianku włosy.

Nela prześlizgnęła się obok i schowała za drzwiami. Gdy usłyszała odjeżdżające auto, ruszyła w stronę stolika przy schodach, na którym leżała oczekująca na zabranie przez właściwego adresata korespondencja. Przez chwilę przypatrywała się pustemu stolikowi, jakby nie wierzyła, że nie czeka na nią list od Iwa. Napisała do niego, gdy tylko dowiedziała się, że jest uwięziony w obozie. Tak bardzo potrzebowała mieć pewność, że mężczyzna jest bezpieczny. Nic innego nie miało znaczenia.

– Nadal nic? – spytał Tomas, przyglądając jej się z góry.

Nie musiała nic odpowiadać. Powlokła się na piętro.

– Może nie ma możliwości odpisać – zauważył, wchodząc za nią do pokoju.

Nela zdjęła futro i rzuciła je na fotel, by dobrze wyschło, zanim zawiśnie w szafie. Później usiadła na łóżku i schowała twarz w lodowatych dłoniach.

– Zobaczysz, że nic mu nie jest. – Przysiadł obok niej i pogłaskał jej przygarbione plecy. – Niedługo święta, więc może wtedy strażnicy spojrzą na nich łagodniej i pozwolą wysłać listy.

– Święta... – Westchnęła i pokręciła głową z niedowierzaniem. – Już niedługo święta...

– A potem ślub... – domyślił się. – Masz pomysł, jak z tego wybrnąć?

– Myślałam, że do tego czasu znajdę Iwa i... – Urwała, bo już czuła łzy cisnące się do oczu.

– ...i uciekniecie – dokończył za nią. – Przysięgam, że coś wymyślimy – dodał, tuląc ją. – Przecież nie mogą Iwa tam trzymać bez końca. Najpierw musi być jakiś proces, wyrok. Cokolwiek...

– Nie chcę na to czekać... Nie mogę...

– Wili powiedział, że to obóz resocjalizujący, a więźniowie dzięki pracy mają nauczyć się szacunku dla Niemców.

– Szacunku... – Zamyśliła się, patrząc za okno w ciemność nocy. – Szacunek płynie z serca i nie da się go wyryć w pamięci, w której pozostają obrazy wojny – rzekła cicho i znów opuściła głowę.

Przez chwilę siedzieli pogrążeni we własnych myślach, wracając do chwil strachu i niepewności, gdy uświadomili sobie, że wybuchła wojna. Teraz wystrzały ucichły, a w ich mieście noszącym ślady walk zapanował względny spokój. I choć Nela nie potrafiła dokładnie tego opisać ani zdefiniować, to miała świadomość, że w powietrzu nadal coś wisi. Coś, co nie pozwalało jej uwierzyć w rychłe zakończenie wojny.

– Skoro to obóz, na pewno jest tam wielu więźniów – odezwał się Tomas, przerywając ciszę. – Mają pracować, więc grożą im różnego rodzaju wypadki...

Nela podniosła głowę i spojrzała na brata.

– Żeby pracowali wydajnie, muszą jeść, czyli ktoś musi im tę żywność dostarczyć. I to niemałe ilości – ciągnął.

– Myślisz, że i tym razem uda ci się zatrudnić jako pomocnik w jakimś sklepie, gdzie zaopatrują obóz?

– Muszę o to popytać.

– Dobry pomysł.

– Wyciągniemy go stamtąd. Obiecuję. – Podniósł dwa palce, a potem pocałował siostrę w policzek. – Pewnie jesteś wykończona wieczorem spędzonym z Wilim, więc zmykam do siebie.

Kiedy Nela została sama, rozebrała się i wskoczyła do łóżka. Na szczęście nowa gospodyni doskonale wywiązywała się ze swoich obowiązków i oprócz przygotowania gorących posiłków dbała też o to, by w domu panowało przyjemne ciepło.

Dopiero dwa dni później nadeszło rozczarowanie.

– Nikt tam nie jeździ – oświadczył Tomas, gdy wyszli z domu.

– To skąd biorą jedzenie dla tylu ludzi? – zastanawiała się, patrząc na solidnie opatulonego w kozuch młodszego brata.

– Dobre pytanie. Nie mogłem jednak wypytywać, żeby nikt się nie połapał w czym rzecz.

– Wiem, wiem. – Skrzywiła się.

– Może kupują jedzenie bezpośrednio od gospodarzy ze Stutthof lub okolic?

– To miałyby sens. Odchodzą koszty transportu.

Szli wzdłuż ulicy, bo o przejściu chodnikiem nie było mowy. Solidna pierzyna białego puchu otuliła Wolne Miasto Gdańsk. Na białym tle odcinały się czerwone flagi nowej administracji miast wcielonych do Rzeszy.

Gdyby nie nalegania matki, by Nela wreszcie zajrzała do kuśnierza i przymierzyła szyte specjalnie na jej ślub białe futro, najchętniej żadne z nich nie wyściubiłoby nosa z domu. Już po chwili obydwój poczuli na twarzy pocałunek siarczystego mrozu. Nela mocniej naciągnęła futrzaną czapę, ale nie przyspieszyła.

– Przynajmniej tutaj spokojnie możemy porozmawiać – powiedziała.

– Też masz wrażenie, że Helga jest dosłownie wszędzie?

Przytaknęła.

– Niby sprzęta albo dokłada do pieca, ale wciąż jest w pobliżu – dodał.

– Musimy na nią uważać.

Minęli sklep z materiałami sprowadzanymi z Bliskiego Wschodu oraz z krajów Orientu, który od pewnego czasu świecił pustkami. Leżące na ladzie bele dotychczas odstraszały klientów swymi burymi kolorami. Wszystkie pstrokaty

perkale i jedwabie poczęły znikać ze sklepu zaraz po tym, jak klientki zorientowały się, że w czasie wojny kanały handlowe wyschną.

Ana Witt wiele razy podkreślała, ile kosztowało ją znalezienie odpowiedniej liczby futer, by uszyć krótkie wdzianko dla Neli. Dziewczyna, przypomniawszy sobie o tym, opuściła ramiona i zapadła się w sobie. Jej czas się kurczył, a ona błądziła, wciąż nie znajdując drogi, na której tak bardzo jej zależało.

– Muszą jeść... i spać... – zastanawiała się na głos, wciąż bacznie patrząc pod nogi, by się nie poślizgnąć. – Kogo jeszcze potrzebują do organizacji życia obozowego?

Nela zastanawiała się nad tym, czym zajmował się Iwo. Może pracował w jakimś gospodarstwie. W końcu znał się dobrze na pracy w polu. Zimą tych zajęć było znacznie mniej, ale nawet wtedy w stodole pracowała sieczkarnia, a i w oborze było co robić.

Właśnie dochodzili do skrzyżowania, gdy dostrzegli młodego mężczyznę prowadzącego starca, który ledwie powłóczył nogami. Tuż za rogiem znajdował się szpital, do którego zmierzali.

– Lekarz? Pielęgniarka? – zapytał Tomasz, nie odrywając wzroku od chorego.

– Otóż to! – Spojrzała na Tomasa z nadzieją w oczach.

– Trzeba znaleźć kogoś, kto tam pracuje.

– Dlatego zmieniamy plany. Futro poczeka – oświadczyła i pociągnęła brata za rękaw.

Teraz skręcili w ulicę, którą doskonale znała. Przez kilka tygodni przed wybuchem wojny wiele razy nią chodziła, dbając o to, by nikt się o tym nie dowiedział.

Tomasz kilka razy zapytał, dokąd go prowadzi, ale ona zdawała się nie słyszeć jego pytań. W jej głowie kotłowały się myśli, nad którymi usiłowała zapanować. Musiała ułożyć wiarygodną historię, by zdobyć bezcenne informacje od człowieka, któremu ufała i którego zaufania nigdy nie nadużyła.

Weszła na schody okazałego budynku, otrzepała buty i pociągnęła za klamkę. Drzwi znajomo zaskrzypiały. Nela podeszła do niewielkiego okienka i zapukała. Po chwili ujrzała znajomą pielęgniarkę, z którą spędziła wiele dyżurów, wspólnie opiekując się chorymi w szpitalu.

– Witaj, Elke.

- Nela? Wracasz do nas? Pacjenci o ciebie pytają.
 - Na razie mam inne sprawy na głowie, ale kto wie...
 - To co cię sprowadza? Chyba nie jesteś chora? – spytała bez zastanowienia.
 - U mnie wszystko w porządku... – zająknęła się, szukając przekonującego kłamstwa. – Mój brat potrzebuje pomocy.
 - Już wzywam dyżurnego doktora.
 - Nie, nie trzeba! – pośpiesznie zareagowała Nela. – To nic tak pilnego. Potrzebujemy skonsultować się z doktorem Werle. Wiesz, jak bardzo szanuję jego zdanie. Jest dzisiaj w pracy?
 - Powinien teraz być na obchodzie, ale poczekacie pod jego gabinetem – wyjaśniła, po czym otworzyła drzwi wejściowe na oddział. – Daj znać, jak się zdecydujesz do nas wrócić – rzuciła Elke i wróciła do porządkowania izby przyjęć po ostatnim pacjencie.
- Poszli schodami na pierwsze piętro. Potem Nela pokazała Tomasowi krzesło pod gabinetem doktora. Sama zaś spacerowała w tę i z powrotem, układając wiarygodną bajeczkę.
- Blisko godzinę później zasiedli w gabinecie doktora Werle, który najpierw przetarł szkła w swoich okularach, a potem wcisnął je na nos i uśmiechając się, spojrzał na Nelę.
- Dobrze cię widzieć – odezwał się ojcowskim tonem, ale zaraz podniósł swoją pomarszczoną dłoń i pogroził jej. – Dawno cię u nas nie było.
 - Trochę się wszystko skomplikowało – wyjaśniła.
 - Pamiętam... Wzięłaś ślub. Jest mąż, to i obowiązki się pojawiły... – Machnął ręką, ale w jego oczach odnalazła zrozumienie.
 - Męża wciąż brak, ale na nudę nie narzekam.
 - My też się tutaj nie nudzimy – przyznał. – Już nie wiem, gdzie kłaść chorych z innych oddziałów. Teraz trafiają do nas.
 - A pozostałe oddziały? – zainteresował się Tomas.
 - Też pękają w szwach, bo przyjmują rannych z frontu.
 - Ta wojna wszystkich nas pogrąży – zauważyła Nela.
 - Masz rację, moje dziecko, ale co możemy zrobić?

Nela poprawiła się w fotelu i wzięła głęboki wdech, który jednocześnie miał dodać jej odwagi.

– Panie doktorze, chciałam zapytać, czy któryś z pana znajomych sprawuje opiekę nad więźniami w obozie w Stutthof?

– A cóż to za obóz? – Szeroko otworzył oczy i przysunął się bliżej biurka.

– Tam trafiają polscy więźniowie mający przejść resocjalizację i właśnie tam przez zupełny przypadek utknął mój przyjaciel – wyjaśnił Tomas. – Bardzo mi pomógł jeszcze przed wojną, dlatego czuję moralny obowiązek, by się upewnić, że jest cały i zdrowy.

– Zamierzamy wyjaśnić pomyłkę i zrobić wszystko, by odzyskał wolność – doprecyzowała Nela.

– Rozumiem. – Doktor potarł dłonią po czole. – Ta wojna niszczy ludzkie życie...

– Otóż to, dlatego nie możemy zapomnieć o przyjacielu – podkreśliła.

Werle w milczeniu poprawił zsuwające się z nosa okulary i podrapał się po brodzie.

– Nic nie słyszałem o tym obozie, ale popytam wśród przyjaciół. Może uda mi się czegoś dowiedzieć.

– Będziemy panu bardzo wdzięczni – zapewnił Tomas.

– Dziękuję. – Nela złapała dłoń lekarza i ochoczo nią potrząsnęła. – Z całego serca.

– Podziękujesz, gdy na to zasłużę – odparł Werle i wyszedł zza biurka, by odprowadzić gości do drzwi.

Jego przerwa dobiegła końca. Musiał wracać do pacjentów, by pomóc im uporać się z fizycznym bólem. Wiedział, że gorszy jest ból kryjący się w ich sercach. Na to jednak nie miał lekarstwa.

Wciąż wspominał poprzednią wojnę. Widział jej skutki i przez lata dokładał starań, by jego pacjenci wymazali z pamięci obrazy, które odbierały im radość życia. Pamiętał, ilu z nich, nie mogąc znieść ciężaru wojennych przeżyć, popełniło samobójstwo. Inni popadali w obłąd, a później trafiali do przytułków, w których nikt się nimi nie zajmował. To był mroczny czas dla lekarzy, bo nawet jeśli chcieli pomóc, to nie potrafili. Mogli leczyć widoczne rany, ale do tych ukrytych w ludzkim wnętrzu nie znajdowali drogi.

Werle raz jeszcze spojrział na odchodzących i ruszył w stronę oddziału. Teraz tylko tyle mógł zrobić. Z dużym trudem przychodziło mu odnalezienie się w nowej sytuacji geopolitycznej. Nie nadążał ani za zmieniającym się życiem, ani za zmianami zachodzącymi w ludziach. Coraz częściej w milczeniu patrzył na tych, których wydawało mu się, że zna. Coraz częściej zamykał oczy, by nie widzieć, jak bardzo wobec nich się pomylił.

Rozdział XIII



Wiara, nadzieja i miłość

Kłęby pary wydychanej przez setki ludzi tworzyły wzory unoszące się nad obozowym placem, gdzie już drugą godzinę wszyscy stali, słuchając żmudnego wyczytywania coraz większej liczby numerów. Później nastąpiło przemówienie niezadowolonego z postępów budowy obozu komendanta Maxa Pauly'ego. Ten barczysty mężczyzna z krzaczastymi brwiami, spod których lypał na więźniów bystrymi oczyma, chodził wzdłuż placu i po raz kolejny przypominał im, po co się tutaj znaleźli. Po wielokroć powtarzał takie obraźliwe słowa jak: podejrzany element, pomioty szatana, zdeprawowane chłystki i zdemoralizowany element. Po czym podkreślał, jak wielką wdzięczność powinni czuć wobec narodu niemieckiego, który wyciągnął do nich przyjacielską dłoń i dał im szansę naprawienia swych występków.

Iwo od dłuższego czasu nie skupiał się na podniesionym głosie komendanta, który ani na moment się nie zatrzymał, by nie zmarznąć. Zakładał, że większość jeńców, tak jak on, myślała teraz o miejscu przy ciepłym piecu albo o kubku zagrzanego mleka czy prawdziwej zbożówki. Pozostała część więźniów i tak nie rozumiała słów Pauly'ego, gdyż nie znała na tyle dobrze języka niemieckiego.

Od kilku dni przymrozki nie odpuszczały w ciągu dnia. Temperatura nie spadła poniżej pięciu stopni, ale ludzie bez ciepłych skarpet, bielizny, podbitych kożuchem butów, rękawic, czapek i grubych kufajek odczuwali aurę jako nieprzyjemną. Wszyscy wciąż szcękali zębami i gdy tylko mieli możliwość, rozcierali ręce, chuchali na nie, otaczali się ramionami. Noce spędzali jak najbliżej siebie, by trochę się ogrzać, bo baraki choć stały, to wciąż brakowało w nich okien. Każdego dnia jedno komando zajmowało się dowożeniem do baraków ziemi

i udeptywaniem klepiska, drugie porządkowało teren wokół ukończonych budynków, a jeszcze inne zagrabiało koleiny po ciągniętych przez jeńców wózkach z deskami.

W obozie Maxa Pauly'ego nikt nie narzekał na brak zajęć i nawet gdy wydawało się, że dana praca nie ma sensu, szybko przestawano się nad tym zastanawiać i po prostu ją wykonywano. Dyletanci i maruderzy pozbawieni całodziennego posiłku szybko szli po rozum do głowy.

Wreszcie komendant zakończył przydługi wywód i zamilkł. Salwa oklasków wyrwała Iwa i jemu podobnych z zamyślenia. Strażnicy ostentacyjnie podnosili ręce, oczekując, by więźniowie do nich dołączyli i podziękowali brawami. Odgłosy klaskania przez chwilę układały się w rytm, to znów rozjeżdżały się w nieprzyjemnej kakofonii.

Wreszcie esesmani opuścili dłonie, dając tym samym znać więźniom, że i oni mogą przestać. Iwo odruchowo obciągnął obszarpane mankiety koszuli, a potem rękawy swetra. Marynarki wołał nie ruszać, by znów nie urwał mu się przyszyty z niemałym poświęceniem guzik.

Lepiej było nie zdejmować ubrania, noszonego dzień w dzień. Początkowo kradzieże zdarzały się sporadycznie. Czasem coś się zaplątało w rzeczy innego więźnia albo omyłkowo zostało przełożone w inny kąt. Pierwsi więźniowie należeli do elity Wolnego Miasta Gdańska. Zostali specjalnie wyselekcjonowani spośród innych, by pozbawić Polonię ludzi świątłych, charyzmatycznych i gotowych do działania.

Zaraz po polskich uczonych w obozie pojawiła się spora grupa duchownych. Oni też zostali spisani na straty. Kościół szczególnie mocno nadepnął nazistom na odcisk i choć ci jeszcze w 1933 roku podpisali Reichskonkordat gwarantujący Kościołowi rzymskokatolickiemu w Niemczech swobodę społeczną, w tym wolność kultu i nauczania religii, to od początku drwili z porozumienia i nie zamierzali go respektować. Z każdym kolejnym rokiem rządów NSDAP coraz odważniej pluli w twarz papieżowi i podkopywali autorytet księży. Wreszcie nadszedł czas, by wyjąć karty na stół.

Hitler przechytrzył wszystkich i na kilka miesięcy przed wybuchem wojny otrzymał poufny raport o tym, z iloma jajogłowymi będzie się mierzyć armia niemiecka. Nie mógł nie wykorzystać szansy, jaką dawało mu zaskoczenie. Do ostatniego dnia i godziny oszukiwał, że nie zależy mu na wojnie, a jego jedynym

dążeniem jest utrzymanie pokoju we wschodniej Europie. Jedni mu ślepo wierzyli, inni powątpiewali, a niektórzy woleli żyć mrzonkami o niedawno wywalczonym pokoju. I tak miłośnik segregacji rasowej i szarlataństwa omotał wszystkich i od ponad dwóch miesięcy siał pożogę w zaskoczonych jego poczynaniami Europie.

W ciszy jeńcy wrócili do namiotów. Kolejny dzień dał im w kość. Ręce grabiały z zimna, a silny wiatr pogłębiał odczucie chłodu. Iwo oparł się plecami o Alfreda i drżąc z zimna, rozcierał skostniałe stopy, które jak co rano owinał onucami zrobionymi z podartej koszuli. Zaraz po przyjeździe do obozu nie odebrano im walizek. Wszyscy zabrali je więc do namiotów. Później, gdy więźniów przybywało i robiło się coraz ciasniej, strażnicy zarządzili, aby bagaże wynieść z namiotów i złożyć pod płotem. Wtedy Iwo przezornie wyjął ze swojej walizki dwie koszule, sweter, marynarkę i nieco już niemodny pulower i upchnął pod słomą. Niektórzy postąpili podobnie, więc teraz aż tak nie marzli. Ci, co przybyli do obozu pod koniec września i później, nie mieli możliwości zabrania ze sobą niczego prócz tego, co udało im się włożyć na grzbiet. Nic dziwnego, że codziennością stała się grabież odzieży. Każdy marzył i każdy chciał przetrwać zimę. Czy zatem lojalność wobec współtowarzyszy mogła stanowić nadrzędną wartość?

Iwo wolał tego nie sprawdzać. Dobrze wykorzystał zapasową koszulę, która z czasem zastąpiła tę pierwszą, w jakiej przeszedł przez Bramę Śmierci. Tamtą zaś porwał na równej szerokości pasy i od kilku tygodni obwiązywał nimi nogi, począwszy od największego palca aż do kolan. I choć to wciąż nie wystarczało, pocieszał się myślą, że inni nie mają takich luksusów.

Wciąż szczękając zębami, spojrzął w stronę siedzącego przy wejściu mężczyzny. Lubił z nim rozmawiać, dlatego niekiedy wieczorem zamiast zasypiać w towarzystwie Alfreda i Władka, z którymi się trzymał, przeciskał się do niego, depcząc po umęczonych ciałach współwięźniów.

Ciemnooki mężczyzna nie przekroczył jeszcze czterdziestki, a jego dłonie wcześniej nie zdradzały oznak pracy fizycznej. W obozie szybko nabawił się odcisków od noszenia wiader z fekaliami. Często marszczył czoło i w zamyśleniu obserwował innych, jakby chciał coś powiedzieć, może nawet ich pocieszyć, ale nie był pewien, czy akurat tego od niego oczekują. Jednak, gdy ktoś się do niego zwrócił, chętnie rozmawiał i słuchał. Spośród innych więźniów wyróżniało go łagodne usposobienie i uległość wobec losu.

Iwo usiadł obok księdza Jeremiego i skłonił się lekko. Duchowny drgnął, jakby zbudzony z letargu. Spojrzał zmęczonym wzrokiem na Iwa.

– Dzisiaj śmierdzą bardziej niż zwykle – westchnął cicho.

– Niech się wielebny tym nie przejmuję – odparł łagodnie Iwo. – Tu każdy cuchnie.

– Ale tylko księza śmierdzą łajnem – zauważył.

Z tym stwierdzeniem Iwo nie polemizował. Rzeczywiście księza od początku mierzyli się z najgorszymi zadaniami.

– Może teraz przez kilka dni będzie spokój – zastanawiał się Iwo najciszej, jak potrafił, by nie wzbudzić niepotrzebnego zainteresowania strażników.

– Dzisiaj wybrałem wszystko. Kazali mi nawet wejść do środka, żeby nic nie zostało na dnie... – Urwał, wciąż mając przed oczyma doły pełne ekskrementów, które co najmniej dwa razy na tydzień kazano mu opróżniać.

Iwo z dezaprobatą pokręcił głową.

– Czy to upodlenie księży kiedyś się wreszcie skończy? – zastanawiał się na głos. – To nieludzkie.

– Widocznie taki nasz los w tej wojnie...

– Nie mogę pojąć, dlaczego Hitler tak bardzo znienawidził duchownych!

– Religia to wspólnota, a księza to jej przedstawiciele, którzy głoszą miłosierdzie wobec słabych, biednych i dręczonych, bo wobec Boga wszyscy są równi – odparł i znacznie ciszej dodał: – Nie ma lepszych i gorszych.

Iwo pokiwał głową ze zrozumieniem. Od razu przypomniało mu się stwierdzenie Hitlera, że albo jest się chrześcijaninem, albo Niemcem, bo jednym i drugim się nie da. Gazety z upodobaniem cytowały owe słowa, dając pole do dyskusji przeciwnikom i zwolennikom nowej myśli politycznej.

– A Hitlerowi to nie w smak – zauważył Iwo.

– Ano nie. – Ksiądz tarł dłońmi o słomę, chcąc pozbyć się resztek odchodów, które wciąż miał pod paznokciami. – Zamiast religii okultyzm. Podział na tych, co posiadli magiczną wiedzę, i tych, dla których jest to zabronione.

– Czyli taka nowa „religia”. – Iwo prychnął, śledząc poczynania księdza.

– Podobno według niej narodem wybranym są Aryjczycy, grzech pierwородny to pomieszanie ras, a dusza ludzka krąży po całym ciele wraz z krwią.

– A ewangelia to *Mein Kampf*? – Iwo gorzko się zaśmiał, nie dowierzając, że mogłoby tak być w rzeczywistości.

Duchowny przeniósł udręczony wzrok na rozmówcę i powoli skinął głową. Iwo czuł, jak jego mięśnie twarzy wiotczeją, a usta opadają.

– A Hitler to następca Chrystusa – kontynuował ksiądz – który dokończy dzieła i oczyści ziemię z plew.

Iwo wciąż milczał, starając się poukładać myśli. Gdy jeszcze mieszkał z rodzicami w Niwach, co niedziela chodził do kościoła. Cała rodzina wsiadała na wóz i jechali na mszę. Matka zawsze dbała, by wszyscy włożyli najlepsze ubrania i wypastowali buty. Zawsze powtarzała, że dla Boga nie trzeba się stroić, ale ludziom trzeba okazywać szacunek i nie wolno pokazywać się brudnym czy oberwanym. Iwo często przysypiał na długich kazaniach głoszonych przez wielebnego Kaczmarczyka, który nie szczędził krytyki wobec tych, którzy grzeszyli, oraz nawoływał do tego, by wpuścić Boga do swego serca i ugościć go w swym domu. Zwykle pierwszą część kazania wykrzykiwał z drewnianej ambony wiszącej tuż przy pierwszej ławce zajmowanej przez Michalików, którzy sownie płacili za ten przywilej. Dopiero gdy proboszcz przechodził do części drugiej swego kazania, jego głos łagodniał i niczym ojciec tłumaczył swym zbłąkanym dzieciom, jak mają żyć zgodnie z Bożymi przykazaniami.

Po wyjeździe do Bydgoszczy Iwo początkowo regularnie uczestniczył w niedzielnych nabożeństwach, ale z czasem zdarzało mu się ominąć sumę i pójść z kolegami do jakiejś karczmy, by przy kufelku piwa poplotkować o coraz liczniej przyjmowanych do gimnazjum dziewczętach.

Po przeprowadzce na Wybrzeże nie w każdą niedzielę zaglądał do kościoła i choć starał się od niego nie stronić, to czasem po wyczerpującym tygodniu pracy po prostu nie miał siły zwlec się z łóżka.

– Myśli ksiądz, że Hitler odpuści, gdy już wszyscy staną się jego wyznawcami?

– Sądzę, że nie pozostawi nam wyboru i albo będziemy z nim, albo umrzemy...

Zamilkli, słysząc zbliżające się kroki strażnika rutynowo kontrolującego teren obozu. Wiedzieli, że nie mają prawa rozmawiać po wejściu do namiotu. Zawsze starali się, aby przez godzinę czy dwie ktoś nasłuchiwał i dawał znać, gdy zbliży się esesman. To był jedyny moment, gdy mogli wymienić się spostrzeżeniami.

W ciągu dnia też nie pozwalano im rozmawiać, twierdząc, że w ten sposób nie są odpowiednio skupieni na pracy.

Siedzący przy wejściu więzień dał umówiony znak i wszyscy wrócili do szeptania. W tym tygodniu umówili się, że znakiem będzie syczenie węża. Ciągłe zmieniali sygnały, by niepotrzebnie nie wzbudzać podejrzeń.

– Mam do księdza prośbę – zaczął Iwo, patrząc w stronę, gdzie spodziewał się duchownego, bo w namiocie było już tak ciemno, że nic nie widział.

– Tak? – zainteresował się kapłan, czyszcząc sobie paznokcie grubszym źdźbłem słomy.

– Gdy stąd wyjdziemy, chciałbym wziąć ślub – powiedział Iwo.

– Jeśli stąd wyjdziemy... – W głosie księdza Jeremiego zabrzmiało powątpiewanie, szybko jednak zreflektował się, że nie wypada mu okazywać słabości przy innych.

Pamiętał, czego uczono go w seminarium. Księdzem się nie bywa. Księdzem się jest w czasie liturgii i po jej zakończeniu. Owszem, nachodziły go chwile zwątpienia, gdy tracił wszelką nadzieję, że uda mu się stąd wydostać. Każdy dzień, gdy widział ból, głód i udrękę, podkopywał jego wiarę. Do tego jednak nigdy by się nie przyznał. Toteż na głos powtarzał, że Bóg wystawia ich na próbę i widzi ich poświęcenie.

– Kiedy stąd wyjdziemy – odezwał się ksiądz – to zrobię wszystko, żeby połączyć ciebie i twoją narzeczoną węzłem małżeńskim. A na zapowiedzi zdążyliście dać?

– Nie... – strapił się Iwo. Wszystko tak szybko się potoczyło, że i o ślubie nie rozmawiali.

– A zrękowiny były? – upewnił się duchowny.

– Z tym też nie zdążyłem – przyznał.

Gdyby choć przez myśl mu przemknęło, że tak się skończy ich ucieczka z Gdańska, to klęknąłby na kolana przed Wittem nawet w czasie kolacji. Jak bardzo był wówczas krótkowzroczny! Może gdyby był z Nelą po słowie, jej ojciec inaczej by na niego patrzył, a może nawet uruchomiłby swoje znajomości, żeby wyciągnąć przyszłego zięcia z tego piekła. Wstrzymał oddech i dopiero gdy poczuł mrowienie w końcach palców u rąk i nóg, ciężko westchnął. To były złudzenia, którymi lubił się karmić. Jak mógł zakładać, że ojciec Neli zgodziłby się na ich ślub? Jak miał czelność oczekiwać, że znalazłoby się dla niego miejsce

w niemieckiej rodzinie? Wprawdzie niewiele wiedział o Wittach, bo Nela niechętnie mu o nich opowiadała, ale miał świadomość, że Anders był senatorem, a zatem dokładnie wiedział, co się dzieje wokół niego.

– A narzeczona skąd? – ciągnął duchowny.

– Z Gdańska – szybko odparł.

– A z której parafii?

– Z której? – powtórzył mechanicznie i znów się zasepił.

Nigdy nie pytał Neli, gdzie chodzi do kościoła. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie miał pewności, czy ona w ogóle jest katoliczką. Nie przyszło mu do głowy, by o to pytać. Poznał jej dobre serce i otwartość. One mu wystarczyły do tego, by stwierdzić, że wyznaje wiarę w Chrystusa. A może wcale tak nie było? Czego jeszcze nie wiedział o kobiecie, którą pokochał? Dlaczego odebrano im szansę na to, by mogli się poznać i zrozumieć? Jakim prawem ktoś ich rozdzielił, nie dając odpowiedzi na pytanie, jak długo to potrwa i jaki to wszystko ma sens?

Strapiony siedział, chowając twarz w dłoniach wspartych na kolanach. Myśli wirowały w jego głowie niczym samoloty bombardujące polskie wsie i miasta.

Iwo nie miał siły dłużej rozmawiać, więc się pożegnał. Jutro czekał na niego kolejny pracowity dzień. Większość towarzyszy niedoli zdążyła się rozłożyć, dlatego nie mógł wrócić na swoje miejsce. Położył się więc obok duchownego i przymknął ciężkie powieki. Postawił kołnierz marynarki i zwinął się w kłębek. Wkrótce usłyszał złowieszcze podmuchy wiatru, który z każdą chwilą coraz mocniej szarpał namiotem, jakby chciał sprawdzić, jak długo jeszcze wytrzyma, zanim rozleci się na kawałki. Iwo zacisnął oczy, a po chwili do uszu przytknął dłonie, by nie słyszeć skowytu wichury. W tej pozycji jednak nie mógł zasnąć. Przekręcił się na drugi bok, ale sen nie nadchodził. Wreszcie zmęczenie wzięło górę i utuliło znękaną duszę Iwa.

Panował jeszcze mrok, gdy się obudził. Chwilę leżał, próbując sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Odór brudnych ciał szybko przypomniał mu, gdzie jest. Usiadł, by nieco się rozprostować, zanim usłyszy komendę wzywającą wszystkich na apel. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że wiatr ucichł. Odetchnął z ulgą. Praca na dworze nie należała do łatwych, a gdy wiało czy padało, stawała się niebezpieczna. Wówczas musieli jeszcze bardziej napinać mięśnie i zachowywać skupienie, by uniknąć wypadku. Jeden fałszywy ruch mógł zakończyć się tragedią.

Po ostatnim wypadku wciąż słyszał jęk obolałego więźnia, na którego żaden strażnik nie zwrócił uwagi. Nikomu nie pozwolono do niego podejść. Leżał w brudnej kałuży z rozciętą głową, dopóki się nie ocknął. Wtedy strażnicy, zaśmiewając się do rozpuku, stwierdzili, że polskie łby, choć puste, to jednak twardsze od skały. Później nakazali więźniowi podnieść się i wrócić do pracy. Ten, zataczając się, podszedł do drabiny i usiłował się na nią wdrapać. Dał radę wejść na trzeci szczebel, po czym spadł. Tym razem strażnicy nie zostawili go, by zebrał siły, ale kopniakami zmusili, by spróbował ponownie wejść. Przez cały czas podjudzali go, żeby udowodnił, jaki jest silny. Niesiony zachętami wdrapał się prawie na samą górę, wówczas jeden z esesmanów zaczął trząść drabiną. Więzień spanikował. Nogi mu się ześlizgnęły, a palce nie zdołały utrzymać ciała. Z impetem spadł. Więcej nie wstał.

Iwo przetarł oczy, by odegnąć resztki snu, i na czworaka przeszedł w poblize wyjścia. Nieco odsunął płachtę i wyjrzał na zewnątrz. To, co ujrzał, sprawiło, że zamarł. Dotychczas łudził się, że choć pogoda spojrzy na nich łaskawszym okiem. Biel śniegu nie pozostawiała złudzeń, że oto nadszedł kolejny etap życia w obozie, o którym świat nie miał pojęcia, a pojedynczy człowiek nic nie znaczył.

Rozdział XIV



Gorycz w sercu

Drobne płatki śniegu tańczyły na wietrze, oddając mu się całkowicie we władanie. Ten rozporządzał nimi bez litości i rzucał, gdzie podpadnie, burząc rytm i pozbawiając go delikatności.

Nela patrzyła przez okno na zadymkę. Już drugi dzień nie wyściubiła nosa z domu, nie miała też żadnych wieści od doktora Werle, więc aż ją skręcało. Dwa razy przymierzała się do tego, by wyjść na dwór, ale za każdym razem matka ją powstrzymywała. Szare niebo nadało smutnego odcienia ulicy, na którą teraz patrzyła. Kilka aut przemknęło pośpiesznie. Przechodniów nie dostrzegła. Zasłoniła firankę i położyła się na łóżku. Od rana próbowała skupić się na czytaniu. Klara jeszcze latem podarowała jej całą serię powieści Agathy Christie. Dotychczas jednak nie znajdowała czasu, a i nastrój jakoś nie sprzyjał czytaniu. I gdyby nie uporczywe pytania Klary o to, czy przeczytała którąś z otrzymanych książek, pewnie nadal leżałyby na nocnym stoliku przekładane w czasie sprzątania przez Helgę.

Nela przekartkowała książkę do miejsca, gdzie skończyła czytanie. Przebiegła wzrokiem kolejne zdania, ale niewiele zrozumiała. Wróciła więc do momentu, od którego zaczęła, i powtórzyła czynność. Efekt był ten sam. Jej myśli uporczywie wracały do chwil spędzonych z Iwem. Tak mało mieli dla siebie czasu. Wciąż pozostawało tyle tematów, których wcześniej nie zdążyli poruszyć. Czy Iwo lubił czytać kryminały? Miał ulubionego autora? Czy w ogóle sięgał po książki?

Nela naciągnęła koc i okryła nim zmarznięte stopy. Spojrzała na zegarek. Do obiadu pozostały dwie godziny. Uznała, że to wystarczy na krótką drzemkę.

Ciche pukanie do drzwi wyrwało ją ze snu. Przetarła oczy i zaprosiła gościa do środka. Nieco przydługa czupryna Tomasa wsunęła się do pokoju.

– Obiad czeka – oświadczył. – A i pogoda wreszcie się uspokoiła. – Mrugnął do siostry porozumiewawczo.

– Nareszcie, bo inaczej oszaleję – przyznała i poderwała się z łóżka.

Poprawiła włosy, które zdążyły się poplątać, i nałożyła sweter na cienką bluzkę. Zabrała też torebkę, do której wsunęła portmonetkę.

– Pójdę do szpitala zaraz po obiedzie – oświadczyła, krocząc za Tomaszem do kuchni, gdzie jadali obiady, gdy nie było ojca.

– Iść z tobą?

– Lepiej dokończ obraz. Poradzę sobie.

Nasyciwszy głód, Nela bez przeszkód wyszła z domu, kłamiąc, że umówiła się na przymiarkę białego futra. Szła szybko, ale usypane przez zamieć zasy skierowały ją na ulicę, gdzie jeżdżące samochody cywilne oraz obciążone ciężarówkami transportujące broń na front ubiły śnieg. Kilku woźniców stało na uboczu, czekając na klientów, ale siedzenie w taką pogodę w otwartym powozie graniczyło z głupotą i jawnym igraniem z własnym zdrowiem. Nela przyspieszyła kroku, czując pulsujące w jej ciele ciepło. Kłęby białej pary wydobywały się z jej ust przy każdym oddechu, ale nie zamierzała się zatrzymać nawet na chwilę, żeby odpocząć.

Gdy wreszcie doszła do szpitala, jej policzki zaczerwieniły się od mrozu. Podeszła do wejścia, ale zanim otworzyła drzwi, dostrzegła zgiętego wpół chłopca skupionego na odgarnianiu drewnianą łopatą leżącego na chodniku śniegu. Choć nie widziała jego twarzy, to nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Chłopiec nie miał czapki ani rękawic, a palto wisiało na nim rozpięte. Nela omiotła wzrokiem chodnik przed szpitalem. Większość śniegu została z niego zgarnięta. Nie miała wątpliwości, kto tego dokonał. Odwróciła się i ruszyła w stronę pracującego, by go zganić za brak czapki i szalika.

– Jeśli się nie ubierzesz, to możesz się przeziębic, a twoja mama na pewno cię za to nie pochwali – zaczęła, podchodząc do chłopca.

Kiedy się odwrócił w jej stronę, stanęła jak wryta. Poczowała oblewający ją rumieniec i już sama nie wiedziała, czy policzki pieką ją z zimna, czy może ze wstydu.

– Ciocia Nela? To naprawdę ty? – odezwał się Staś i odrzucił łopatę, a później czerwonymi od zimna dłońmi objął jej szczupłą sylwetkę i mocno przycisnął.

– Ależ z ciebie siłacz – zazartowała, chcąc wymazać z jego świadomości nietrafioną uwagę o matce. – Tylko mnie nie uduś.

– Od lata urosłem i teraz sięgam doktorowi do ramion – pochwalił się.

– To dlatego masz siłę tak ciężko pracować – dodała z uznaniem i nieco odsunęła się od Stasia, który zwolnił uścisk.

– Muszę jakoś zapracować na nasze jedzenie – wyznał, a jego oczy posmutniały.

– Tata na pewno jest z ciebie dumny. – Uśmiechnęła się i poczochnęła jego długie włosy. Latem nosił znacznie krótszą fryzurę, a i policzki miał bardziej pyzate.

– Taty już z nami nie ma – stwierdził, a kąciki jego ust opadły.

Nela nie wiedziała, co ma zrobić. Czy w takiej chwili pocieszające słowa albo poklepanie po plecach mogło wystarczyć? Zapewne nie tego potrzebowało małe dziecko. Nela chwyciła jego lodowate dłonie i przycisnęła je do swoich policzków.

– Jesteś najdzielniejszym chłopcem, jakiego znam – powiedziała cicho i z czułością ścisnęła jego dłonie. – Stasiu, masz tu parę guldenów i kup sobie coś dobrego do zjedzenia – dodała, wyjmując z torebki portmonetkę.

Chłopiec uśmiechnął się, ale nie kwapił się z wzięciem pieniędzy.

– Jutro przyniosę więcej – zapewniła Nela.

– To wystarczy na lalkę dla Mani – odparł i schował pieniądze do kieszeni lichej kapoty.

– A co się stało z jej poprzednią zabawką?

– Kiedy powiedzieli nam, że tatuś poszedł do nieba, kazali nam się wynosić z mieszkania. Zdążyłem chwycić tylko kilka ubrań. O lalce nie pomyślałem – wyznał ze smutkiem.

Nela przytuliła malca, w duszy łajając się, że przez ostatnie miesiące nie zajrzała do domu Stasia. Miała inne sprawy na głowie, ale czy one stanowiły dostateczne wytłumaczenie? Odsunęła chłopca, a potem zdjęła swoje rękawiczki i wsunęła mu na dłonie.

– To dla ciebie – dodała, gdy patrzył na nią ze zdziwieniem. – Muszę teraz biec do doktora Werle, ale juro cię odwiedzę. Obiecuję.

Chłopiec chwycił za łopatę i uśmiechnął się, czując ciepło w dłoniach. Ruszył do pracy, a ona weszła do szpitala bocznym wejściem. W jej głowie wirowały myśli, które z każdą chwilą coraz bardziej ją mierziły. Wciąż zmagala się z odczuciem, że zawiodła.

Zdawkowo powitała znajomą pielęgniarkę i poszła pod gabinet doktora. Zapukała do drzwi.

– Proszę – usłyszała zaproszenie, więc weszła do środka.

– Dzień dobry, doktorze.

– Witaj, moje dziecko. Wiem, że czekasz na wieści, ale uwierz mi, że obecnie jeszcze trudniej spotkać właściwych ludzi i tak zapytać, by nie posądzili cię o wypytywanie – tłumaczył się.

– Rozumiem – odparła zdawkowo. – Robi pan bardzo dużo, dlatego nie mam prawa wymagać, by narażał pan swoje życie czy choćby karierę.

Werle uśmiechnął się nieznacznie, dając jej do zrozumienia, że czuje się rozgrzeszony z niezawinionej opieszałości.

– Kiedyś łatwiej było spotkać się na kolacji czy zaprosić kogoś do domu. Teraz nikt nie ma czasu, a i rozmawiać strach, żeby nikt nie doniósł, posądzając o kolaborację.

Nela doskonale wiedziała, o czym mówi. Wszechobecna propaganda głosiła, że nie można nikomu ufać, bo zdrajców ojczyzny nie brakuje.

Werle wstał zza biurka i wyjął z kieszeni fartucha pogniecionego papierosa. Później podszedł do okna i uchylił je. Chłodne powietrze bez zaproszenia wdarło się do środka, przyprowadzając Nelę o dreszcze.

– Udało mi się dowiedzieć, że przy obozach powstaje coś w rodzaju ambulatoriów. Najpierw stworzono wspólną izbę przyjęć, gdzie przywożeni są więźniowie potrzebujący pomocy – zaczął, co chwilę zaciągając się dymem z papierosa. – Tych więźniów wciąż przybywa, więc tworzą się kolejki i niepotrzebny chaos. Nie ma też komu ich wszystkich przyjmować, bo niemieccy lekarze mają ręce pełne roboty, gdyż opatrują rannych przywożonych z frontu z Polski – wyjaśnił i zgasił o parapet papierosa, po czym zamknął okno i wrócił do biurka. – Polskich lekarzy zamknięto w obozach pracy, więc można wykorzystać ich umiejętności na miejscu.

– Czy potrzebują pielęgniarek?

– Chyba tak... – Wzruszył ramionami. – Nikt nic nie mówi otwarcie, a ja nie śmiem wypytywać – przyznał.

– Nie mam pojęcia, jak się panu odwdzięczę. Obiecuję, że postaram się nie zawieść pana zaufania i dobrze wykorzystam szansę, którą otrzymałam.

Werle z ciekawością patrzył na siedzącą przed nim pannę, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Nie oczekiwał, że otworzy się przed nim i powie mu wszystko jak na spowiedzi. Czasy były zbyt niepewne, a wiedza bywała zgubna.

– Dobrze, że chociaż pan nie zawiódł i dał pracę Stasiowi – wyjaśniła.

– To dobry i pracowity chłopaka. Żal mi dziecka i jego rodzeństwa.

– A właśnie, co z nimi? – zainteresowała się, uświadamiając sobie, że nie zapytała o to chłopca.

– Mieszkają tu we trójkę. Śpią i jedzą resztki w szpitalnej kuchni. Mania pomaga zmywać naczynia, a Jaś tylko sobie siedzi. Nawet biedaczyna nie wie, gdzie jest.

– Tutaj, to znaczy w szpitalu?

– Lepsze to niż włóczenie się po mieście i spanie pod mostem...

– Dzieci nie mają żadnej rodziny?

– Żadnej – potwierdził Werle. – Ojciec zginął pierwszego dnia zastrzelony na ulicy, gdy pojawił się w okolicy poczty.

Nela zagryzła dolną wargę. Jeszcze bardziej zapiekło ją poczucie winy. Ile bólu może znieść małe serce dziecka?

– Powiedział pan o trójce dzieci, czy w takim razie Staś tutaj nie mieszka? – przypomniała sobie.

– A i owszem. Mieszka.

Nela patrzyła na lekarza wyczekująco.

– Najmłodsze dziecko zabrałem do swojego domu. Nie mogłem pozwolić, żeby zostało w kuchni. Tutaj nie byłoby się komu nim zająć – przyznał. – Reszty nie mogłem... – Spuścił wzrok i zaczął się bawić piórem, które dawno temu otrzymał od wdzięcznego pacjenta. – Staś i Mania mówią i myślą po polsku. I choć znają niemiecki, to trudno byłoby ich odzwyczaić od posługiwania się językiem ojczystym. Próbowaliśmy zabrać Jasia, ale przez cały dzień krzyczał i nie dał się zabawić. Moja siostra rwała włosy z głowy, by go uspokoić, ale nic nie działało.

Próbowaliśmy... Gdy z powrotem przywiozłem go do szpitala i zobaczył rodzeństwo, natychmiast umilkł. Wydawało mi się, że nawet się uśmiechnął. Teraz siedzi sobie w kącie kuchni i nikomu nie wadzi. Może dobrze, że tak mało rozumie z tego, co się wokół niego dzieje.

Nela zamrugła, starając się ukryć cisnące się do oczu łzy. Skupiona na sobie i własnym bólu nie dostrzegła, że innych wojna również pozbawiła radości życia.

Przytłoczona wieścią o rodzinie Stasia nie czuła dostatecznej radości z wiadomości o możliwości zatrudnienia w obozie w Stutthof. Wstała i bez słowa uścisnęła dłoń lekarza. Na koniec skłoniła się lekko i wyszła na korytarz. Korciło ją, by zajrzeć do kuchni i przywitać się z dziećmi. Wtedy też wpadła na pewien pomysł. Ruszyła do wyjścia z zamiarem zjawienia się tu jutro.

Na zewnątrz nie spotkała Stasia, ale efekty jego pracy wyglądały imponująco. Szeroka ścieżka wytyczona wśród sięgających kolan zasp została dokładnie oczyszczona. Dziewczyna przyspieszyła kroku, by jak najszybciej wrócić do domu. Czekają ją dużo pracy.

Gdy tylko weszła na posesję, nabrała przekonania, że potrzebuje wsparcia Tomasa. Sama mogłaby sobie nie poradzić, a do tego niepotrzebnie kogoś sprowokować.

Weszła do kuchni i przywitała Helgę. Gospościa właśnie wstawiała do piekarnika kawałek soczystej wieprzowiny. Udało jej się kupić ją od znajomego rzeźnika, przy którym czuła mrowienie w dole brzucha, a jej policzki czerwieńły się jak u nastolatki. Mężczyzna zawsze patrzył na nią, jakby chciał ją schrupać. I tylko wpojona od dziecka odpowiedzialność i poczucie godności nie pozwalały jej odpowiednio zareagować i ochoczo przyklasnąć temu zainteresowaniu.

Nela napiła się gorącej herbaty, parząc sobie język, a potem pobiegła do pokoju Tomasa, by podzielić się swoimi wrażeniami po wizycie w szpitalu. Do wieczora nie wyszła z pokoju brata.

Rano aura uległa poprawie. Słońce przepędziło chmury i triumfalnie rozsiadło się na nieboskłonie. Nela pierwsza zeszła na śniadanie. Po drodze zastukała do drzwi brata. Kilka minut później i on zjawił się w kuchni. Posileni jajecznicą na słoninie wyszli z domu. Na szczęście matka też gdzieś wybiegła, więc Nelę ominęło wymyślanie kolejnego kłamstwa.

Szli dość szybko, bo choć słońce przyjemnie muskało promieniami ich blade twarze, to ujemne temperatury skutecznie studziły zapał do długich spacerów.

Wreszcie weszli na podwórko, które widzieli latem. Stojące po jednej stronie drzewo zrzuciło kolorowe liście. Zamiast nich pojawiły się czarne sylwetki rozkrzyczanych ptaków, wypatrujących smacznych kąsków.

Tomas rozejrzał się po podwórku i upewniwszy się, że nikt ich nie obserwuje, pociągnął Nelę za rękaw. Dziewczyna zapatrzona na wrony aż podskoczyła, ale bez słowa podążyła za bratem. Ostrożnie przeszli wzdłuż wąskiej ścieżki wytyczonej pośród śnieżnych zasp i dotarli pod drzwi sutereny. Tomas pociągnął za klamkę. Drzwi nieprzyjemnie zaskrzypiały. W środku panował chłód i zapach stęchlizny, ale nie to zwróciło uwagę przybyłych. Nela powiodła wzrokiem po wnętrzu wyglądającym, jakby przeszedł przez nie huragan. Na łózkach leżały podarte sienniki, z których sterczała słoma. Kołder ani poduszek nie dostrzegła, zamiast nich na łózkach leżały ubrania. Podeszła i podniosła kilka. Wszystkie porozrywane. Nie nadawały się do założenia.

Tomas przychylił się i wziął leżące pod stołem buty, w których brakowało sznurowadeł, wkładek oraz języków. Odłożył je w to samo miejsce i począł chodzić po mieszkaniu w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do zabrania. Wkrótce obydwójce zdali sobie sprawę, że to bezcelowe.

Nela poprawiła szalik zawiązany pod brodą i naciągnęła stare rękawiczki, które wczoraj znalazła na dnie swojej szafy. Odwróciła się do drzwi i wtedy jej wzrok padł na wybebeszoną szmacianą lalkę, której głowa leżała pod krzesłem w kącie, obok drzwi. Kobieta zacisnęła zęby i mocno pchnęła drzwi. Zachowując ostrożność, pokonała ośnieżone schody i weszła na podwórko. Przeszła je, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Dopiero, gdy stanęła na ulicy, zrobiła kilka głębokich wdechów.

– Jak oni mogli?! – warknęła, nie panując nad emocjami. – To zwierzęta, nie ludzie!

Tomas wziął ją za łokieć i począł prowadzić w stronę domu. Wiedział, że wygłaszanie takich opinii na forum może niepotrzebnie ściągnąć na nich uwagę policji, która w czasie wojny obchodziła się z podejrzanymi mało delikatnie.

Nela cała drżała i nie miała pewności, czy to z zimna, czy z emocji. Dlatego nie oponowała, gdy po powrocie do domu Tomas zaprowadził ją do kuchni i zaparzył

mocnej kawy. Nela rzadko ją piła, bo później czuła się rozedrgana i nie mogła zasnąć. Tym razem nie zaprotestowała, a że oprócz nich w kuchni nikogo nie było, Tomas zdecydował się przypomnieć jej o tym, by uważała, wygłaszając publicznie mało popularne uwagi na temat wojny.

Siostra słuchała go ze spuszczoną głową.

– Masz rację – przyznała w końcu.

– Wiesz, że chodzi mi jedynie o twoje dobro.

Pokiwała głową.

– Nie potrafię pojąć, dlaczego krzywdzimy niewinnych. To ma być wojna? To zwykłe draństwo.

– Draństwo, ale we dwoje nic z tym nie zrobimy.

Kobieta oparła łokcie o stół i schowała w dłoniach twarz. Zastanawiała się nad tym, kto i jakim prawem decydował o tym, kogo miała uważać za wroga, a kogo powinna traktować jak przyjaciela. Dlaczego pozbawiono ją woli wyboru? Dlaczego w każdej dziedzinie życia była od kogoś uzależniona? Dlaczego wcześniej nie zwróciła na te kwestie uwagi? Ile podobnych jej kobiet przyjmowało świat takim, jakim go im przedstawiano?

– Myślisz, że gdyby więcej osób dostrzegало, czym jest wojna, która zbiera swe żniwo nie tylko na froncie, ale też w dużych miastach i małych wioskach wśród niewinnych ludzi, to chciałoby ją wspierać? – odezwała się i powoli podniosła wzrok na siedzącego po przeciwnej stronie stołu brata.

– Za mało ludzi potrafi samodzielnie myśleć i dostrzegać prawdę.

Nela wypila resztkę kawy i jak zawsze poczuła szybsze kołatanie serca, wstała więc i zaczęła chodzić po pomieszczeniu. Do obiadu pozostało jeszcze sporo czasu, którego nie zamierzała tracić. Zbyt dużo go upłynęło, zanim przypomniała sobie o Stasiu.

– Pomożesz mi? – zapytała, stojąc już przy drzwiach.

Tomas podskoczył, pozostawiając brudne filiżanki na stole. Chwilę później ustawił rozkładaną drabinę pod strychem i otworzył klapę, a potem precyzyjnie przesunął się do środka. Kiedyś bardzo lubił się tutaj ukrywać, gdy razem z Nelą i Frankiem bawili się w chowanego. Matka zabraniała mu tego w obawie, że chłopiec spadnie z drabiny. Od najmłodszych lat pokładała w nim nadzieję na to, że zostanie znanym artystą i dokona tego, czego jej się nie udało.

– Złap mnie za rękę – polecił siostrze i przełożył rękę przez właz.

Dziewczyna zdążyła się wdrapać po szczeblach, więc skorzystała z pomocy brata i wsunęła się na strych. Nie wstając z kolan, zapaliła zapałkę, którą przytknęła do knota grubej świeczki zabranej z kuchni. W mdłym świetle podnieśli się i uważając na gęsto rozpięte pomiędzy krokwiemi pajęczyny, rozejrzeli się wokół. Maleńkie okienko po przeciwnej stronie od włazu dawało namiastkę światła. Po chwili ich wzrok przyzwyczaił się do zastanych warunków. Nela podeszła do dużej skrzyni, obok której stały dwa jeszcze większe kufry i jeden z nich otworzyła. Kurz natychmiast wypełnił przestrzeń nad jej głową i począł łaskotać jej nos. Kichali obydwój, ale nie zrezygnowali.

Nela zanurzyła ręce w skrzyni i wyjęła ubrania, z których już dawno wyrosła. Przejrzała je dokładnie i wybrała te, które wydawały jej się najlepsze. Później przeszukała drugi kufer, w którym leżały równo złożone ubrania należące do Tomasa i Franka, gdy jeszcze byli dziećmi.

– Lepiej już chodźmy, żeby mama nas nie nakryła – ostrzegł Tomas.

– Masz rację, nie lubię jej okłamywać – przyznała i chwyciła naręcze ubrań, ale zamiast iść do wyjścia, stanęła w pół kroku wpatrzona w skrzynię. – Jeszcze chwila – stwierdziła, podając bratu ubrania. – Zanieś je na dół, zaraz przyjdę – obiecała, majstrując przy zamku skrzyni.

Wreszcie udało jej się odciągnąć zardzewiały skobelek i zdjęła wieko. Jej oczom ukazał się dawno zapomniany widok. Pamiętała, jak bardzo płakała, gdy matka kazała jej oddać wszystkie lalki. Nie mogła pojąć, dlaczego jako piętnastoletnia panienka nie może rozmawiać z zabawkami i opowiadać im o tym, co ciekawego wydarzyło się w czasie lekcji. To były jej przyjaciółki. Powiernice jej sekretów. To z nimi wolała spędzać wieczory.

Matka powtarzała jej, że w ten sposób nie znajdzie ani przyjaciół, ani narzeczonego. Wtedy nie chciała jej słuchać i jeszcze długo nosiła żal w sercu. Teraz pojawiła się szansa na to, by jej lalki sprawiły radość komuś innemu. Chwyciła wszystkie cztery. Nie potrafiła wybrać jednej. Przytulili ją do serca, a potem dostrzegła kawałek pomalowanego w różne pasy drewna. Pamiętała, że Tomas uwielbiał bawić się bączkiem otrzymanym od dziadków. Bez końca nakręcał zabawkę i nie odrywał od niej wzroku, zanim nie upadła bez tchu. Oparła wieko o skrzynię i wolną ręką wydobyła zabawkę. Później szybko zamknęła skrzynię i zebrała przygotowane rzeczy. Teraz mogła już iść.

Przełożyła nogi przez właz na strych, stanęła na szczebelku i się przekręciła. Schodząc, jedną ręką przyciskała do piersi zabawki, a drugą trzymała się drabiny. Dopiero gdy stanęła na posadzce, uświadomiła sobie, że nieopodal toczy się rozmowa. Zaskoczona spojrzała w stronę kuchni.

– Właśnie mówiłem mamie, że wpadłeś na pomysł, by zaprowadzić porządku na strychu – odezwał się Tomas, nie wiedząc czemu trzymający w dłoniach szczotkę. – Jeszcze musimy dokończyć, ale już widać światelko w tunelu – dodał z nadmiernym entuzjazmem.

– Trochę szpargałów wyrzuciliśmy, żeby nie obciążały sklepienia – podchwyciła. – Niedługo trzeba będzie tam zanieść kolejne rzeczy z mojego pokoju.

– Rzeczywiście, wszystkiego nie zabierzesz ze sobą – przytaknęła Ana Witt i z uznaniem pokiwała głową, na której wciąż miała futrzany toczek. – Cieszę się, że o tym pomyśleliście.

– Przynajmniej się nie nudzimy – dodała Nela, chowając za sobą zabawki.

– Wiem, że wolelibyście teraz żyć tak jak przed wojną, ale już niebawem to wszystko wróci i będzie jeszcze bardziej cieszyć – perorowała matka. – Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co czujesz, nie mogąc wyjechać na studia. – Ze smutkiem spojrzała na syna. – Ale dopilnuję, żebyś wszystko nadrobił, gdy tylko opadnie wojenny pył. A może nawet w Paryżu powitają cię z należyтым dla naszego narodu szacunkiem i jeszcze bardziej docenią twój talent.

– Mamo, ja tego nie potrzebuję – zaprotestował.

– Wiem, że jesteś skromny, ale w świecie artystów potrzeba siły przebicia, bo tylko nieliczni mogą zyskać społeczne uznanie.

Nela wymownie spojrzała na brata. Ten, czytając w jej myślach, odchrząknął i podszedł do drabiny.

– Idę dokończyć porządku – oświadczył, ściągając na siebie wzrok matki.

Nela tymczasem, nie oglądając się za siebie, pobiegła do swojego pokoju, w którym już leżały ubrania zabrane ze strychu. Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Musiała mieć spokój, by uporządkować rzeczy. Z bieliźniarki wyjęła dużą kwiciastą chustkę, którą kiedyś podarowała jej babcia, a której szczerze nie lubiła zakładać, bo w ogóle do niej nie pasowała. Rozciągnęła ją na podłodze i ułożyła na niej ubrania, a potem lalki i bączka. Później chwyciła za

rogi i umiejętnie zawiązała solidny węzeł. Dopiero teraz wepchnęła tobołek, a właściwie okazałych rozmiarów toboł pod łóżko, otrzepała z kurzu swoje ubrania i przekręciła klucz w zamku. Musiała się umyć po tym sprzątaniu.

– Jutro musimy to zanieść do szpitala – zwróciła się do Tomasa, który zdążył schować drabinę w schowku.

– Załatwimy to po śniadaniu – obiecał.

– Teraz idź się umyć, bo jak cię ojciec zobaczy... – zawiesiła głos, skupiając się na wyciągnięciu pajęczyny wplątanej w jego czuprynę.

Tomas się zaśmiał. Nie przeszkadzała mu ta siostrzana troska. Ostatnimi czasy zdążył się do niej przyzwyczaić. Skłamałby, twierdząc, że zawsze tak było. Gdy byli dziećmi, bardzo ubolewał nad tym, że jest najmłodszy z rodzeństwa i zawsze musi słuchać Neli i Franka. Zwykle też przegrywał, bawiąc się z nimi w chowanego czy w berka. Cierpiał wtedy i jednocześnie nienawidził tych zabaw. Nie bez znaczenia był też fakt, że Frank z upodobaniem pastwił się nad przegranym malcem, dając mu do wykonania najgorsze prace. A to nakazał mu wyłapać w swoim pokoju wszystkie muchy. A to znów kazał mu wyczyścić na błysk wszystkie jego trzewiki.

Z upływem lat Tomas coraz rzadziej chciał uczestniczyć w zabawach ze starszym bratem, nawet jeśli Nela zaręczała, że tym razem nie pozwoli Frankowi wymyślić żadnej głupiej kary. Starszy brat rzadko kiedy jej słuchał, choć czasem darował młodszemu upokorzenie.

Te dziecięce zabawy położyły się cieniem na relacjach braci i sprawiły, że Tomas rzadko myślał o tym, co robi i gdzie aktualnie się znajduje Frank.

Wczesnym rankiem Nela wstała z łóżka i włożyła grube ubrania. Miała wrażenie, że z dnia na dzień robi się coraz zimniej. Zamiast cienkiej halki naciągnęła gruby podkoszulek z długimi rękawami. Na to bluzkę i wełniany sweter. Pod spodnie założyła grube pończochy i majtki z dłuższymi nogawkami.

Po śniadaniu Nela chwilę została w kuchni, żywo rozprawiając z matką o poczęstunku dla kilku gości, których ze względu na polityczne koneksje nie sposób było pominąć i nie zaprosić na ślub.

Anę ucieszyło to zaangażowanie córki, którą ostatnio coraz częściej podejrzewała o romans. Ciągle gdzieś znikwała. Kilka dni temu, gdy powiedziała, że spotyka się z Klarą, dostrzegła dziewczynę na spacerze, tyle że samą. Z pogawędki z młodą Fischer wynikało, że przyjaciółki nie widziały się od kilku dni. Rozmów

o ślubie Nela unikała jak ognia, a i w relacji z Wilhelmem zachowywała się dość oziębłe.

Ana wciąż pamiętała motyle w brzuchu, gdy sama szykowała się do ślubu. Najchętniej nie wypuszczałaby Andersa z domu, on zaś mógłby jej nie wypuszczać z objęć. Chodziła z głową w chmurach i nie potrafiła mówić o niczym innym jak o ślubie. To był wyjątkowy okres w jej życiu. Wtedy miłość była najważniejsza. Później przyszła rutyna dnia codziennego, dlatego nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej córka rezygnuje z tego pięknego czasu i nie cieszy się nim należycie.

Romans. Musiała mieć romans – tak brzmiał jej werdykt. Aż do dzisiaj. Teraz już nie była tego taka pewna. Postanowiła podpytać Tomasza. Nela spędzała z nim bardzo dużo czasu. Tych dwoje zawsze nadawało na tych samych falach. Jeśli było coś na rzeczy, to ona jako matka musi się tego dowiedzieć.

Chłód poranka szczypał w nosy śpieszących do szpitala Wittów. Tomasz wyszedł pierwszy z domu i wytaszczył tobół. Odszedł od płotu i schował się za rozłożystym drzewem, które latem dawało chłód spacerującym mieszkańcom.

W końcu Nela dołączyła do Tomasza. Teraz mogli iść spokojnie do szpitala.

– Musiałam wysłuchać wszystkich szalonych pomysłów mamy dotyczących przyjęcia weselnego – przyznała przepaszająco.

– Słyszałem, że doskonale wczułaś się w rolę – pochwalił dziewczynę.

– Pamiętasz, że kiedyś marzyłam o aktorstwie? – Spojrzała na chłopaka wymownie.

– Masz prawdziwy talent – przyznał, a potem chwycił pakunek.

Nela pomogła mu zarzucić go na plecy. Chłopak zgarbił się pod ciężarem i ostrożnie ruszył. Szła obok niego gotowa mu pomóc. Szybko zrozumiała, że chociaż Tomasz na co dzień nie pracuje fizycznie, to jednak noszenie sztalug, farb i pędzli nieco go zahartowało. Brat szedł dość szybko.

Wkrótce dotarli do szpitala. Nela uważnie się rozejrzała, ale nie dostrzegła Stasia. Wiedziała, gdzie powinna go szukać. Poszli na tyły szpitala, wprost do kuchni. Smakowity aromat zupy rozgościł się na schodach prowadzących do piwnicy i nie pozostawiał obojętnym nikogo z wchodzących do kuchni.

Nela pchnęła drzwi i złowiła wzrok jednej z kucharek siedzących przy długim stole i siekającej marchewkę.

– A czego to? – spytała kobiecina, zastygając z uniesionym nożem.

– Dzień dobry – odezwała się Nela. – Jestem ciocią Stasia i przyniosłam rzeczy dla dzieciaków.

– A to i dobrze, że jaka rodzina ich odwiedzi. – Pokiwała z uznaniem. – Może weźmieta te dzieciny, bo to nie miejsce dla nich – dodała.

– Nie jestem ich prawdziwą ciocią – wytłumaczyła Nela. – Ale znam dzieci i przyniosłam dla nich ubrania i zabawki.

– Toć dobre i to. Tu jeść dostaną, a i ciepło u nas w kuchni, to przy piecu posną w nocy – zapewniła.

Kucharka odsunęła się i dopiero wtedy Nela dostrzegła drobną postać Mani. Kilkuletnia dziewczynka chudymi paluszkami siekała marchewkę na nierówne kawałki. W kącie po drugiej stronie kuchni na rozłożonej na podłodze płachcie siedział Jaś. Kiwał się w przód i w tył i wpychał do buzi paluszki.

– Pamiętasz mnie? – Nela zwróciła się do dziewczynki z uśmiechem.

Mania odłożyła na stół zbyt długi i zbyt ostry jak dla niej nóż, a potem od góry wsunęła rękę za swoją bluzkę i wyciągnęła cienki sznureczek, na którym zawieszony był pierścionek. Usta Neli zadrżały, a nogi same zaprowadziły ją do dziecka. Stała przy małej i wzięła z jej rączek pierścionek zaręczynowy, który otrzymała od Wilhelma.

– Ciocia kazała mi go pilnować – oświadczyła dziewczynka po polsku.

– Ciii! – sarknęła na nią kucharka. – Tu nikt nie mówi w tym języku. Zapomniałaś?

Dziecko patrzyło przeproszającym wzrokiem to na jedną, to na drugą kobietę.

– Nie martw się, słonko – zapewniła Nela po niemiecku. – Dla mnie to nie ma znaczenia.

Dziewczynka przytuliła się do kobiety i długo jej nie puszczała. Tak ładnie pachniała i miała mięciutkie ubrania. Czy taki zapach miała jej mamusia? Przymknęła powieki i jeszcze mocniej objęła kobietę, która wciąż trzymała w dłoni swój pierścionek, jakby nie mogła się zdecydować, co dalej powinna z nim zrobić.

Rozdział XV



Zimowe harce

Puchowa kołdra szczelnie okryła całe Wybrzeże, skrywając bród, głód i biedę wszystkich, którym wojna odebrała wolność. Szum bujających się na wietrze drzew nie dawał ukojenia. Zimne podmuchy wiatru nie przynosiły oczekiwanego oddechu. Błękit nieba, na którym mróz malował obrazy z chmur, nie sprawiał radości. Biel straciła swą naturalną barwę i straszyla szarością dnia codziennego, w którym niepewność nasączona była strachem. W takich warunkach toczyło się życie w obozie jenieckim w Stutthof.

Jak co rano, zaraz po pobudce, wszyscy wylegli na plac apelowy i w pośpiechu zajmowali przydzielone miejsca. Wczoraj dwa komando porządkowe cały dzień wywoziły śnieg na obrzeża obozu. Ludzie wrócili potwornie zmęczeni i bez sił rzucili się na barłóg, by przespać noc. Łudzili się, że ich praca będzie widoczna choć przez kilka dni. Kiedy więc zobaczyli, że wokół się bieli, prosili Boga, by dzisiaj nie musieli z powrotem odśnieżać całego placu. Szybko okazało się, że ich nawoływania nie zostały wysłuchane i po śniadaniu, na które składała się pajda brunatnego chleba z cienkim plastrem margaryny oraz miska lurowatej kawy zbożowej, komando porządkowe ruszyło do oczyszczania placu obozowego. Dzisiaj znacznie więcej osób miało zajmować się odśnieżaniem. Jakby to stanowiło ich najważniejsze zadanie.

Iwo nie rozumiał, dlaczego cały ludzki potencjał nie jest wykorzystywany do tego, by wreszcie zakończyć budowę baraków. Owszem, prawie wszystkie miały już ściany, dach i drzwi wejściowe, ale wciąż brakowało okien, podłóg czy mebli. Nikt nie mógł więc w nich zamieszkać, tymczasem każdego ranka z namiotów uprzątno ciała tych, którzy nie zdołali przetrwać nocy.

Dzisiaj Iwo i Alfred też otrzymali przydział do pracy przy odśnieżaniu. Znacznie chętniej zajęliby się mocowaniem podłogi w barakach, ale już od dawna nie było nowego transportu z drewnem. Wszystkie deski już wykorzystali, zatem pozostało wykonanie drobnych poprawek i uprzątnięcie odpadów.

Alfred dokładnie obwiązał sobie dłonie materiałowymi paskami. Udało mu się oberwać jeden kawałek na dole koszuli. Musiał wystarczyć. Iwo to samo zrobił z rękawami koszuli, z której wcześniej zrobił onuce. Inni i tego nie mieli.

– Szybciej! Szybciej! – szprechali po niemiecku esesmani, poganiając więźniów do pracy. – Do roboty, obiboki! – grzmiał najwyższy i najgłośniejszy ze wszystkich, który dzisiaj miał pilnować komanda odśnieżającego obóz. – Na żarcie trzeba najpierw zapracować, a wy już michę opróżniliście, a jeszcze nic nie zrobiliście!

Iwo począł turlać coraz większą kulę śnieżną. W ten sposób najszybciej szło odśnieżanie. O łopacie nikt nawet nie marzył. Większość więźniów gołymi dłońmi zgarniała śnieg i wrzucała go na wózek, by później wywieźć go i usypać sporą górkę przy płocie. Sine dłonie wielu więźniów zdawały się być nieruchome. Mechanicznie wykonywały czynności, do których nie przywykły. Iwo szybko zorientował się, kim są przydzieleni do pracy nowi więźniowie. Widział ich przygaszony wzrok i dotychczas obce im poczucie bezradności.

– Trzeba obwiązać sobie palce – szepnął do schyłego nieopodał młodego mężczyzny, który zgarniał śnieg i formował z niego niewielkie bryłki, by później przenieść je na wózek.

Mężczyzna spojrział zaskoczony. Wiedział, co grozi za rozmowę przy pracy. Spuścił więc wzrok, nie przerywając pracy.

– Nie mam czym – odparł, upewniwszy się najpierw, że strażnik zajęty jest rozmową z innym esesmanem, który najpewniej opowiadał jakieś żarty, bo co chwila obydwaj wybuchali gromkim śmiechem.

– Może jakiś kawałek koszuliny albo inne szmaty? – podsunął Iwo, kątem oka obserwując strażników.

– Nic już nie mam. – Westchnął. – Wszystko porwane, a resztę mi zabrali.

– Musisz pan coś wymyślić.

– Myślę nieustannie. – Pokręcił głową z rezygnacją. – Kiedyś potrafiłem nieźle na tym zarobić, ale teraz... – Teraz i myśleć nie mam siły.

Iwo podszedł nieco bliżej, wciąż dbając o to, by turlana kula stawała się coraz większa.

– Tu myślenie jest bezcenne. To jedyne, czego nie mogą nam odebrać.

– Ale robią wszystko, żeby to utrudnić, i przyznam szczerze, że to im się udaje.

– Iwo – przedstawił się.

– Janek – szepnął tamten, spoglądając przez ramię na głośno rozprawiających esesmanów, do których dołączył trzeci. Teraz wspólnie palili papierosy.

Ich dym przyjemnie łaskotał w gardle i przypominał Janowi wielogodzinne dysputy z kolegami z Politechniki Gdańskiej, gdzie wykładali na Wydziale Inżynierii Budowlanej. Zarówno w pracy, jak i poza nią snuli wizję nowoczesnej Polski, w której powstają autostrady, nowoczesne drogi w miastach i budynki spełniające oczekiwania rozwijającego się społeczeństwa, podobnie jak w Niemczech. Jakież wtedy mieli pomysły na to, by kreować powojenną rzeczywistość! Jak mało zdążyli zrobić, bo znów ktoś pozbawił ich wolnej woli.

– Czasem nie potrafię na niczym skupić uwagi i przez cały dzień myślę tylko o jedzeniu – przyznał Jan. – Tak sobie umyślili. Pozbawić nas rozumu... Motłochem łatwiej sterować.

Iwo bezwiednie spojrział na pracujących dookoła niego ludzi. Wszyscy byli obdarci, w długo niezmiennych, brudnych, cuchnących łachach.

– Dlatego w pierwszej kolejności wyłapali całą inteligencję, jakbyśmy byli wrogami numer jeden – kontynuował Jan.

– Dobrze to sobie obmyślili – powiedział Iwo.

– Ja i wszyscy moi koledzy z uczelni trafiliśmy na listę do wywózki, choć żaden z nas nie miał nic wspólnego z polityką. Chcieliśmy tylko żyć i pracować w miejscu, gdzie przyszliśmy na świat.

– Wszyscy tutaj trafili?

– Ci, co nie zdążyli uciec, są tutaj zamknięci bez wyroków.

– Wiem, że nikt z mojego namiotu nie miał rozprawy.

– To samo u nas – przyznał Jan. – Przetrzymują nas tu bezprawnie.

Nagle ucichli, bo odgłosy głośnej rozmowy strażników przycichły i mężczyźni zaczęli krążyć wokół pracowników, by skontrolować ich pracę.

– A tego to nie widzisz?! – zachnął się jeden, wskazując śnieżne pryzmy pomiędzy dwoma namiotami. – Chcesz, żeby ktoś nocą się poślizgnął i złamał rękę albo nogę, durniu?! – szwargotał po niemiecku.

– Te śmierdzące lenie są w stanie zrobić wszystko, żeby nic nie robić – dołączył do niego drugi i szturchnął Iwa, by przeszedł do pracy w tamto miejsce. – Swoją drogą, Karl, czy nie sądzisz, że skoro jest taka okazja, żeby śmierdziele trochę pozbyli się swojego smrodu, to powinni się cieszyć i z niej skorzystać?

– Na pewno by im to nie zaszkodziło, Arnoldzie – przyznał Karl i z uznaniem dla pomysłu pokiwał głową.

– W takim razie wszyscy zrzucają łachy! – zarządził pomysłodawca.

Szmer zdziwienia przemknął pomiędzy więźniami, którzy zastygli w bezruchu, zastanawiając się, co mają zrobić.

– Ogłuchli czy co? – zastanawiał się Karl Herman, marszcząc brwi i z zaciekawieniem patrząc na osłupiałych więźniów.

– Rozbierać się, i to biegiem! – zagrział Arnold Hass wyglądający na niewiele starszego od Hermana.

Znali się od dzieciństwa. Może nie należeli do najlepszych przyjaciół, bo ich temperamenty znacznie się różniły, ale gdy Karl wstąpił do Hitlerjugend, okazało się, że Arnold już miał tam wydeptane ścieżki i chętnie wprowadził młodszego o dwa lata kolegę. Hass miał łatwość w nawiązywaniu kontaktów, dlatego wszystkich znał i wszyscy znali jego. Gdy czegoś potrzebował, szybko znajdował pomoc i rozwiązanie. Ta umiejętność był obca Hermanowi, więc jeśli chciał jakoś przetrwać, a wiedział, że innego wyjścia nie ma, musi mieć po swojej stronie kogoś takiego jak Arnold.

W ten sposób znaleźli się tutaj razem, choć to akurat była zasługa Karla, który zrobił wszystko, by wybić koledze pomysł pójścia na front. To dlatego podsunął mu swoją siostrę, a ta złowiła przystojnego, niebieskookiego szatyna na wędkę i nie zmierzała mu odpuścić, dopóki nie staną na ślubnym kobiercu. Nie chciała też słyszeć o puszczaniu go na wojnę, zatem tylko tutaj mógł służyć ojczyźnie, a jednocześnie cieszyć się miłością Rity Herman, dla której stracił głowę i w ogóle się tego nie wstydził.

– Sturmman Herman, jest tak zimno – jęknął cicho Iwo, mnąc trzymaną w dłoniach czapkę.

– Zimno? – Hass się zaśmiał. – Za bardzo się objiacie, dlatego nie zdążyliście się rozgrzać.

Iwo zamilkł, wciąż nie podnosząc wzroku na strażników.

– Wyskakiwać z gaci! – powtórzył Hass ze zmarszczonym czołem.

Kilku więźniów z ociąganiem ruszyło do zdejmowania ubrań. Skostniałymi palcami oddzielali poszczególne warstwy odzieży, łudząc się, że zanim dojdą do ostatniej, sturmmann zmieni zdanie.

– Szybciej! Szybciej! – ponaglał Hass, chcąc zwrócić na siebie uwagę pozostałych esesmanów.

Ci z zainteresowaniem obserwowali dzisiejszą zabawę, jaką zaserwował im Arnold. Młodziak miał temperament i potrafił ich ubawić do łez. Kawały też najlepiej opowiadał, nie szczędząc sprośnych fragmentów.

– Ale że wszystko mają zdjąć? – upewnił się Herman, spoglądając na dygoczących więźniów.

– A ty jak się kąpiesz? Chyba gacie zdejmujesz? – Arnold się zaśmiał.

Iwo właśnie zdjął koszulę i rzucił ją na stertę ubrań. Drżał, stojąc w samych slipach. Po chwili dołączyli do niego Janek i Alfred. Nieco dalej dostrzegł skonsternowanego księdza Jeremiego, który znacznie wolniej niż inni zdejmował koszulę, by odwlec moment, gdy będzie musiał stanąć nago.

– Gacie w dół! – powiedział hardo Hass. – Już! – warknął i na dowód tego, że kolejny raz nie powtórzy, zdzielił po głowie stojącego najbliżej więźnia.

Trafił na niskiego mężczyznę, który jeszcze latem najpewniej lubił dogadzać sobie podwójną porcją deseru, co zdradzała jego obwisła skóra na brzuchu i twarzy. Więzień zatoczył się, ale utrzymał się na nogach, a gdy nieco oprzytomniał, począł zdejmować slipy i po chwili dołączył do pozostałych, którzy już stali nago, dłońmi osłaniając przyrodzenie.

– Jacy wstydlivi! – zakrzyknął trzeci ze strażników, który wcześniej palił papierosy. – Dziewice orleańskie! – Wybuchnął śmiechem.

Zaraz potem dołączyli do niego inni.

– A teraz na ziemię i się turlajcie, już! – nakazał Hass. – Macie zetrzeć z siebie cały ten bród!

Znów zapalił papierosa. Wprawdzie obiecał Ricie, że z tym skończy, bo nie lubiła ani smaku, ani zapachu tytoniu, ale nie potrafił wytrwać w tym postanowieniu. Nudził się jak mops w tym miejscu. Wolałby siedzieć w okopach, czyścić broń i czekać na nadejście wroga, niż codziennie przychodzić tutaj i patrzeć na te posępne gęby, z których trudno coś wyczytać, a kolejne dni nie przynosiły niczego nowego. Starał się. Ach, jak on się starał, żeby nieco ożywić to miejsce, bo marazm go wykańczał.

To on wymyślił zabawę w berka. Tylko że to nie on gonił kuśtykającego więźnia ze złamaną nogą, a specjalnie tresowane do tropienia psy. Miały trochę postraszyć fajtlapę. I gdyby ten głupiec nie zbliżył się do płotu, mógłby nadal żyć. Cóż było robić, skoro właśnie taką trasę ucieczki wybrał?

Więźniowie ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami turlali się po śniegu w różne strony, objijając się o siebie i głośno wzdychając za każdym razem, gdy do ich ciał przykleiła się bryłka lodu. Przezroczyste ciała stawały się niemal niewidoczne na śniegu. Tylko pojękiwania i ciche stękanie nagusów wśród gromkich okrzyków, śmiechu i nawoływań opatulonych strażników pozwalały dostrzec zamieszanie.

Iwo pamiętał harce w śniegu, gdy ich podwórko tonęło w białym puchu. Śmiech i szalone pomysły nie pozwalały im wrócić do domu na obiad. Zabawa mogła trwać cały dzień, a i tak żadne z dzieci nie czuło głodu. Gdy wreszcie przekraczali próg domu, matka kazała im natychmiast zdejmować przemoczone ubrania, a potem wlewała do miednicy ciepłą wodę i wszystkich sadzała wokół niej. Z nogami w parującej wodzie ściskali kubki z gorącym mlekiem i zajadali chałkę, którą dopiero co wyjęła z pieca, albo drożdżowe bułeczki z dużą ilością kruszonki, którą uwielbiali.

Wspomnienie szybko prysło, gdy Iwo zderzył się z innym więźniem. Teraz obydwaj rozcierali obolałe ramiona, ale nie trwało to długo, gdyż Hass szybko zgromił ich wzrokiem.

Pozostali więźniowie z innych rewirów udawali, że nie widzą tego, co się dzieje, w duchu modląc się, by i oni nie zostali zmuszeni do podobnych fanaberii.

– Teraz wstawać i natrzeć się śniegiem – rozkazał Hass.

Nadzy więźniowie powoli wstawali i jakby nie wierząc w to, co słyszą, spoglądali na innych. Nikt nie był pewien, co dalej robić.

– No już! Śnieg do łapy i nacierać się nim, żeby zmyć z siebie cały brud! – fuknął Hass niezadowolony, że więźniowie z taką opieszałością wykonują polecenia. – Cholerne lenie!

Kiedyś czytał o takich zwierzętach, co to ponoć godziny spędzają na ziewaniu i spaniu, a gdy schodzą z drzewa, to można by w tym czasie domy wybudować. Stojące przed nim pokraki udające, że nie rozumieją jego rozkazów, doprowadzały go do szału. Ich obowiązkiem było znać język niemiecki. Słyszał, jak niektórzy tłumaczyli jego polecenia innym, ale to go jeszcze bardziej drażniło, bo niejako dawało im możliwość zwłoki. Wówczas musiał stać i czekać na ich reakcję. Nie cierpiał tego.

– Nacierać! Raz, raz! – powtarzał, patrząc wyzywająco na stojących najbliżej niego.

Mężczyźni powoli podnosili śnieg i ostrożnie przykładali go do ciała. Zimno graniczyło z bólem.

– Widzisz, jakie panienki... – Hass zaśmiewał się do rozpuku, wskazując przyjacielowi ostrożne ruchy więźniów. – I tacy chcieliby chodzić po ziemi... Tu nie ma miejsca dla takich fajtłap...

– To dlatego większość tych polaczków związała z kraju z podkulonym ogonem – podrzucił palacz, który znowu podszedł bliżej dwóch strażników, by lepiej widzieć.

Hass włożył kolejnego papierosa do ust. Podsunął też paczkę Hermanowi, ale ten pokręcił głową. Owszem, palił, ale dla towarzystwa, nie z potrzeby. Wciąż nie czuł przyjemności z wdychania dymu, który powodował gorycz w ustach i chęć zjedzenia czegoś słodkiego, o co było trudno w obozowej kuchni. W ogóle z przyprawami mieli jakoś nie pod drodze, bo zwykle jedzenie nie było ani słone, ani pieprzne, co wielokrotnie wytykali szefowi kuchni. Ten zwykł się tłumaczyć, że każdy ma inny smak i sam może sobie doprawić zupę. Rzeczywiście, gdy Karl widział, jakie ilości pieprzu sypie do swojego talerza Arnold, rozumiał tłumaczenia kucharza, ale po kilku dniach gderanie niezadowolonych strażników powracało.

Jakże go brzydziły te zupy wydawane więźniom. Już przestał na nie patrzeć i na to, jak je jedli brudnymi rękoma, bo nikt sobie nie zaprzętał głowy przydzielaniem im łyżek. Na szczęście oni mieli sztucce, a wraz z zupą dostawali spory kawałek

kielbasy, żeberko lub słusznym rozmiarów skwarę wieprzowiny. Każda porcja musiała być skrupulatnie odmierzona, by nie dochodziło do kłótni pomiędzy oficerami. Kucharz szybko nauczył się tej zasady i teraz niemal z miarką w oku dokonywał podziału mięsiwa. Walki o chleb nie było, dlatego wykładali go na stoły, by każdy mógł jeść do woli. W końcu cały dzień przebywali na dworze w ciężkich warunkach pogodowych. Musieli mieć siłę do pracy w takim miejscu.

– Armii nie ma... – Hass się zaśmiewał.

– Dowódców nie ma... – wtórował mu palacz.

– Polityków nie uświadczysz – ciągnął Arnold.

– Władze zwiąły – zaśmiał się palacz i z wydmuchiwanego dymu zrobił kółka, które rosły nad jego głową, aż w końcu zniknęły.

– Kolejarzy nie ma.

– Pocztowców brak.

– Księży nie znajdziesz.

– Nauczycieli nie ujrzysz.

– Została sfora obdartusów turlających się po śniegu – dokończył Hass i wyrzucił niedopałek w śnieg. – Tylko dobrze się nacierać, żeby przestało od was cuchnąć! – krzyknął i pomaszerował wzdłuż więźniów, by dopilnować zabiegów higienicznych.

Osobiście przeszkadzał mu smród unoszący się wokół tych ludzi. Do namiotów wolał nie wchodzić, bo gdy tylko włożył głowę do środka, natychmiast zbierało mu się na wymioty. Gdyby to od niego zależało, codziennie kazałby im się kąpać. Nawet pokusiłby się o zakup mydła, bo mycie samą wodą nie przynosiło większych efektów. A i pranie zarządziłby jako obowiązkowe. Tylko patrzeć, jak jakieś choróbka się przywłoką do obozu, a wtedy dopiero będą mieli kłopot.

Jako jeden z młodszych pracowników obozu nie śmiał tego wszystkiego powiedzieć komendantowi Pauly'emu, ale coraz głośniejszym głosem o tym wspominał na stołówce, by otworzyć oczy innym. Miał jednak wrażenie, że niewielu jest tak lotnych jak on i Karl. Może dlatego próbował w inny sposób przyciągnąć ich uwagę.

Kiedy już obszedł całą grupę i stwierdził, że wszyscy porządnie przyłożyli się do zadania, z uznaniem pokiwał głową.

– Wystarczy ich właściwie zmotywować i są potulni jak dzieci – zwrócił się do strażnika, który właśnie skończył palić i wyrzucił niedopałek. – A teraz jeszcze jeden występ – obiecał i mrugnął do niego porozumiewawczo. – Stawać gęsiego i biegiem dookoła namiotów! – krzyknął, by go wszyscy dobrze usłyszeli.

Kilku więźniów wykonało jego polecenie. Inni, nawet jeśli go nie zrozumieli, dołączyli do reszty i poczęli biec, ślizgając się w porwanych butach, w których czasem brakowało kawałka zelówki. Znowu przyciskali do siebie wychudzone ręce i ciężko podskakiwali.

Wyglądające zza chmur słońce ze zdziwieniem obserwowało tę zabawę, której nie towarzyszył śmiech, tylko szyderstwa i krzyki. Jakby chcąc ulżyć nękanym, namówiło chmury do tego, by przestały rozsiewać śnieg. Teraz z góry wspólnie obserwowali ten przejmujący spektakl, bo jak widać ostatnia odsłona jeszcze trwała.

Hass coś szeptał do dwóch innych strażników tak, by nikt go nie usłyszał. A gdy sznur więźniów wyłonił się zza namiotów, poczęli obrzucać ich kulami śnieżnymi, dławiąc się od śmiechu. Inni strażnicy mieliby ochotę dołączyć do śnieżnej rewii, ale woleli nie ryzykować kary za niedopilnowanie więźniów ze swojego rewiru. Patrzyli więc z zazdrością i niemałym rozbawieniem na pomysły serwowane przez młodszego kolegę.

Zaskoczeni obrotem sprawy więźniowie kucali, robili uniki, przewracając się przy tym, a przy okazji podcinając innych. Potem niezdarnie podnosili się, pod kolejnymi atakami. Białe kule nie wybierały miejsc, w które trafiały. Resztki śniegu kleiły się do nagich ciał, pozostawiając na nich czerwone ślady.

– Wstawać! Szybciej! – ponaglał Hass. – Celuj w ich przyrodzenie – zwrócił się do Hermana i uśmiechnął się szelmowsko.

Kolega spojrział na niego niepewnie, ale błysk w oczach Arnolda i jego kompana utwierdził go w przekonaniu, że to nie żart. Widział wyczerpanie na twarzach tych ludzi, którzy od kilkunastu minut paradowali bez ubrań, usiłując zachować resztki godności. Najchętniej kazałby im się ubrać i wrócić do pracy, ale wiedział, że Arni by go wyśmiał, a potem ze szczegółami opowiedział o wszystkim przy niedzielnym obiedzie. Ojciec znowu musiałby się za niego wstydzić. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Gdy po raz pierwszy kazano mu zostać po zajęciach, na których nie mógł pojąć, dlaczego jeden człowiek ma prawo zarządzać duszą i ciałem drugiego, myślał, że spali się ze wstydu i nikomu o tym nie powiedział. Traf chciał, że tego dnia Arni się wygadał przed jego siostrą, a potem wszystko wypłynęło. Ojciec dał mu surową reprimendę, nie zwracając uwagi, że w domu znajduje się ciotka z Breslau wraz ze swoimi córkami, z czego jedna nad wyraz ochoczo łypała na niego swymi orzechowymi oczami głęboko osadzonymi na rumianej buzi. Wtedy czuł się jak półgłówek, który nie rozumie realiów, w jakich przyszło mu funkcjonować.

Schylił się i ulepił kilka kulek. Najpierw podawał je Arnoldowi, ale ten w pewnej chwili spojrzął na niego zimnym wzrokiem, w którym dostrzegł dezaprobatę, dlatego cofnął dłoń i sam wycelował, a właściwie rzucił ot tak, na niby. Śnieżka upadła obok jednego z więźniów.

– Runda druga – obwieścił Hass, widząc, że jeńcy po raz drugi okrążają namioty. – Cel! Pal! – krzyknął i kanonada śnieżek posypała się na głowy nagich więźniów.

Później jeszcze dwa razy powtórzył całą zabawę. Wreszcie zmachany schylił się i ciężko dysząc, spojrzął na Karla.

– Mam dość – oświadczył niczym dziecko zmęczone zabawą i wsadził papierosa do ust.

– Ubierać się – polecił Herman.

Słaniający się na nogach więźniowie poczłapali do swoich ubrań i nie bacząc na chłód, siadali na śniegu i zaczęli się ubierać. Ich głośne oddechy tworzyły melodię, w takt której uderzały skołatane serca, a udręczone dusze nuciły pieśń o utraconej wolności.

Rozdział XVI



Rozbudzony apetyt

– Sama zaczynam się martwić tym spóźnieniem – odezwała się młoda kobieta krzątająca się po sterylnie czystym gabinecie, w którym od rana nie zjawił się ani jeden pacjent. – Doktor Werner von Schenck^[4] nigdy się nie spóźnia, choć ma naprawdę dużo obowiązków w izbie przyjęć – dodała z troską w głosie.

– Pewnie wypadło mu coś ważnego – kurtuazyjnie przytaknęła Nela, która czekała już trzecią godzinę na rozmowę z lekarzem. – Zaczekam jeszcze chwilę. W końcu nie po to jechałam z Danzig, żeby teraz odejść z kwitkiem.

– Też bym tego nie chciała, bo przyda mi się pomoc.

– Przychodzi tu wielu chorych?

– Różnie z tym bywa... – przyznała dziewczyna i podlała stojące na parapecie geranium, które jak zwykle zimą z braku dostatecznej ilości światła zrzuciło nieco liści. – Nieraz coś komuś zaszkodzi i wtedy się zaczyna... – Zachichotała. – Albo jeden kichnie, a inni w ślad za nim przybiegają, żebym sprawdziła, czy nie mają temperatury.

– Tylko tyle?

– Niekiedy mam i tego dość, bo sama wiesz, jacy marudni są chorzy mężczyźni, nawet jeśli na co dzień noszą mundur – dodała konspiracyjnym tonem i wymownie spojrzała na Nelę.

– Mundury? – powtórzyła i szeroko otworzyła oczy.

– A jakże. – Wzruszyła ramionami. – Przecież to esesmani – dodała, patrząc podejrzliwie na rozmówczynię.

Nelę olśniło.

– Myślałam, że lecycie tu chorych więźniów.

Dziewczyna zatrzepotała długimi czarnymi jak smoła rzęsami i rozchyliła wąskie usta, pokazując w uśmiechu małe zęby, które miały jedynie o ton ciemniejszy kolor niż jej fartuch narzucony na szarą sukienkę z wełny. Choć nie należała do kobiet tęgich, to jej krągłości były wyraźnie zaznaczone.

– Tamci mają swoją służbę sanitarną i nie musimy sobie nimi zajmować głowy – wyjaśniła. – Moim, a może wkrótce też twoim obowiązkiem będzie opieka nad pracownikami nadzorującymi obóz. Oni mają ręce pełne roboty i często całą służbę spędzają na dworze.

– Razem z więźniami?

– Diabli ich nadali. Tylko kłopot przez tych bandytów, a nasi chłopcy odmrażają sobie przez nich nosy – ciągnęła oskarżycielskim tonem.

– Dzięki temu się nie nudzisz. – Tym razem to Nela mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Oj, lubią sobie oni pożartować. – Rozmarzyła się, a chwilę później na swoje usprawiedliwienie dodała: – Wszyscy stacjonują daleko od domu. Trafili tutaj, więc staramy się sobie pomagać jak w rodzinie.

Nela głośno przełknęła ślinę, przypominając sobie własną rodzinę, którą narażała swoim przyjazdem do Stutthof. Wiedziała, że postępuje wbrew woli Wilhelma, szukając kontaktu z Iwem, ale nie potrafiła się go wyrzec. Dlatego nie rezygnowała z namawiania doktora Werle, który w końcu jej uległ i odnowił kontakty ze znajomym doktorem odpowiedzialnym za izbę chorych dla więźniów w tym obozie. A kiedy życzliwy doktor Werle napomknął jej o pracy, nie wahała się ani sekundy.

To była szansa, której nie mogła zaprzepaścić. Wówczas przez myśl jej nie przeszło, że wcale nie chodzi o pracę w obozie, a na przylegającym do niego terenie, gdzie znajdowały się mała apteka i punkt opatrunkowy. Teraz wszystko nabierało jasności.

– Taka duża rodzina – podkreśliła pielęgniarka, która wreszcie usiadła na krześle tuż przy niewielkim stole, przy którym zwykle zasiadał lekarz bywający na wizytach kontrolnych.

– Ursulo, pokażesz mi to miejsce?

– Trochę zimno na spacer – zauważyła, spoglądając za okno. – Ale co tam, mam kożuch z kapturem. Ty chyba też masz coś ciepłego?

– Na pewno nie zmarznę – obiecała i podskoczyła do wieszaka, by jak najszybciej się ubrać.

Chwilę później obydwie opatulone wyszły z budynku i krocząc wąską ścieżką po grubej warstwie udeptanego śniegu, podążały w stronę bramy prowadzącej do obozu.

– Jeszcze kilka tygodni temu było tu prawie pusto. – Pokazała w stronę otoczonego drutem placu. – A teraz stoi kilka baraków dla jeńców.

– Dobrze im idzie robota.

– To zasługa naszych chłopców, że tak pilnują tych leni – oświadczyła i pomachała do strażnika stojącego wysoko ponad bramą w oszklonej budce. – Robią wszystko, by te baraki jak najlepiej służyły więźniom.

Nela nie miała pewności, bo dzieląca ją od baraków odległość była zbyt duża, a oślepiające promienie słoneczne odbijające się od śniegu nie ułatwiały zadania, ale wydawało jej się, że w żadnym nie dostrzegła szyb okiennych.

– A dokąd to panienki tak pędzą? – zagaił je idący od strażnicy esesman, który dopiero co zapalił papierosa. Gęsty dym zatańczył nad jego głową i uleciał wysoko ponad drzewa, pozostawiając po sobie ostrą woń.

– Właśnie pokazuję Neli, gdzie, być może, będzie pracować – pospieszyła z wyjaśnieniem Ursula.

– Potrzebujemy każdego, kto tylko chce służyć Rzeszy – zauważył, lustrując stojącą przed nim dziewczynę.

– Bardzo chciałabym się na coś przydać. – Nela natychmiast wykorzystała swoją szansę na nawiązanie kontaktów. – Naprawdę podziwiam wasze zaangażowanie w służbę w takim miejscu. – Powiodła wzrokiem po placu, a potem zmusiła się do uśmiechu.

– Niewiele osób rozumie, co my musimy tu znosić i jak się namęczyć, żeby ci ludzie zechcieli zapracować na swoje utrzymanie.

– Johannowi naprawdę zależy na tym, żeby ten obóz stał się wzorem dla innych – wtrąciła Ursula, obdarzając mundurowego zalotnym spojrzeniem.

– I taki będzie – potwierdził i ponownie się zaciągnął. – Zobaczcie, jak dokładnie jest oczyszczony ze śniegu wjazd na teren obozu. Po obiedzie ruszają do

odśnieżania ścieżek pomiędzy barakami – dodał z dumą w głosie.

– Zimą to praca bez końca... – zauważyła Nela, widząc kilkunastu mężczyzn toczących śnieżne kule, by ostatecznie z pomocą innych wrzucić je na drewniany wózek i wywieźć na koniec obozu.

Miejscami spod odgarniętego śniegu prześwitywała ziemia. Tam, gdzie śnieg leżał jeszcze nienaruszony, prawie sięgał do pustych otworów okiennych.

– A możemy wejść do środka? – Nela postawiła wszystko na jedną kartę.

– Życie ci niemiłe? – Otworzył szeroko oczy. – Chcesz, żeby te dzikusy was napadły? Oni nie powstrzymają się przed niczym. To było.

– Nelu, my mamy swoje obowiązki po tej stronie płotu – podkreśliła pielęgniarka. – A teraz chodźmy jeszcze kawałek. Taki słoneczny dzień.

Johann machnął im na pożegnanie i wrócił na wieżę, skąd rozciągał się widok na cały teren, zarówno odgrodzoną część, w której przebywali jeńcy, jak i tę służącą pracownikom niemieckim zajmującym się kwestiami funkcjonowania całego obozu.

Nela nie spuszczała wzroku z pracujących za drutami ludzi. Kilka razy wydawało jej się, że dostrzegła znajomą postać, ale nie miała możliwości, by lepiej jej się przyjrzeć. Pewna swej niepewności podeszła bliżej do drutów, ale Ursula szybko ją pociągnęła w stronę budynku, z którego niedawno wyszły. Zimne powietrze szczypało policzki, dlatego Nela nie oponowała.

Gdy weszły do środka, Ursula zrzuciła kozuch i pośpieszyła do żeliwnego pieca stojącego w rogu obszernej izby urządzonej jak gabinet lekarski. Nela podążyła za nią i dłuższy czas w milczeniu ogrzewały dłonie.

Później Ursula zaparzyła herbatę z kwiatów rumianku i osłodziła ją miodem lipowym, a kiedy siedziały przy stole, pijąc gorący napar, dziewczyna szczebiotała o tym, jak to się stało, że trafiła do pracy w obozie.

Nela puszczała jej słowa mimo uszu, bo jej myśli krążyły wokół miejsca, do którego nie pozwolono jej wejść. Musiała zmodyfikować swój plan, ale nie zamierzała się poddać. Zbyt daleko zaszła, by teraz się wycofać.

Dochodziło już południe, kiedy drzwi się otworzyły i do budynku wszedł młody mężczyzna w dopasowanym mundurze i przekazał informację od doktora Schencka, którego samochód utknął w zaspie i długo nie mógł się z niej wydostać. Później lekarz musiał wracać do szpitala.

Nela pożegnała się z pielęgniarką i zapewniła, że zrobi wszystko, by móc tutaj pracować. Bez pośpiechu wyszła z budynku i równie powolnym krokiem przeszła obok bramy wjazdowej do obozu. W oddali majaczył sylwetki zapracowanych mężczyzn, którzy nawet nie zwrócili na nią uwagi. Minęła baraki i przyspieszyła kroku, by zdążyć na stację. Miała nadzieję, że kolejka wąskotorowa nie napotka trudności na drodze i wkrótce przyjedzie.

Wchodząc na stację, przypomniała sobie dzień, gdy tutaj przyjechała, żeby rozmówić się z Iwem. Wtedy nie przypuszczała, że los tak z nich zakpi.

Nela spacerowała w tę i z powrotem, aby nie zamarznąć na kość. By nie myśleć o przejmującym chłdzie, chuchała w dłonie. Nieprzyjemne burczenie w brzuchu przypomniało jej, ile czasu spędziła na bezowocnych oczekiwaniach na doktora Schencka. Co chwilę wyglądała, by się upewnić, czy w oddali nie dostrzeże lokomotywy. Do policzków przykładła zgrabiące dłonie, którym nie dość było ciepła z grubych rękawic. Wreszcie dostrzegła smużkę czarnego dymu malującą się na błękitnie nieba.

Gdy w końcu kolejka wypuła potężny obłok dymu i zatrzymała się na stacji, Nela otworzyła wąskie, przeszklone drzwi ozdobione mroźnymi ornamentami i wsunęła się do środka. Choć wewnątrz nie było ciepło, to zdawało jej się znacznie przyjemniej niż na zewnątrz. Usiadła przy oknie i tęsknym wzrokiem odprowadziła znane sobie miejsca, w których budziła się ze snu i otwierała oczy na prawdziwe oblicze swojego narodu.

Otulone śnieżnym puchem pola spały snem spokojnym, udając, że to co się dzieje wokół, ich nie dotyczy. Przymknęła zmęczone powieki i natychmiast zobaczyła Iwa pracującego pośrodku placu obozowego. Tak bardzo pragnęła go przytulić i zapewnić o tym, że nie spocznie, dopóki go stamtąd nie wyciągnie. Potrzebowała planu. Nie mogła liczyć, że wszystko jakoś się ułoży.

Kiedy dotarła do Danzig, wiedziała, że musi do swojego pomysłu przekonać jedną osobę. Wsiadła z kolejki i podążyła w stronę domu. Szła szybko, by nie zamarznąć.

Z ulgą otworzyła drzwi i weszła do holu. Przyjemne ciepło otuliło ją swym ramieniem i podtrzymało na duchu, gdy napotkała pytający wzrok matki, która niemal natychmiast wyrosła przed nią.

– Poszłam z Klarą na Westerplatte – skłamała przebiegle.

Twarz matki natychmiast się rozjaśniła.

– Też chętnie tam zaglądam – odparła konspiracyjnym tonem. – To dla nas olbrzymia duma i dowód na to, że nasza armia jest potężna i niezwyciężona. Tym bardziej więc cieszy, że Frank zdecydował się reprezentować naszą rodzinę i walczy w naszym imieniu.

Nela zdjęła futro i trzymając je przewieszane przez ramię, zastanawiała się nad nadarżającą się okazją.

– Każde z nas chciałoby w jakiś sposób przysłużyć się naszemu narodowi – zaczęła dość niepewnie, a głos niemal uwiązł jej w gardle.

Zainteresowanie malujące się na twarzy matki dodało jej odwagi i rozwiązało język.

– I ja, i Tomas widzimy, jak ważne jest, by wesprzeć tych, którzy narażają dla nas życie.

– Pięknie to ujęłaś. I chociaż nie jestem religijna, to czasem mam ochotę pomodlić się za tych, którzy przelewają krew za to, abyśmy my mogli wieść bezpieczne życie. – Wyciągnęła chusteczkę zza mankietu i ukradkiem wytarła oczy, a potem wydmuchała nos.

Nela obserwowała matkę. Nigdy jej takiej nie widziała. Nawet śmierć rodziców nie wyprowadziła jej z równowagi. Szła za trumną z kamienną twarzą, wsparta na ramieniu męża. Wnuki zmarłej na atak serca babki kroczyły w drugim rzędzie, ukradkiem wycierając nosy. Babcia zabierała ich do siebie na wakacje i pozwalała im spać do późna, a popołudniami włóczyć się po pobliskim lesie. Wieczorem zaś zabierała ich do teatru czy do kina. Potem obowiązkowo fundowała kolację w restauracji albo chociaż kupowała rogalę z kruchego ciasta, które ze smakiem zajadali w drodze do domu.

Ana Witt z powrotem wepchnęła chusteczkę do rękawa i spróbowała się uśmiechnąć.

– Jeszcze będzie pięknie i znów zakwitną kwiaty – stwierdziła.

– I na to wszyscy czekamy, ale teraz chciałabym mieć poczucie, że robię coś pożytecznego dla mojego kraju.

– Rozumiem cię doskonale. Też miewam przeświadczenie, że robię zbyt mało...

– Nie chciałabym kiedyś opowiadać swoim dzieciom, że przesiadzałam wojnę w wygodnym fotelu, popijając gorącą herbatę rumiankową.

– Nelu! – Matka spojrzała na nią z przyganą. – Nigdy, przenigdy nie wolno ci powiedzieć, że nie robiłaś niczego pożytecznego w czasie wojny!

Córka patrzyła na nią z obawą. Ten nagły wybuch ją zaskoczył.

– Nasze wsparcie dla twojego ojca, Franka i Wilhelma jest niemierzalne. Bez niego żaden z nich by sobie nie poradził z niesionymi przez wojnę obowiązkami. Stoimy za ich plecami i dodajemy odwagi i wiary we własne siły. Nigdy nie myśl, że to mało, i nie mów, że nie warto o tym wspominać.

Nela pokiwała głową. Polemika nie miała sensu. Mogłaby tylko rozjuszyć jej potencjalną sojuszniczkę. Teraz musiała dokonać ostatecznego ruchu.

– Przyznaję, że wcześniej o tym nie pomyślałam, ale masz rację, mamó. Chciałabym jednak pomóc Rzeszy w bardziej namacalny sposób.

Matka obrzuciła ją zaciekawionym wzrokiem.

– A co my jeszcze możemy zrobić? – spytała.

– Jeszcze nie wiem – skłamała. – Ale chciałabym czuć się pomocna.

– Ależ jesteś.

– Wiem, że mogę zrobić więcej. Dużo więcej.

– To naprawę szczytne, ale przecież nie pojedziesz na front.

– Wiem, że to byłoby niedorzeczne, ale może mogłabym w inny sposób przysłużyć się naszym chłopcom.

– Może, może. – Matka westchnęła nieprzekonana. – Chodźmy do kuchni, bo to futro ci ciąży, a Helga zrobiła pomidorową. Pewnie zgłodniałaś po tych wojażach?

– Nawet bardzo – odparła, czując, że udało jej się coś osiągnąć.

Nela nie rozczulała się nad panującym za oknem chłodem i po sutym obiedzie znów okłamała matkę, by tylko móc spokojnie wyjść z domu. Nogi same ją niosły do szpitala. Musiała znaleźć doktora Werle. Tylko on mógł jej pomóc. Nie miała pojęcia, jak się odwdzięczy za każdą cenną radę, by zdobyć pracę w obozie Stutthof. Najważniejsze, że dwie godziny później wróciła do domu zadowolona z siebie. Teraz musiała poczekać na sygnał od lekarza. Nie wiedział, kiedy to nastąpi, jednak była przekonana, że i tym razem stary Werle dotrzyma słowa.

Myślała ciepło o doktorze. Kiedyś dowiedziała się, że jej mentora na studiach w Monachium początkowo interesowała psychologia. Fascynowały go teorie głoszone przez Freuda. Pochłaniał literaturę traktującą o naturze człowieka. To

właśnie w tej dziedzinie chciał się specjalizować. Nawiązał nawet kontakt z Freudem, którego widział w roli swojego opiekuna naukowego. Kilka listów wymienionych z tym człowiekiem dało mu więcej wiedzy niż tony literatury, które mimo wszystko pochłaniał z dużym zapalem. A potem w jego domu zjawili się dwaj elegancko ubrani mężczyźni i chociaż mówili jak dżentelmeni, to ich słowa najeżone były groźbami. Przekaz był jeden: Żyd nie ma prawa siać zamętu w szeregach studenckiej braci. A każdy przejaw niesubordynacji spotka się z konsekwencjami zakończonymi wydaleniem z alma mater.

Młody i ambitny Werle wcisnął marzenia między książki i z poczuciem porażki wziął się do nauki nie o umyśle, ale o ciele ludzkim.

Dwa dni później odebrała połączenie.

– Mówi Nela Witt – powiedziała do słuchawki.

– Witaj, moje dziecko – odezwał się Werle.

– Pan doktor, jak miło!

– Mam dla ciebie wieści. Doktor Schenck po rozmowie z pielęgniarką z obozu wyraził zgodę na twoje zatrudnienie. Sam nie ma czasu, by teraz się z tobą spotkać, dlatego prosił, żebym to ja przekazał ci tę wieść.

– Naprawdę? – Nela zakryła usta wolną dłonią, a drugą mocniej zacisnęła na słuchawce.

– Dotrzymałem słowa i pomogłem ci, choć nadal nie rozumiem, dlaczego akurat tam chcesz pracować. Mogłabyś wrócić na mój oddział. Tu jest naprawdę wielu pacjentów potrzebujących twojej serdeczności i opieki. Wierz mi, że nie każdy potrafi tak się zaopiekować chorymi.

Nela drżała. Jej usta rozchyliły się w uśmiechu, jakby zdobyła nagrodę dla najlepszej pielęgniarki w całym Wolnym Mieście Gdańsku. Osiągnęła to, o co przez tyle dni zabiegała. I choć miała świadomość, że to dopiero początek, to w duszy już świętowała maleńki sukces.

– Kiedyś, gdy to wszystko się skończy, nadejdzie czas na wyjaśnienia – oświadczyła. – Należą się panu tak samo jak szczerze podziękowania. Będę dozgonnie wdzięczna za wszystko, co pan zrobił – dodała.

Odkładając słuchawkę, rozejrzała się na boki, by mieć pewność, że jej słowa nie trafiły do przypadkowych uszu. Później w podskokach pokonała schody i niczym

tajfun wparowała do pokoju młodszego brata, który ślęczał nad obrazem, ale wyraźnie nie miał natchnienia, by go skończyć, bo widząc siostrę, opuścił pędzel.

– Ktoś cię goni? – zainteresował się.

– Lepiej, to ja mogę dogonić Iwa.

Chłopak skrzywił się, nie mogąc pojąć, o czym mówi siostra.

– Udało się! – krzyknęła, ale niemal natychmiast nakryła dłońmi usta i odruchowo spojrziała na drzwi.

Tomas pokręcił głową z dezaprobatą. Obydwoje wiedzieli, czym się może skończyć manifestacja tak radosnego nastroju. Nie potrzebowali nadmiernego zainteresowania rodziców, dlatego Nela znacznie ciszej dodała:

– Doktor Schenck zatrudnił mnie w obozie na stanowisku pielęgniarki.

– Ale mówiłaś, że pielęgniarka nie ma dostępu do więźniów. Myślisz, że zdołasz obejść zasady?

– Gdybym w to nie wierzyła, to już dawno popadłabym w obłęd – wyjaśniła, a jej twarz spochmurniała. – Nie ma dnia, godziny i sekundy, żebym nie zastanawiała się, jak wydostać Iwa zza drutów.

– A myślisz też o zbliżającym się ślubie? – zapytał nieśmiało, wiedząc, jak przykry to temat dla Neli.

– Mam jeszcze trzy tygodnie wolności i zrobię wszystko, by obrzydzić Wilemu małżeństwo, a jednocześnie zbliżyć się do Iwa.

– Czy to aby nie zbyt wiele?

– Nie mam wyjścia...

Spuściła głowę i ciężko opadła na łóżko. Wiedziała, że Tomasz ma rację, ale nie mogła się poddać. Często brakowało jej sił, ale wtedy przypominała sobie, jak się czuła, gdy Iwo po raz pierwszy przyznał, że jest dla niego kimś wyjątkowym.

– Igrasz z ogniem.

– Ale nie zamierzam od niego spłonąć.

Tomasz usiadł obok niej i podniósł jej brodę, zmuszając ją do spojrzenia na siebie.

– Pomogę ci. Tylko powiedz mi jak.

Nela spróbowała odegnąć złe myśli i przywołać nadzieję, która dodawała jej skrzydeł, rozpaliała umysł i nadawała kształtu jej myślom.

- Najpierw muszę przekonać do swojego pomysłu rodziców.
- To nie będzie łatwe.
- Od powrotu ze Stutthof obmyślałam pewien plan i chyba wiem, jak działać.
- Pomogę ci.
- W takim razie przy kolacji będziesz mógł wykazać się swoim talentem aktorskim.
- A mam taki?
- Nawet jeśli dotychczas go w sobie nie odkryłeś, to czas najwyższy to nadrobić – zażartowała.
- Przy tobie nie można się nudzić. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Swoją drogą nie podejrzewałem cię o taką odwagę i determinację.

Nela nie poczuła się dotknięta. Sama jeszcze pół roku temu nie pomyślałaby o sobie, że może odważyć się zboczyć z wyznaczonej jej przez rodziców drogi. Przez długi czas naiwnie wierzyła, że Wili zwrócił uwagę na nią dlatego, że była wyjątkowa. Adorował ją jak prawdziwy dżentelmen. Zabierał do teatru czy na kolacje. Chętnie przedstawiał ją swoim znajomym, manifestując swe szczęście. Długo łudziła się, że jego słowa odzwierciedlają duszę. Pierwsza, wprawdzie ledwie widoczna, rysa pojawiła się w chwili, gdy przez przypadek podsłuchiwała rozmowę swoich rodziców. Ojciec pogratulował żonie trafnego wyboru kandydata na męża – jej męża. W pierwszej chwili te słowa pozbawiły ją tchu. Świadomość, że w związek jej i Wilhelma ingerowały osoby trzecie, nieco zachwiała jej poczuciem wartości. Z czasem wytłumaczyła to sobie jako opiekuńcze działania rodziców, którzy nie chcieli, aby cierpiała, dokonując niewłaściwych wyborów.

– Uczę się nadążać za wyzwaniem tego świata – przyznała, po czym wstała i podbiegła do drzwi. – Wspieraj mnie w czasie kolacji – dodała i wymknęła się z pokoju, by przygotować się do posiłku.

Matka nie znosiła, gdy którekolwiek z jej dzieci wpadało do jadalni spóźnione albo nieprzygotowane do posiłku. Dopiero niedawno odpuściła swoim pociechom zakładanie eleganckich strojów do kolacji. Ale wciąż pilnowała, by Nela należycie wyszczotkowała włosy, zapięła wszystkie guziki bluzki czy swetra i wyprostowała zagniecienia na spódnicy lub spodniach, za którymi przepadała, a na które jej matka nie lubiła patrzeć.

Bracia Neli musieli pamiętać o tym, by ich buty lśniły czystością i pachniały pastą. O domowych pantoflach przy kolacji nie było mowy. Podobnie jak o tym, by zasiedli do niej bez koszuli i krawata.

Nela ostatni raz spojrzała na swoje odbicie w lustrze i stwierdziwszy, że jest zadowolające, opuściła pokój, kierując się do jadalni.

Gdy weszła do środka, przy długim stole zastawionym dla pięciu osób siedzieli już jej matka i ojciec. Pozostało im zaczekać na Tomasza. Dla kogo stało piąte nakrycie, tego Nela nie wiedziała, ale nie zamierzała tracić czasu na dociekania. Miała ważniejsze sprawy wymagające rychłego załatwienia.

– Tatku, bardzo chciałabym zacząć robić coś ważnego – zaczęła bez zbędnych wstępów.

Anders zmarszczył brwi i pociągnął nosem, bo od kilku dni bezskutecznie walczył z przeziębieniem. Nie znosił zimy, a tegoroczna wyjątkowo szybko nadeszła i robiła wszystko, by ją zapamiętał. Za pierwszym razem, gdy przemarzł, tak go połamało, że przez kilka dni nie wychodził z domu. Nie znosił swojej niemocy i dawał upust frustracji, pokrzykując na służbę, a nawet na rodzinę. Wówczas wszyscy chodzili na placach i dogadzali mu, żeby jak najszybciej wrócił do formy.

– Coś naprawdę ważnego – podkreśliła, patrząc ojcu prosto w oczy. – W końcu mogę zrobić użytek z moich kwalifikacji.

– W takiej chwili każde wsparcie jest ważne – zauważyła Ana i zerknęła na drzwi w oczekiwaniu na gościa.

– Skoro Frank poszedł na wojnę, to ja chcę pomagać tym, którzy tego potrzebują, a na co dzień narażają za nas życie.

Anders słuchał w skupieniu. Schował chusteczkę do kieszeni i oparł się wygodnie.

– Nie puszczę cię na front – stwierdził w końcu, precyzyjnie akcentując ostatnie słowo.

– Ależ, tatku, ja mogę pomagać na miejscu – odparła natychmiast.

– Nigdy nie chciałem, żebyś zajmowała się pacjentami w szpitalu i narażała własne zdrowie – przyznał.

– I nie będę – zaręczyła. – Znalazłam miejsce idealne. – Uśmiechnęła się. – Mogę pracować w obozie pracy jako pielęgniarka dla niemieckich funkcjonariuszy,

którzy dbają o to, żeby więźniowie wydajnie pracowali na rzecz naszego kraju.

Anders wykrzywił usta i zmrużył oczy. Ostatnio obozy powstawały jak grzyby po deszczu. Senator doskonale rozumiał potrzebę resocjalizacji więźniów poprzez pracę. Dotychczas jednak nie zdawał sobie sprawy z tego, że niemiecka załoga w tego typu miejscach potrzebuje opieki medycznej. Wcale nie zazdrościł im zajęcia. Wolał swój ciepły fotel w parlamencie i kłótnie na śmierć i życie z przeciwnikami politycznymi, których liczba w ostatnich latach zmalała do zera. W końcu wszystkich senatorów łączyło jedno – wiara w powrót potężnej Rzeszy.

Anders Witt z uznaniem pokiwał głową.

– Jestem z ciebie dumny.

Nela powoli wypuściła powietrze i rozprostowała zaciśnięte dłonie. Dopiero teraz poczuła ból wbijanych przez całą rozmowę paznokci. Odgarnęła opadające na twarz włosy i niepewnie się uśmiechnęła. Nie był to triumf. Jedyne ostrożna nadzieja, że jej działania mają sens i wreszcie przyniosą upragniony efekt.

Chwilę później drzwi otworzyły się i do jadalni wszedł Tomas, a za nim Wilhelm. Nela zdrętwiała. Naiwnie sądziła, że na kolacji pojawi się któryś z przyjaciół ojca tak chętnie korzystających z jego zaproszeń na wystawne posiłki. Odkąd sytuacja w mieście nieco się ustabilizowała, a w ich kuchni osiadła Helga, Wittowie znów zaczęli dobrze jadać. Zaopatrzenie sklepów w towary z pobliskich wsi z każdym dniem coraz lepiej funkcjonowało. Smakosze produktów importowanych musieli uwzględnić przepisy, jakimi rządzi się wojna, i zmienić swoje upodobania kulinarne. Dzięki temu rodzimy handel kwitł.

– Jak dobrze, że zdążyłeś na kolację – ucieszyła się Ana, podając prawnikowi dłoń, którą ledwie musnął.

– Mam tyle pracy, że zapominam zjeść obiad, więc nie mogłem sobie odmówić kolacji, i to w takim gronie – powiedział, a Nela natychmiast wyczuła w jego głosie nutę lizusostwa.

– U nas zawsze na ciebie czeka pyszny i ciepły posiłek – zaręczyła Ana, gdy Wilhelm całował dłoń Neli. – Traktujemy cię już jak rodzinę.

– Ale żebyś w tym ferworze pracy nie zapomniał o ślubie. – Gospodarz się zaśmiał i z wyrozumiałością pokiwał głową. – Nie samą pracą człowiek żyje.

Ana cicho westchnęła. Sama od dawna czuła się odstawiona na bocznicy. Prawdziwą towarzyszką Andersa stała się jego praca. Podporządkował jej całe

życie, a z czasem i Ana przestała się buntować, krzyczeć i gniewać o to, że nie poświęcał jej czasu. Nauczyła się spędzać czas w samotności. Na początku wstydziła się chodzić do teatru bez męża, ale nie mając innego wyjścia, oswoiła się z tą myślą i niczym zdarta płyta tłumaczyła wszystkim, że mąż jest zbyt zajęty sprawami kraju. Później zaczęła dostrzegać, że nie tylko ona ogląda spektakl czy słucha opery bez towarzystwa. Rok po roku wyławiała z tłumu widzów samotne jak ona kobiety, które nie chciały tkwić w czterech ścianach domu. Udało jej się zawiązać trwale przyjaźnie z żonami zapracowanych polityków, ale ten substytut nigdy jej w pełni nie zastąpił wyjść z mężem.

– Mój mąż wie, co mówi – zauważyła zgryźliwie, ale nie zamierzała się krygować w tym względzie. – Czas szybko upływa, a stracone chwile nigdy nie wrócą – dodała melancholijnie.

– Zamierzam zamknąć większość spraw przed naszym ślubem, żeby mieć więcej czasu dla Neli – odparł i uśmiechnął się szeroko.

Dziewczynę zmroził ten uśmiech.

– Nie musisz aż tak bardzo się spieszyć. – Anders się zaśmiał. – Nela teraz nie będzie narzekać na brak zajęć – wyjaśnił i uśmiechnął się do córki. – Nie sądziłem, że moje dzieci dadzą mi tyle powodów do dumy...

Córka dałaby sobie rękę uciąć, że dostrzegła rzadkie łzy wzruszenia w oczach ojca. Pośpiesznie odwzajemniła uśmiech, unikając wzroku Wilhelma.

– Nela nie zmarnuje swojej wiedzy i będzie służyć naszemu narodowi – podkreśliła Ana, patrząc na oszołomionego Wilhelma.

– Wszyscy stanęliśmy przed wielką próbą i teraz zdajemy egzamin – wtrącił Witt. – Jutro opowiem o wszystkim Hellerowi i Szulcowi. Aż ich skręci z zazdrości, że moje dzieci tak bardzo wspierają Rzeszę.

– Życie pisze zaskakujące scenariusze i teraz jestem szczęśliwa, że tak bardzo się upierałaś, aby uczyć się pielęgniarstwa – stwierdziła Ana.

Nela miała wrażenie, że z radości unosi się nad ziemią. Wreszcie ktoś ją docenił.

– Na czym ma polegać twoje wsparcie? – Wilhelm z wyrzutem patrzył na narzeczoną.

– Będę pracować w ambulatorium – odparła, nie zagłębiając się w szczegóły.

– Gdzie? – dociekał.

Nela przez chwilę milczała, zbierając siły na udzielenie odpowiedzi.

– Na szczęście nie z naprawdę chorymi – zaznaczyła Ana.

Wilhelm nie spuszczał wzroku z dziewczyny, oczekując wyjaśnień.

– Będę opiekować się mundurowymi dogłądającymi więźniów.

Wilhelm, zupełnie zapominając o dobrych manierach tak usilnie wpajanych mu przez matkę, rozdziawił usta i mrugał powiekami w rytm pojawiających się w jego głowie myśli. Zawsze szczylił się bystrością umysłu. Tę cechę rozwijał w sobie od chwili, gdy po raz pierwszy przyszedł mu do głowy studia prawnicze. Wiedział, że studia dają wiedzę, z której w większości przypadków nie skorzysta na sali rozpraw. Tam liczyły się spryt i umiejętność przewidywania posunięć przeciwnika. Jego skuteczność opierała się na tym filarze, na którym dzisiaj ta drobna blondynka uczyniła potężną rysę.

Zacisnął dłonie w pięści i uderzył nimi w swoje uda. Wiedział, że nikt oprócz siedzącej obok niego narzeczonej tego nie dostrzeże.

– Polskich więźniów? – zapytał matowym głosem, nie potrafiąc ukryć swojej porażki.

Nela skinęła głową, a swą niemą odpowiedź okrasila szerokim uśmiechem. I choć nadal cała drżała, wytrzymała palący wzrok narzeczonego. To był jej mały sukces. Pierwszy, ale jego słodki smak zaostrzył jej apetyt, który zamierzała w pełni nasycić.

Rozdział XVII



Prezenty

– Tylko ostrożnie, żeby niczego nie stłuc – zagroził strażnik, pokazując na szyby, które dopiero co wyładowali z ciężarówki i równo ułożyli na drewnianym stole.

– Jak potłuką, to dechami zabiją okna i tyle – uprzedził inny strażnik.

Iwo nie sądził, że przebywając w tym miejscu, ucieszy się na wieść o pracy. Kiedy podjechały ciężarówki wyładowane drewnem oraz szybami, wszyscy wstrzymali oddech i z szeroko otwartymi oczami czekali na rozkaz rozładowania materiałów. Jakże bardzo potrzebowali przenieść się do baraków. W ostatnim czasie przybyło nowych więźniów. Wszyscy musieli pomieścić się w kilku namiotach, w których początkowo mieszkało nie więcej niż piętnastu jeńców. Teraz ta liczba wzrosła dwu-, a nawet trzykrotnie, więc często wielu ludzi nawet nie miało, gdzie się położyć, by przespać noc. Poza tym mróz nie odpuszczał, a śnieg niemal codziennie sypał, dostarczając mieszkańcom obozu żmudnej pracy.

Iwo postawił kołnierz marynarki i ostrożnie przeniósł kolejną szybę. Jego obwiązane szmatami dłonie nie były zbyt sprawne, ale przynajmniej nie odmroził placów. Wiedział jednak, że gdy przyjdzie mu wstawić szyby do okien, będzie musiał rozwinąć dłonie.

Strażnicy szybko rozdzielili pracę, by więźniowie sprawnie zajęli się wstawianiem szyb do okien i obsadzaniem ich w otworach, które dotychczas zionęły pustką.

– A piece i meble też przywieźli? – zapytał Alfred, gdy już rozładowali przywiezione materiały.

– Nie widziałem – przyznał Iwo, spoglądając na strażnika, czy na nich nie patrzy i nie przysłuchuje się ich rozmowie. – Może jutro przywiozą, jak już te okna

wrzucimy?

– Trochę to dziwne, bo przecież z bicie prycz też potrwa.

– Może nie mieli desek, dlatego tak długo zwlekali.

– Faktycznie, może teraz wreszcie coś drgnie, bo zamarzniemy na amen.

– I Bożego Narodzenia nie doczekamy – odpowiedział Iwo i dalej odmierzał długość cienkich listew okiennych, by wpasować je w otwory okienne.

Na samą myśl o spędzeniu świąt w obozie spochmurniał. Nie rozumiał, dlaczego został uwięziony i nie może kontaktować się z rodzicami. Pozwolono mu wysyłać tylko jeden list. Właściwie to była zwykła kartka grubszego papieru, na której, pod dyktando esesmana, napisał, że żyje i pracuje w obozie dla więźniów, jest bezpieczny i dobrze traktowany. Szczególnie przy tym ostatnim zdaniu dłoń mu zadrżała. Zreflektował się jednak, że to nie jest dobry moment, by martwić rodziców. Pewnie i tak umierali ze strachu o resztę rodziny. Będzie lepiej, jeśli uwierzą, że jemu nic nie grozi.

Szczególnie zależało mu na tym, by odezwać się do Neli i jej przekazać, gdzie się znalazł. Wtedy dowiedział się, że jego przydział na wysyłkę kartek został wyczerpany. I choć początkowo łudził się, że nie może być przetrzymywany w nieskończoność i zapewne do końca roku opuści obóz, to z każdym kolejnym tygodniem tracił tę nadzieję i zaczynał się oswajać z myślą, że utracił wpływ na swój los, a jego przyszłość stoi pod znakiem zapytania.

Nie potrafił sobie wyobrazić, jak miałyby wyglądać święta w takim miejscu. Dla niego Boże Narodzenie to przede wszystkim Wigilia i łamanie się opłatkiem, a później smakowanie bezmięsnych potraw. Uwielbiał pierogi z grzybami i kiszoną kapustą, ale najbardziej kochał te ze słodką kapustą, na które przepis znały jego babcia i matka. Na stole stały ryby na zimno i na ciepło. Już kilka dni przed Wigilią wraz z ojcem jechał na targ do Bydgoszczy, by kupić dorodnego karpia, czasem sandacza albo pstrąga. Później matka przez kilka dni nie wychodziła z kuchni, by przygotować dania. Karpia podawała z szarym sosem. Unoszący się w domu zapach ryby gotowanej w wywarze z włoszczyzny z rodzynkami i skórkami z migdałów rozbudzał apetyty i sprawiał, że nikt nie mógł się doczekać, kiedy zasiądzie do stołu.

A budyń z ryby? To dopiero było danie! Kawalki ryby pieczone pod maślano-mleczną pierzynką w towarzystwie żółtek i ubitych na sztywną pianę białek,

z dodatkiem pieprzu, gałki muszkatołowej i koperku... Takich frykasów nie jadł od roku i nie zanosił się na to, żeby w najbliższych dniach miało się coś zmienić. Iwo przełknął napływającą mu do ust ślinę i zmusił się do tego, by przestać myśleć o jedzeniu. Wciąż jednak czuł unoszący się nad jego głową zapach wigilijnych potraw.

– To drzewo. To tylko drzewo – powtarzał sobie cicho, by przekonać swój nos, że to, co czuje, jest jedynie zapachem świeżego drewna przywiezionego z tartaku.

– Co tam mamrociesz? – zainteresował się strażnik.

Dzisiaj nadzór nad komandem zajmującym się przygotowywaniem okien sprawował duet Hass i Herman, których Iwo wciąż próbował rozgryźć. Nie dlatego, że jakoś specjalnie ich polubił, ale z ludzkiej ciekawości i z nudów. Hass był sadystą jakich mało, natomiast ten drugi był znacznie łagodniejszy. Patrząc na Hermana, Iwo odnosił wrażenie, że chłopak nie do końca tu pasuje. Nie potrafił jednak wyjaśnić dlaczego.

– Tylko obliczałem długość szyby – skłamał gładko, na wszelki wypadek pokazując miarkę, którą miał obok siebie.

– I lepiej zrób to dobrze, łazęgo – prychnął Hass i splunął tuż obok nóg Iwa, po czym odszedł trochę dalej, wyjął papierosa i oddał się rozmyśleniom o pięknej Ricie, która ostatnio zasugerowała mu, że czas najwyższy, aby sformalizowali swój związek, a święta to doskonały moment, by Arnold wykonał pierwszy krok.

Przerażała go wizja żonkosia w ciepłych papciach i z gazetą w ręku. Toczyła się wojna i on chciał stanowić jej część. Owszem, to że w tej chwili pozostawał w obozie, w ogóle go nie satysfakcjonowało. Tylko czekał na nadarzącą się okazję, by czmychnąć na front i móc naprawdę nacisnąć na spust, patrząc w oczy plugawym wrogom Rzeszy, którzy tylko czyhali na to, by wbić nóż w plecy rasie nadludzi.

– Myślisz o oświadczeniach? – zagaił Karl, podchodząc do Arnolda, który patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

Mężczyzna omiół go zaskoczonym spojrzeniem i przez chwilę zbierał myśli.

– Jak Rita na coś się uprze, to nie ma na nią mocnych... – ciągnął Karl.

– Przecież to niedorzeczne, żeby w czasie wojny myśleć o żeniactwie – obruszył się Arnold i plasnął w czoło.

Karl patrzył na niego z rosnącym zainteresowaniem. Nie rozumiał fenomenu swojej siostry, ale wiele razy widział, jak Arnold ulega jej w każdej kwestii, choć na co dzień nikomu nie pozwalał się wodzić za nos i zawsze wiedział, jak dopiec innym.

– Teraz są ważniejsze sprawy niż umizgi – ciągnął, a w jego głosie oprócz złości pojawiło się oskarżenie. – Rita nie może być taką egoistką i myśleć wyłącznie o sobie... – Zawahał się, bo pojął, że mógł zostać źle zrozumiany. – To znaczy o sobie i o mnie – wyjaśnił. – Mamy obowiązek myśleć o naszym narodzie i o przyszłości naszych dzieci. Nie możemy lekkomyślnie powoływać na świat nowego życia, nie wiedząc, czy zdołamy mu zapewnić właściwe warunki do rozwoju.

Karl słuchał tych wywodów i nie do końca wiedział, co powinien o nich myśleć. Kochał i rozumiał swoją siostrę, której rzeczywiście zależało na usidleniu ukochanego. Z drugiej strony dostatecznie dobrze poznał temperament chłopaka, by wiedzieć, że nie usiedzi w jednym miejscu. Już coraz częściej powtarzał, że to nie jest miejsce dla niego. Karl nie chciał o tym słuchać, ale podskórnie czuł, że kwestią czasu jest odejście Arnolda z obozu i poszukanie nowego przydziału.

– Rita martwi się o ciebie – usiłował wytłumaczyć Karl.

– A co ja dziecko jestem? Umiem o sobie zadbać. Nie myślałem, że tu będzie taka nudna i nic niewarta robota. – Westchnął. – Mam dość pilnowania tych śmierdzieli. Już nie mogę na nich patrzeć. W kółko te same brudne mordy...

– Ale przynajmniej jesteś bezpieczny – pisnął Karl i rozejrzał się, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Rita by nie przeżyła, gdyby coś ci się stało.

– A co mi się może stać? Jesteśmy najlepiej uzbrojoną armią w Europie, nie wspominając o naszym doskonałym wykszoleniu. Bijemy na głowę polaczków, żabojadów i tych zawszonych bufonów z Wysp.

– Może i bijemy, ale walka na froncie jest niebezpieczna.

– Ja myślę inaczej... – Arnold prychnął lekceważąco i przygasił papierosa.

Karl przez chwilę stał, wodząc wzrokiem za chodzącym pomiędzy pracującymi Arnoldem. Jednego był pewien: to nie będą udane święta dla Rity.

Do wieczora udało się skończyć kilkanaście okien, a w jednym baraku zdołano nawet kilka wstawić. Radość malowała się na twarzach więźniów. Tak długo czekali na przeprowadzkę. Pracowali z nową energią, a ich żołądki dopominały się

dodatkowej porcji jedzenia. Przy garze ze zbożówką szybko okazało się, że jest jeszcze mniej jedzenia niż dotychczas i ćwiartkę chleba dzielono na dwie porcje.

Iwo w osłupieniu patrzył na lichą porcję. Najchętniej pochłonąłby ją już teraz, zanim dojdzie do namiotu. Wiedział jednak, że przez to później poczuje się jeszcze gorzej, a żołądek będzie go bolał przez całą noc. Poczłapał więc w stronę namiotu.

Było już ciemno, ale w nikłym świetle księżycy dostrzegł coś ciemnego leżącego na pobielonej od śniegu ziemi. Dzisiaj nikt nie zajął się odśnieżaniem terenu. Obóz od niemal miesiąca był regularnie oczyszczany, a kilkumetrowe hałdy śniegu leżały w lesie. Teraz ta czarna plama odbijała się od reszty tła, wzbudzając zaciekawienie Iwa. Mężczyzna wiedział, że nie ma prawa oddalać się od namiotu, ale ciekawość nakazała mu podejść bliżej. Rozejrzał się na boki. Wciąż trwało wydawanie posiłku, który tylko z nazwy przypominał kolację. To jednak powodowało zamieszanie, a strażnicy bardziej niż o nadzorze myśleli o własnym posiłku i zbliżającej się zmianie warty.

Gdy nieco się zbliżył, ciemny cień niespodziewanie drgnął, wprawiając Iwa w konsternację. Przystanął.

– Co u licha...?

Wtedy rozpoznał wronę, która zaczęła podskakiwać i chybotać się na różne strony, próbując utrzymać równowagę. Dopiero wówczas Iwo dostrzegł, że ptak ma nienaturalnie wygięte skrzydło, którym pociąga, kreśląc wzory na śniegu. Pamiętał, że kiedyś w ich wiosce znalazł się bocian ze złamanym skrzydłem. Najpierw srożył się na wszystkich, którzy chcieli do niego podejść. Głośno klekotał i przekrzywiał łebek, jakby chciał zapamiętać twarze tych, którzy odważyli się do niego zbliżyć. Wreszcie wyczerpany bólem i niemocą się poddał. Dopiero wtedy mogli mu pomóc, usztywnić i owinać skrzydło, które w końcu się zrosło.

Iwo patrzył na chorego ptaka. W tym miejscu nikt nie dbał o chorych. Albo pracowali, albo byli spisywani na straty.

– Iwo. – Usłyszał znajomy głos i natychmiast się obejrzał. – Gdzie leziesz?

– Ja tylko... – zaczął, nie wiedząc, co odrzec Alfredowi.

– Wracaj, bo będzie źle, jak cię szkopy dojrzą w tej odległości od namiotów.

– Już, już – powiedział, wciąż nie spuszczając wzroku z szamoczącego się ptaka.

– To on cię tu zwabił? – Alfred pokiwał głową z zainteresowaniem.

– Myślałem, że to jakaś szmata, która przyda się do założenia.

– Ale to jeszcze lepsze...

– Co?

– To, co znalazłeś – przyznał Alfred, przeciągając każdą z głosek.

Iwo odwrócił się i spojrzał na przyjaciela. Jego oczy lśniły, jak gdyby los się do niego uśmiechnął.

– O co ci chodzi? – zainteresował się.

– O twoje znalezisko – przyznał i natychmiast zdjął czapkę, a potem umiejętnie celując, rzucił w ptaka, przykrywając go nią. Czapka podskakiwała to w jedną, to w drugą stronę.

– Co ty wyprawiasz? – syknął Iwo, kątem oka spoglądając na boki, by się upewnić, czy nikt nie nadchodzi.

– Dbam o nas.

Alfred rzucił się na czapkę i przygniótł ją do ziemi swoim ciężarem, a potem włożył dłonie pod czapkę i chwycił w garść ptaka. Ten próbował się wyrwać, jednak nie miał szans ze zdeterminowanym człowiekiem. Po chwili cicho gruchnął łamany kręgosłup. Alfred odetchnął i dopiero wtedy wyjął dłonie spod czapki.

– Mamy kolację – oświadczył triumfalnie. – Zaraz się tym zajmę.

Iwo w osłupieniu patrzył na wynędzniałego mężczyznę wyskubującego czarne pióra z truchła wrony.

– Zakop je w śniegu – polecił konspiracyjnym tonem Alfred. – Rusz się, bo nas złapią – jęknął, nie przerywając roboty.

Iwo przycupnął w śniegu, odłożył na bok chleb i miskę, a potem zaczął kopać dół w śniegu i upychać w nim czarny puch.

– Idziemy – zarządził Alfred i pociągnął kolegę za rękaw. – Nie zapomnij chleba – polecił, wskazując na pozostawione jedzenie.

Iwo pośpieszył w ślad za Alfredem. Wreszcie wcisnęli się do namiotu i przeszli jak najdalej od wejścia. To w tym miejscu mieli spędzić dzisiejszą noc. Władek już na nich czekał. Wreszcie usiedli. Alfred najwyraźniej czegoś szukał w słomie. Po chwili z miną triumfatora uniósł cienki zaostrzony szpikulec z drewna i zabrał się do rozkrajania ptaka.

Władek wybałuszył oczy. Zdążył już połknąć swój chleb i wypić kawę, ale wciąż czuł głód. Teraz czekał na to, co nastąpi.

Iwo czuł rosnącą gulę w gardle. Wciąż trzymał w dłoniach chleb, ale nie był w stanie go zjeść, choć jego żołądek głośnie się tego dopominał.

– Masz. – Alfred ociekającymi krwią dłońmi podał Iwowi wyjęte z ptaka maleńkie serce.

Mężczyzna skrzywił się i zacisnął usta.

– Jedz – warknął i jeszcze bliżej podsunął wyjęte mięso.

– Nie dam rady – odparł Iwo.

– Jadłeś kaczki, kury albo gęsi? – Głos Alfreda stał się szorstki.

Iwo pokiwał głową.

– To wyobraź sobie, że jesz mięso któregoś z tych ptaków.

– Ale...

– Nie ma ale – sarknął. – Bierz!

Iwo z grymasem na twarzy sięgnął po maleńką czerwoną kulkę, po czym szybko wepchnął ją do ust i pogryzł. Nie skupiał się na smaku. Przełknął, ale wciąż czuł metaliczny smak surowego mięsa, dlatego oderwał kawałek chleba i zjadł, po czym całość popił kawą. Widział, że Alfred podał jedno płuco Władkowi, a drugie zjadł sam.

– Daj trochę – polecił siedzący najbliżej nich więzień, który od początku bacznie ich obserwował.

– Złap sobie – prychnął Alfred i oderwał skrzydło, które następnie podał Iwowi.

– Albo dasz mi taki kawałek, albo...

– Albo co? – Władek stanął nad awanturnikiem i spojrzał na niego zimnym wzrokiem.

– Albo zgłoszę strażnikowi – zagroził, ale jego głos już nie był tak stanowczy jak wcześniej.

Rozeźlony Władek wiedział, że esesmani nazwą to kradzieżą jedzenia i zafundują każdemu z nich po kilkanaście batów.

– A mam mu powiedzieć o twoim zdjęciu? – odezwał się, przybliżywszy się do awanturnika.

Strach, który natychmiast odmalował się na twarzy więźnia, stanowił dostateczną odpowiedź. Władek odwrócił się plecami i usiadł, zasłaniając kolegów przed zazdrosnym wzrokiem współwięźniów.

– Gryź powoli i wyssij cały szpik – poinstruował Alfred, podając chłopakowi kawałek mięsa razem z kośćmi. – Niczego nie zostawiaj, to twoja siła na kilka najbliższych dni, więc nie wybrzydź.

I rzeczywiście, Iwo powoli, ale sukcesywnie odgryzał kęs po kęsie surowizny, a potem wkładał do ust kawałek chleba i całość przełykał, przypominając sobie smak drobiu z rodzinnej zagrody. Matka przed upieczeniem nacierała kurę rozgniecionym czosnkiem, z drobno posiekanym lubczykiem i zmielonym pieprzem, a potem pod szczelnym przykryciem przez całą noc trzymała mięso w piwnicy. Aromat pieczonego drobiu rozchodził się po całym domu i sprawiał, że nikt nie ociągał się z powrotem z kościoła z niedzielnej mszy.

Z tym wspomnieniem i nieco pełniejszym niż zwykle brzuchem Iwo zasnął.

Ranek obudził wszystkich kolejną potężną zadymką, która postanowiła utrudnić więźniom pracę nad wykończeniem baraków. Wczesnie rano wypędzono wszystkich z namiotów i natychmiast przydzielono zadania. Zaraz po śniadaniu rozpoczęli pracę.

Iwo z Alfredem i Władkiem zajęli się wstawianiem okien. Większość więźniów krzątała się wokół baraków. Nieliczni zostali oddelegowani do odśnieżania. Prace wykończeniowe postępowały. Wszystkim zależało na rychłej przeprowadzce. Może gdy wreszcie w normalnych warunkach prześpią noc i odpoczną po ciężkiej pracy, nabiorą trochę sił. Po cichu liczyli na to, że do wiosny będą mogli się zregenerować. A wtedy może wreszcie ta wojna się skończy, a oni powrócą do swoich domów.

Tego dnia jakiś niepokój unosił się w powietrzu, choć nikt jeszcze nie wiedział, czym jest on spowodowany. Iwo tłumaczył to sobie tym, że w obozie pojawiła się iskierka nadziei na lepsze jutro. Jego uwagę zwróciły częstsze i znacznie cichsze rozmowy strażników, którzy przy tym gestykulowali i wymownie spoglądali na więźniów.

W czasie odbierania kolacji Iwo podszedł do księdza Jeremiego, bo chciał zapytać, co u niego słyhać. Ostatnio rzadko się widywali. Lubił ich wspólne

rozmowy. Później czuł się nieco spokojniejszy i z większą akceptacją przyjmował rzeczywistość.

– Dali księdzu spokój? – zwrócił się do duchownego, stając za nim w kolejce po chleb.

– Dzisiaj tylko odśnieżanie – wyjaśnił z niemałą ulgą.

– Może, gdy się przeniesiemy do baraków, to trochę poluzują.

– O tym bym nie marzył. – Jeremi obrzucił Iwa wątpięcym spojrzeniem.

Ten patrzył na niego wyczekująco.

– Teraz to już nic nie wiadomo, co z nami będzie... Niby wszyscy tego chcieliśmy... Sprawiedliwości, ale kto wie... Czy tak będzie?

Iwo próbował zrozumieć te enigmatyczne wywody, ale nie było to łatwe. Dlatego przybliżając się do wózka z jedzeniem, zmarszczył brwi i zapytał:

– O czym ksiądz mówi?

Duchowny łypnął na boki i schylił głowę, by się nie wyróżniać z tłumu.

– O tym procesie.

Iwo zastanawiał się, czy ksiądz wziął sobie za punkt honoru, by zasypywać go zagadkami.

– O jakim procesie?

– Tym dla więźniów politycznych.

Iwo szeroko otworzyło oczy. Więźniów politycznych szczególnie źle taktowano i po wielokroć to odczuł na własnej skórze. Często ratowało go to, że potrafił dobrze posługiwać się młotkiem, a takich potrzebowano. Co będzie z nim teraz, gdy obóz już stał? Czy proces ma szansę oczyścić go z zarzutów? Właściwie z jakich zarzutów? Póki co żadnych nie usłyszał. Czy w ogóle był na liście oskarżonych?

Pytania mnożyły się, a on na żadne z nich nie znał odpowiedzi.

Rozdział XVIII



Wielkie troski małych ludzi

Nela wysiadła z kolejki i podreptała udeptaną ścieżką. Odgarnięty na boki śnieg sięgał jej do ramion i znacznie ograniczał widoczność. Podciągnęła szalik, by okryć nim usta i nos. Już kilka dni temu zrezygnowała z eleganckich skórzanych rękawic na rzecz ciepłych, w środku wyściełanych kozuchem. Wciąż jednak czuła przejmujący chłód. Wepchnęła więc ręce do kieszeni długiego kozucha, którego nie znosiła zakładać, bo wydawał jej się staromodny i zbyt gruby. Tej zimy nie zamierzała wybrzydzać. Tym bardziej że kolejka jeździła, jakby maszynista nie umiał czytać rozkładu zawieszzonego na stacjach. Przyjeżdżał, kiedy chciał i żadne awantury nie przynosiły efektu. A że niewiele osób potrafiło wprowadzić w ruch tak dużą maszynę, to chętnych do pracy na etacie maszynisty było jak na lekarstwo. Pasażerowie więc mogli wieszać na nim psy, ale ostatecznie żadne skargi nie miały racji bytu. Każdy więc stał na stacji, psiocząc pod nosem.

Kobieta ostrożnie sunęła po śniegu, pilnując, by się nie poślizgnąć, co przy liczbie warstw jej ubioru wcale nie było czymś oczywistym. Wreszcie dotarła na miejsce, wytupała resztki śniegu z butów i weszła do pomieszczenia. Najpierw stała bez ruchu, jakby musiała rozmarznąć.

– Zimno jak diabli, prawda? – odezwała się Ursula, dokładając grubą szczapę drewna do ognia palącego się w żeliwnym piecu, zwykle nazywanym kozą.

– Niewyobrażalnie zimno – przyznała, powoli zdejmując rękawiczki, a potem szalik i toczek z wyprawianej baraniej skóry w tym samym kolorze, co sięgający kolan taliowany kozuch.

Już trzeci dzień pracowały razem i dzisiaj przypadała ich ostatnia wspólna zmiana. Ursula z olbrzymią starannością przekazała Neli wszystkie obowiązki.

Określiła sposób dokumentowania wypadków pośród esesmanów i udzieliła bezcennych wskazówek, z którymi pacjentami lepiej nie zadzierać. Nela skłamałaby, twierdząc, że nie odczuwa strachu przed swoim pierwszym samodzielnym dyżurem, dlatego po południu umówiła się na pogaduchy z Klarą. Brakowało jej tych rozmów o niczym istotnym. Poza tym musiała pamiętać o zachowaniu pozorów. Wciąż miała zbyt wiele do ukrycia przed rodzicami. Nie mogła więc wiecznie unikać Klary, żeby wreszcie nie wypaplała prawdy na temat ich nader rzadkich spotkań.

– Jak tak dalej pójdzie, to nie poradzimy sobie z liczbą odmrożeń. – Ursula westchnęła i zdjęła z fajerki niewielki czajnik, w którym od dłuższego czasu bulgotał wrzątek. – Z cukrem czy bez?

– Herbata tylko mocna i gorzka... – zaczęła Nela.

– ...a kawa lurowata i słodka... – dokończyła Ursula i rozpromieniała się niczym wiosenne słońce.

Jej przezroczyta cera dosadnie kontrastowała z kruczoczarnymi włosami i takąż samą oprawą oczu. Latem jej skóra wystawiona na promienie słoneczne nabierała kakaowego odcienia, a we włosach pojawiały się brązowe refleksy. Dziewczyna mogła się podobać i zapewne w takim miejscu nie było jej łatwo pracować, dlatego Nela była jej szczególnie wdzięczna za uwagi dotyczące zbytnej otwartości niektórych esesmanów.

– Myślisz, że więźniowie mają dostateczną ilość ciepłych ubrań? – zapytała mimochodem Nela.

– Inaczej nie pracowaliby na dworze.

– Swoją drogą nie rozumiem, po co oni odgarniają śnieg z całego obozu? Czy to naprawdę potrzebne? Nie wystarczy ścieżka?

– Widocznie strażnicy uznali, że tunele w śniegu nie gwarantują im pełnej kontroli nad więźniami – odparła Ursula, podsuwając nowej pielęgniarce gliniany kubek z zaparzoną herbatą.

Nela patrzyła przez okno na zewnątrz. Widziała stąd zarys budynków dla więźniów i fragment starannie oczyszczonego ze śniegu placu, na którym nieustannie pracowali ludzie. Choć pozostawali w pewnym oddaleniu od bramy, a i sama brama nieco jej zasłaniała, to mogłaby przysiąc, że nie dostrzegła nikogo

ubranego w ciepłą czapkę czy w gruby płaszcz. Miała nieodparte wrażenie, że mężczyźni pracują w samych marynarkach.

– A co z nimi? – spytała, nie odwracając wzroku. – Kto zajmuje się ich odmrożeniami?

– Raczej nie my. – Kobieta wzruszyła ramionami i podążyła za wzrokiem koleżanki. – Poza tym chyba odmrożenia im nie grożą, skoro pozrzucałi palta.

Nela przypomniała sobie chwilę aresztowania Iwa. W jego walizce było kilka grubych swetrów i palto, w którym chodził zimą. Odetchnęła, bo wiedziała, że zabrał bagaż do więzienia w Victoriaschule.

– Teraz, gdy już się wprowadzili do baraków, na pewno jest im dużo lepiej – ciągnęła Ursula, w międzyczasie popijając herbatę.

Bez względu na to, co Ursula piła, wychodziła z założenia, że musi słodko smakować. Tę zasadę stosowała zarówno wobec gorących napojów, jak i wobec trunków. Nie znosiła wódki czy piwa, ale uwielbiała sączyć słodkie wino, tak ochoczo zamawiane dla niej przez młodych mężczyzn. Sobotnie wieczory zwykle spędzała w ich towarzystwie, choć w żadnym razie nie nazwałaby się panną lekkich obyczajów. Przeciwnie, dbała o swoją reputację i gdy delikwent stawał się namolny i nie rozumiał jej odmów, po przyjacielsku uśmiechała się do znajomego barmana, a ten brał bawidamka za fraki i wyrzucał na bruk. Ursula za każdym razem na odchodne z wdzięcznością kładła kilka monet jako zadośćuczynienie za fatywę. A następnym razem znów siadała na wysokim krześle barowym i powłóczyłym wzrokiem szukała wpatrzonych w nią oczu.

– Nie rozumiem, dlaczego tak długo kazano mieszkać tym ludziom w namiotach. – Nela pokręciła głową i dopiła resztkę chłodnej już herbaty.

– Podobno więźniowie są leniwi i bardzo wolno pracowali na budowie. W efekcie czego zima zastała ich z rozgrzebaną robotą. Na szczęście teraz już mają wygodne i ciepłe miejsce, gdzie mogą odetchnąć po pracy.

Nela odstawiła kubek na bok i pokrzepiona tą wieścią zabrała się do porządkowania nowej dostawy środków opatrunkowych. Ursula w tym czasie wygotowała narzędzia, których używały wczoraj, gdy młodziutki esesman przeciął sobie dłoń, nieumiejętnie ostrząc nóż. Na szczęście obydwie wtedy pełniły dyżur, bo chłopak zemdlął na widok własnej krwi. Jedna więc go cuciała, a druga zajmowała się oczyszczaniem rany i zakładaniem szwów. Kiedy chłopak się

ocknął, dostał ataku paniki. Nela więc próbowała go uspokoić i odwrócić jego uwagę od skaleczenia.

Na początku z trudem przychodziło skupienie jego uwagi na sobie, ale szybko wpadła na pomysł, jak trafić do młodzika. Zaczęła mu opowiadać o swoich perypetiach, gdy podkradała wiszące w piwnicy specjały, które kucharka przygotowywała przed świętami. Raz na gorącym uczynku nakryła własnego ojca, z którym zawarła pakt o wzajemnym wsparciu w kwestiach podjadania. Wreszcie udało jej się rozśmieszyć chłopaka, a Ursula spokojnie pozszywała jego dłoń.

Dzisiaj Karl miał przyjść na zmianę opatrunku, więc wołały być przygotowane na jego wizytę, by znów nie zemdlął.

Właśnie skończyły układać wygotowane narzędzia, gdy drzwi otworzyły się i do ambulatorium wszedł młody esesman. Jego blada twarz szczerze opatulona szalikiem nosiła na sobie ślady cierpienia. Smutne oczy w pośpiechu omiotły pomieszczenie, jakby wczorajszy pobyt wciąż kojarzył mu się z czymś przykrym. Mężczyzna rozplątał szalik i wolną ręką rozpiął płaszcz. Druga, zabandażowana, luźno zwisała. Nieco nieporadnie wyswobodził się z okrycia wierzchniego, które rzucił na stojące pod oknem krzesło i stanął, jakby nie bardzo wiedział, co ze sobą począć.

– Sturmman Herman siądzie na kozetce – pośpieszyła z instrukcją Ursula i wskazała miejsce.

– Dzisiaj już chyba nie będzie tak strasznie bolało? – upewnił się oficer.

– Postaramy się zrobić to jak najdelikatniej – obiecała, mrugnawszy na koleżankę.

Ta pośpiesznie usiadła na kozetce i uśmiechnęła się do mundurowego. Już wcześniej wszystko dokładnie omówiły. Teraz każda z nich miała wykonać swoje zadanie.

– Sturmman Herman lubi oglądać filmy? – zagaiła Nela, ściągając na siebie jego wzrok.

Chłopak pokiwał głową, a jego oczy się zaświeciły.

– Kiedyś marzyłam o aktorstwie – ciągnęła, wciąż się do niego uśmiechając. – Co tydzień biegłam do kina, żeby zobaczyć nowości z afisza. Wtedy myślałam, że aktorzy muszą znać całą rolę na pamięć. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – To mnie bardzo martwiło, bo nie potrafiłam zapamiętać więcej niż dwie, góra trzy

strony tekstu zadawanego na lekcjach literatury. – Wzruszyła ramionami, kątem oka obserwując poczynania koleżanki, która zdążyła zdjąć zabrudzony bandaż i lada moment miała przystąpić do odkażania rany.

– Auuuu – jęknął Herman, bezwiednie odwracając głowę w stronę drugiej z pielęgniarek.

– Podmucham, by mniej bolało, ale nie mogę zostawić brudnego – tłumaczyła Ursula przeproszającym tonem.

– Jaki ostatnio film widział sturmmann Herman? – spytała Nela, ponownie absorbując jego uwagę.

– Ostatni raz byłem w kinie... – Zawiesił głos i na chwilę zacisnął zęby, czując pieczenie w okolicach rany. Tym razem jednak nie spojrział w tamtym kierunku. – To chyba było latem. Pamiętam taką aktorkę Marlenę Dytrych.

– Dietrich? – upewniła się Nela, która widziała wszystkie filmy amerykańskiej aktorki niemieckiego pochodzenia.

– Właśnie, Dietrich – poprawił się, po czym spuścił wzrok zawstydzony popełnioną gafą. – Piękna kobieta.

– I cudowna aktorka – dodała Nela.

– Szkoda, że teraz tak źle wyraża się o naszej walce w obronie ojczyzny – zauważył Herman zasmuconym głosem. – Urodziła się w Niemczech, powinna więc rozumieć, dlaczego wybuchła wojna...

Nela przytaknęła, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Woląla zmienić temat.

– Kino, opera czy spektakl?

– Teatr to nie dla mnie – przyznał Herman. – Aktorzy mówią tam dziwacznie, a jak śpiewają, to nie mam pojęcia o czym.

– Często też tak miewam. – Nela uśmiechnęła się, w duszy zupełnie nie zgadzając się ze stwierdzeniem esesmana.

Dla niej teatr stanowił najwyższy hołd, jaki człowiek mógł złożyć na ołtarzu sztuki. Aktorzy teatralni budzili jej największy podziw. Gra przed publicznością to wyjątkowe doświadczenie wymagające jasności umysłu potrzebnej do zatuszowania pomyłek, olbrzymiej samodyscypliny w opanowaniu gigantycznej długości tekstu i talentu niezbędnego do wykreowania przekonujących ról.

Właśnie w tej chwili zdała sobie sprawę, że od kilku miesięcy sama odgrywa przedstawienie, a na widowni zasiadła jej rodzina, Klara i Wilhelm. Ten ostatni ciągle zmienia jej scenariusz i wprowadza kolejne utrudnienia. Czy podoła sama wyreżyserować swoje życie? Tego nie wiedziała. Wolą unikać nadmiernej ekscytacji tym, co dotychczas osiągnęła. Chłodny optymizm pozwalał jej zachować jasność umysłu i zmuszał do wysiłku w jednym celu.

Nela spróbowała się skoncentrować na słowach wypowiedzianych przez Karla Hermana. Od dłuższego czasu mówił o czymś z przejęciem, a ona, choć patrzyła w jego oczy, to nie nadążała za wypowiedzianymi słowami. Jej myśli odpłynęły do ukochanego. Iwo nie musiał otwierać ust, by wiedziała, jakim darzy ją uczuciem. Przymknęła powieki, by przedłużyć czas spędzony z ukochanym.

Lekkie szturchnięcie w ramię przywołało ją do porządku.

– Coś ci jest? – zapytała z troską Ursula.

– Wszystko w porządku – zapewniła Nela. – Rozmarzyłam się.

– A ja tymczasem skończyłam – z dumą poinformowała Ursula.

– Naprawdę? To wszystko? – Chłopak wyraźnie nie wierzył, że zdołał przetrwać tak bolesny zabieg.

– Ręce Ursuli są tak delikatne, że nawet najgorsze rany szybko się goją – zapewniła dziewczyna.

– A słowa Neli koją każdą, nawet najbardziej zbolełą duszę – odwzajemniła się komplementem pielęgniarka.

– Ej, bo jeszcze polubię tutaj przychodzić. – Mundurowy wyraźnie odzyskał rezon i pogroził im palcem zdrowej ręki.

– Zapraszamy, ale tylko na dobrą kawę, bez potrzeby reanimacji – oświadczyła Ursula z przekąsem.

Sturmmann Karl Herman spiekł raka, toteż poderwał się na równe nogi, sięgnął po płaszcz i skinieniem głowy pożegnał kobiety, nie zamierzając tracić czasu na ubieranie się w środku ambulatorium. Już na dziś wystarczyło mu emocji.

Po wyjściu Hermana pielęgniarki jak jeden mąż wybuchły gromkim śmiechem i przez chwilę wzajemnie wychwalały swoją przebiegłość. Później ponownie posprzątały pomieszczenie i dołożyły do pieca opału.

Do obiadu miały jeszcze dwóch pacjentów. Pierwszy pojawił się mundurowy z wystawionym na wierzch czerwonym językiem. Nela szeroko otworzył oczy, słuchając opowieści tego blisko dwudziestoletniego mężczyzny, który przyznał, że chcąc się rozgrzać, wlał sobie do metalowego garnuszka kawy zbożowej. Nie przypuszczał jednak, że czarny napój jest aż tak gorący, więc gdy pociągnął łyk, poparzył sobie język. Zaczął pluć, ale język wciąż go piekł. Niewiele myśląc, wybiegł z kantyny i złapał kubek zawieszony na kołku, a potem dotknął go językiem, nie podejrzewając, że jest aż tak zimny. W konsekwencji poparzony język przylgnął do lodowatego metalu, a próba pozbycia się przyczyny bólu skończyła się fatalnie.

Mężczyzna mówił bardzo niewyraźnie i chaotycznie, dlatego musiały się mocno natrudzić, by go zrozumieć. O pomocy farmakologicznej czy opatrunku mowy nie było. Musiało wystarczyć wsparcie moralne. Nela wytłumaczyła, ile potrawa odbudowa naskórka i jak nieprzyjemne może być jedzenie gorących potraw. Zaleciła chłodne posiłki i dużo cierpliwości.

Winowajcą wobec kolejnego zboląłego esesmana okazał się zbyt mały but w zestawieniu ze zbyt grubą skarpetą. Korpulentny strażnik wszedł do ambulatorium, utykając, po czym natychmiast klapnął na kozetkę, deklarując, że nie wyjdzie, dopóki nie uzyska pomocy równoznacznej z pozbyciem się bólu. Gdy zdjął buty i skarpetę, oczom personelu medycznego ukazał się zsiniały paznokieć. Po krótkiej naradzie pielęgniarki zaleciły zmianę obuwia i skarpet oraz baczne obserwowanie paznokcia, który niedługo odpadnie.

Gdy wreszcie zamknęły ambulatorium i się pożegnały, Nela ruszyła w stronę stacji. Ursula nieopodal wynajmowała skromny pokój przy polecanej przez jej kuzyna rodzinie, więc pomachała nowej koleżance na pożegnanie i pospieszyła do domu na podwieczorek.

Nela w żółtym tempie szła wzdłuż drutów dzielących obóz dla jeńców od budynków administracji. Każdego dnia towarzyszyła jej ta sama nadzieja. Wśród baraków pracowali więźniowie. Nieopodal przechadzali się strażnicy. Co chwila zacierali ręce i chuchali na nie. Neli przyszło do głowy, że gdyby wzięli się do pracy jak jeńcy, i oni szybko zdjęliby grube płaszcze i rękawice. Nie spotkawszy upragnionego więźnia, pielęgniarka przyspieszyła kroku i skręciła w wytyczony śnieżny korytarz prowadzący na stację.

Kilkadziesiąt minut później wysiadła na dworcu. W mroku dostrzegła machającą do niej przyjaciółkę. Podeszła do niej i cmoknęła jej zimny policzek.

– Już myślałam, że dzisiaj nie wrócisz – poskarżyła się Klara z nieukrywanym wyrzutem.

– Kolejarze mają własny rozkład odjazdów. – Rozłożyła ręce bezradnie, po czym wsunęła dłoń pod ramię przyjaciółki i pociągnęła ją w stronę wyjścia z peronu. – Jestem zmarznięta i głodna jak wilk, więc przestań marudzić i zabierz mnie na obiad. – Uśmiechnęła się przymilnie.

– A tak w ogóle, to co ci strzeliło do głowy z pracą na tym zadupiu? – spytała, mocniej naciągając na uszy elegancki beret. – Zamiast myśleć o ślubie, ba!, nawet planować noc poślubną, to ty nie wiadomo czemu włączysz się po jakiejś wsi.

Nela na samo wspomnienie nocy poślubnej aż się wzdrygnęła. Przypomniała sobie dotyk Wilhelma, gdy obwieściła mu, że zrywa zaręczyny. Przyparł ją wtedy do ściany i brutalnie przyciskał. Teraz nie miała najmniejszych wątpliwości, że takie zachowanie nie jest dla tego mężczyzny wyjątkiem. Nie chciała tak żyć. Mimowolnie przyspieszyła kroku i Klara musiała nadganiać.

– Aż taka jesteś głodna? – spytała.

Nela uśmiechnęła się z przekąsem, ale nie odpowiedziała. Klarze nazbierało się tyle tematów, które koniecznie chciała poruszyć, że usta jej się nie zamykały. Nie przeszkadzało jej, że przyjaciółka odpowiadała półsłówkami.

Przy dobrej pogodzie pewnie przespacerowałyby się w stronę centrum, ale dzisiaj zgodnie stanęły na przystanku. Po kilku minutach nadjechał tramwaj, wsiadły więc i przejechały po moście nad Nową Motławą, a później minęły też samą Motławę. Wreszcie dotarły do Ratusza i wysiadły. Tutaj przed wojną mieściło się wiele knajpek i restauracji. Po pierwszym wrześniu wiele z nich upadło z braku towaru albo klienteli. Nieliczne polskie czy żydowskie lokale stały zamknięte na trzy spusty i nikt nawet nie myślał, by o nich wspomnieć. Chyba tylko po to, by przejąć pomieszczenia.

Klara pociągnęła przyjaciółkę za rękaw i chwilę później zdejmowały wierzchnie odzienia w przesiąkniętej smakowitymi zapachami niewielkiej restauracji z elegancko nakrytymi stołami. Kiedy czekały na zamówione sznyce, Klara wodziła wzrokiem za obsługującym gości z sąsiedniego stolika kelnerem.

– Ciekawe, czy kogoś ma? – szepnęła, schylając się nad stołem, by informacja trafiła jedynie do uszu przyjaciółki.

– Możesz zapytać, gdy podejdzie.

– Żartujesz! – syknęła. – Chyba spaliłabym się ze wstydu.

– Ale może to jedyna szansa, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Klara przewróciła oczami i oparła się na krześle.

– Nie wszyscy mają takie szczęście w życiu i spotykają na swojej drodze królewicza – oświadczyła, nie kryjąc sarkazmu w głosie.

– Znasz jakiegoś? – odgryzła się Nela, a atmosfera znacznie zgęstniała.

– Ty go zgarnęłaś, szczęściaro!

Uwielbienie Klary dla Wilhelma coraz bardziej ją uciskało. Dziewczyna przedstawiała go jako chodzący ideał, a Nela wiedziała, jak daleko mu do niego. To ją rozdrażniło. Z poirytowaniem rozejrzała się za kelnerem, ale nigdzie go nie dostrzegła. Miała nadzieję, że szybko przyniesie im posiłek, przez co czas rozmowy z siedzącym naprzeciwko niej rudzielcem znacznie się skróci.

Nela wiedziała, że przyjaciółka nie znosi koloru swoich włosów i mimo upływu lat wciąż jest na ich punkcie przewrażliwiona. Kiedy więc były nastolatkami i Klara stawiała się zbyt namolna w temacie pierwszego pocałunku albo nader zgryźliwa, wytykając Neli pojawiające się na twarzy pryszczki, ta w odwecie przezywała ją „Wiewiórą”.

Nela złapała się na tym, że właśnie odczuwała silną potrzebę dokuczenia koleżance. Już zamierzała wytoczyć najcięższe armaty, gdy usłyszała przeproszający głos.

– No już, nie bocz się na mnie. Wiesz, że czasem plotę trzy po trzy – dodała i kokieteryjnie zatrzepotała rzęsami. – Odkąd Frank wyjechał z Danzig, w ogóle nie wiem, co mam ze sobą począć. – Spuściła głowę.

Neli zrobiło się żal dziewczyny. Sama nie miała dla niej czasu. Zanim zaczęła pracować w obozie, musiała uporządkować kilka spraw związanych ze Stasiem i jego rodzeństwem. Najpierw zaniósła ubrania, później każdego dnia przynosiła dzieciom smakołyki podkradane ze spiżarni Wittów. A gdy już się zjawiała w szpitalnej kuchni, to siadała obok Jasia i opowiadała mu bajki. Z czasem przysiadali się do nich inne dzieci, które skończyły pracować.

Owszem, zaniedbała Klarę, która najwidoczniej cierpiała w samotności i żyła mrzonkami o prawdziwej miłości.

– Mówię ci, zagadaj do tego kelnera i przestań robić maślane oczy do Franka.

– Nie chcesz mnie w rodzinie? – Skrzywiła się. – Przecież jestem nazistką, tak jak wy – zauważyła.

– Jak my? – Nela wolno powtórzyła.

Czy właśnie tak była postrzegana przez innych? Czy ktokolwiek z jej otoczenia mógł pomyśleć, że ona nie zgadza się z tym, co wyprawia Hitler? Czy kogokolwiek interesuje jej zdanie na temat wojny? Żyła w domu przesiąkniętym ideologią nazistowską, której od kilku miesięcy z całego serca nienawidziła.

– Nic nie rozumiesz – zasępiła się Nela.

– Rozumiem, że każda panna młoda przed ślubem się denerwuje, ale ty od jakiegoś czasu jesteś kłębkim nerwów. Oby to się jak najszybciej skończyło. Dobrze, że ślub tuż-tuż, bo inaczej byś oszalała – odparła troskliwie Klara.

– Ja już oszalałam... – przyznała.

Jakże miała teraz ochotę podzielić się swoimi troskami i obawami z kimś, kto by ją zrozumiał. Owszem, Tomas dawał jej dużo wsparcia. W końcu znał jej sytuację, ale były sprawy, o których nie chciała rozmawiać z bratem. Oczywiście nawet Klarze nie powiedziała by o tym, że czasem budzi się w nocy, ciężko dysząc z podniecenia. Że śni o tym, jak Iwo trzyma ją w objęciach, całuje w usta, a potem centymetr po centymetrze zsuwa się w dół, doprowadzając jej ciało do szaleństwa. Tak, pragnęła go całego. Martwiło ją tylko, że wcześniej nie miała doświadczeń miłosnych. Dotychczas całowała się z kilkoma mężczyznami, ale z żadnym nie poszła na całość. Szanowała się. Mało to razy słyszała krytykę matki wobec córek jej przyjaciółek, które musiały brać ślub w przyspieszonym terminie, by ksiądz nie dopatrył się u nich zbyt dużego brzucha?

– Pewnie tak samo bym przeżywała... – Klara się rozmarzyła. – Takie wydarzenie i tylko nieliczni goście to zobaczą na żywo.

– Dla mnie to nie ma znaczenia.

– Tylko tak mówisz. W końcu po co się stroić, skoro prawie nikt tego nie doceni, a Wilhelm byłby najszczęśliwszy, gdybyś stanęła przed nim nago. – Zaśmiała się, a na jej policzki wypełzł rumieniec.

Nela schowała twarz w dłoniach. Tak bardzo nienawidziła człowieka, który niszczył jej życie, ale nie miała prawa się do tego przyznać.

– Niedługo powiesz „tak” i wtedy wszystko się ułoży. – Klara nie rezygnowała z pocieszania przyjaciółki.

Na szczęście na horyzoncie pojawił się kelner i umiejętnie lawirując pomiędzy gęsto ustawionymi stolikami, podszedł do nich i postawił przed nimi zamówiony posiłek. Nela spojrzała na dobrze rozbity sznycel, przez który, gdyby się tylko dobrze przyjrzała, dostrzegłaby talerz. Jego wielkość też pozostawiała dużo do życzenia. Dawniej w Danzig taka chałtura by nie przeszła. Właściciel zostałby zawezwany na salę i musiałaby przeprosić klienta za tę bezczelność. Ale wojna zmienia smak i obniża wymagania nawet najbardziej wymagających konsumentów. Lepiej zjeść coś, co przypomina w smaku ulubione danie, niż siedzieć w piwnicy w obawie przed bombardowaniem. Wszyscy mieszkańcy miasta doskonale rozumieli sytuację, w jakiej aktualnie się znaleźli. Nikt więc nie wybrzydzał.

Wysoki mężczyzna poprawił przewieszoną na ręce białą ściereczkę, a potem elegancko się skłonił i odszedł.

Kobiety zabrały się do jedzenia. Nela wolno kroić kotleta, jakby straciła ochotę na posiłek. Klara odprowadziła wzrokiem kelnera i dopiero, gdy zniknął za drzwiami kuchni, głośno wypuściła powietrze, chwyciła sztucę i energicznie pokroiła kotleta. Przełknęła pierwszy kęs i niezadowolona z jego smaku sięgnęła po szklankę z wodą. Przepłukała usta, ale nie wyraziła krytyki. Nie wzbudził też jej niepokoju fakt niewielkiego zainteresowania Neli leżącym przed nią sznyclem.

– Swoją drogą, to ciekawa jestem tego waszego ślubu – przerwała ciszę Klara. – Nigdy nie byłam na takiej uroczystości, gdzie nie było księdza.

– Rodzice są niewierzący... – przyznała Nela obojętnie. – A Wilhelm też nie pała miłością do Kościoła.

– I tu popieram twierdzenie Hitlera, że ani katolicyzm, ani protestantyzm nie ma przyszłości w naszym państwie. Wiara to manipulacja człowiekiem i jego wolą – oświadczyła. – Podobno nie można być dobrym Niemcem i chrześcijaninem. – Przewróciła oczami i włożyła do ust kolejny kęs mięsa.

– Taki ślub przed urzędnikiem to nie ślub – stwierdziła Nela, jakby chciała przekonać siebie i przyjaciółkę, że jej stwierdzenie ma sens.

– Podpis w księdze i obrączka na palcu wystarczą – odparła lekko Klara. – Widzę, że znalazłaś pierścionek zaręczynowy.

Nela spojrzała na swoją dłoń, na której od kilku dni nosiła pierścionek otrzymany od Wilhelma. Początkowo nie zamierzała go zabierać Mani. Dziewczynka doskonale się nim opiekowała. Ostatecznie jednak uznała, że wystarczająco mocno testowała wytrzymałość Wilhelma. Pierścionek miał stanowić widoczny dowód jej uległości wobec losu. Nie potrzebowała kolejnych gróźb i awantur. Za każdym razem, gdy słyszała wyzwiska rzucone pod adresem jej rodziny, spinała się cała, a w jej sercu kiełkowała złość, z którą nie potrafiła walczyć. W takich chwilach miała ochotę zabić Wilhelma, a tym samym uwolnić się od jego uwag oskarżających Franka o homoseksualizm.

Owszem, gdyby ktokolwiek zgłosił podejrzenie wobec Franka, wówczas na podstawie paragrafu 175 Kodeksu karnego i rozporządzenia Hindenburga policja mogłaby go aresztować i więzić w nieskończoność. Nikt nie zaprzętałby sobie głowy rozprawą sądową i wyrokiem. Samo podejrzenie załatwiało sprawę. Ojciec nigdy nie podźwignąłby się po takim ciosie, a jego kariera byłaby skończona. A co stałoby się z jej rodziną? Jak ojciec zareagowałby na wieść, że jego pierworodny jest „ciepły”, jak mawiano o osobach homoseksualnych? Wielokrotnie potępiał rozwiązłość seksualną. Zwłaszcza gdy wracał z Berlina, gdzie jeszcze kilka lat wcześniej pełno było domów rozpusty, w których panoszyła się sodoma i gomora. Jakże się cieszył, że wraz z dojściem do władzy NSDAP coraz większy nacisk zaczęto kłaść na właściwą postawę moralną. Proklamowanie związków heteroseksualnych stanowiło podwalinę ideologii nazistowskiej, w której rodzina stanowiła punkt wyjścia dla rozwoju społeczeństwa idealnego.

– Nela, co z tobą? – zapytała Klara, odsuwając od siebie pusty talerz. – Od pięciu minut pytam cię o Franka. – Spojrzała z wyrzutem. – Ty naprawdę jesteś zakochana bez pamięci.

– Może... – przyznała, choć doskonale wiedziała, że w tej chwili każda z nich myśli o innym mężczyźnie. – Wracajmy do domu, bo padam z nóg – oświadczyła i to wcale nie odbiegało od prawdy.

Chciała zakopać się w pościeli i spokojnie zebrać myśli. Klara przypomniawszy jej o zbliżającym się terminie ślubu, a to obudziło w niej demony. Musiała je okiełznać i zdecydować, co dalej zrobić.

Rozdział XIX



Kłamliwa prawda

Szum fal uderzających o brzeg. Błękit nieba, na którym od czasu do czasu kłębiły się puchate obłoki. Ledwie odczuwalna bryza niosąca skrawki wilgoci osiadające na twarzy, włosach i zwiewnych ubraniach. Długie cienie kroczyły tuż za parą trzymającą się za dłonie. Ich rozmowa zgrabnie komponowała się z rytmem wybijanym przez morskie fale. Perlisty śmiech stanowił refren i co chwila się powtarzał. Bose stopy pozostawiały ślady, które po chwili znikwały w morskiej pianie. Słońce z czułością wodziło wzrokiem za spacerującą parą w oczekiwaniu na ich pocałunek. Właśnie zatrzymali się i patrząc sobie głęboko w oczy, poczęli coś szeptać, ale jakiś narastający warkot coraz bardziej zagłuszał słowa. Wreszcie duży cień zasłonił niebo nad ich głowami. Wystraszeni ruszyli w poprzek plaży. Wtedy powietrze nad ich głowami przecięła seria z karabinów maszynowych. Upadli niemal jednocześnie i ciężko dysząc, czołgali się w stronę zarośli. Huk nie malał, a oni, choć wkładali w to mnóstwo wysiłku i starań, nie potrafili się oddalić. Czuli, że z każdą minutą opadają z sił, a jednak wciąż znajdują się w tym samym miejscu. Jeszcze kilka ruchów i nadszedł kres ich wytrzymałości. Teraz warkot silników samolotu stał się nie do zniesienia, a chłód lufy karabinu tuż przy głowie nie pozostawiał złudzeń, co za chwilę nastąpi.

Iwo drgnął, a potem w jednej chwili usiadł i rozejrzał się wokół siebie. Początkowo nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje. Szarość budzącego się dnia nie pozwalała odróżnić leżących obok niego ludzi. Splątane ciała zakopane w słomie stanowiły rodzaj mozaiki. Kiedyś widział taką na fotografii. Podobno pochodziła z jakiegoś kościoła na Bliskim Wschodzie.

I jeszcze ten dźwięk. Gardłowy. Nieprzyjemny dla ucha.

Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowił sobie, że wciąż znajduje się w baraku, a któryś z jeńców głośno chrapie. Nie wiedział, czy powinien odetchnąć, bo wciąż żyje, czy raczej żałować, że nie zginął od niemieckich kul nadlatującego nad plażę samolotu. Nie miał wątpliwości, że w tamtym śnie po piasku spacerował wraz Nelą. A jeśli już nigdy jej nie spotka? Zacisnął dłonie w pięści. Powinien ją chronić. Tymczasem nie miał pojęcia, co z nim dalej będzie. Ostatnie dni przyniosły więcej pytań niż odpowiedzi. Rozprostował palce i schował twarz w dłoniach.

Chłód bijący od ziemi przypomniał mu, że lepiej będzie wstać. Wolno wprawił w ruch swoje zdrtwiałe po nocy ciało. Uniósł się na chudych nogach. Nigdy nie należał do roślących, ale nie uważał się za chuderlaka. Teraz widział swoje wykrzywione ręce i nogi, na których trudno byłoby znaleźć choć odrobinę tłuszczu. Musiał sobie wywiercić dodatkową dziurkę w pasku, by spełniał swoją funkcję.

– Ta cholerna słoma wlaźła mi do portek – zachnął się Alfred, wyłuskując ostre źdźbła z marnego odzienia.

– A liczyliśmy na łóżka – gorzko jęknął Iwo, wyskubując kawałki słomy z włosów.

– I na piec – dorzucił Władek.

– Ależ byliśmy naiwni – przyznał Iwo.

– To się nazywa głupota – wyjaśnił Alfred.

– Nie, to wiara – zauważył ksiądz Jeremi, który został przydzielony do baraku Iwa.

– Każdego dnia mam tej wiary coraz mniej – wyznał Alfred.

– Nie możesz wątpić. – Duchowny usiadł. Wyglądał, jakby od dawna nie spał, a czas spędził na porannej modlitwie. – Gdyby Chrystus zwątpił, nie zrobiłby tak wiele dla bliźniego. On wierzył w to, że Bóg ma dla niego plan i właściwie kieruje jego losem. Nasze życie nie przypadkiem splotło się ze sobą – oświadczył i powiódł wzrokiem po zebranych w baraku, którzy zaczęli się budzić, a potem z uwagą przysłuchiwali się słowom księdza. – Gdybyśmy się tu nie spotkali, nie wiedziałbym, że Witek ma chorą córeczkę, za którą wspólnie się modlimy – powiedział i odszukał wzrokiem niskiego mężczyznę z przekrzywionym nosem, pamiątką po przesłuchaniu z Victoriaschule. – Czy kiedykolwiek poznałbym Czesława, który odlicza dni do narodzin swojego pierworodnego? – Uśmiechnął się, widząc jaśniejący wzrok siedzącego pod ścianą niebieskookiego łysielca. – Pan

Bóg postawił na mojej drodze was wszystkich w jakimś celu. Może nie zawsze i nie wszyscy rozumiemy ten cel, ale na pewno on ma znaczenie i nie wątpię, że po latach my albo nasi bliscy zdołają go odkryć.

Iwo poczuł, że słowa duchownego mają sens. Już kilka razy spowiadał się księdzu. Głównie z nieczystych myśli. Kilka razy zdarzyło mu się marzyć o Neli. Oczyma wyobraźni widział jej nagie ciało. We wspomnieniach odtwarzał smak jej ust. Czuł na swojej skórze jej ciepły oddech. Pragnął go. Potrzebował jak tlenu. Żył myślą o chwili, gdy znów weźmie ukochaną w ramiona i wyszepta jej wszystkie słowa, które skrzętnie notował w pamięci, a którymi chciał opisać swoją miłość.

Powoli wypuścił powietrze, dając swoim myślom czas na to, by się ulotniły.

– Jak tak dalej pójdzie, to zamarzniemy tej piekielnej zimy – sarknął któryś z więźniów i natychmiast z przestachem spojrzął w stronę księdza.

Ten jedynie pokręcił głową, ale nic nie odrzekł.

– To najgorsza zima, jaką pamiętam – dodał ten sam jeniec na usprawiedliwienie.

– Tak dużo tych zim to ty chyba akurat nie przeżyłeś – zauważył inny osadzony.

– Może i nie pamiętam, ale swoje wiem!

– Jak po nocy przychodzi dzień, tak po zimie przyjdzie wiosna – odezwał się duchowny, chcąc załagodzić niepotrzebne niesnaski.

Często tym właśnie się zajmował. To była rzeczywistość, w której się znalazł i za swoją misję uznał niesienie pomocy duchowej tym, którzy będą jej potrzebowali. Tylko tyle potrafił i właśnie to chciał dać towarzyszom niedoli. Dlatego wzniósł dłoń i zrobił nią znak krzyża. Wszyscy żarliwie przeżegnali się i na jakiś czas zapanowała cisza.

Po chwili rozległy się głosy dyżurnego nawołującego wszystkich do wstania i wyjścia na apel. Kto żyw gramolił się z pieleszy i wychodził z baraku. Przesycone chłodem powietrze natychmiast paraliżowało skórę, sklejało nozdrza i bez pardonu atakowało drogi oddechowe, wtłaczając w nie srogi mróz.

Dygoczący tłum jak co rano ustawiał się na placu zbiórkowych, choć ten ranek nie należał do zwyczajnych. Po rutynowym sprawdzeniu listy obecności nie nastąpiło przydzielanie zadań. Bo choć baraki zostały ukończone, a namioty zwinięte, to dowództwo obozu nie zamierzało pozostawiać jeńcom nawet pół dnia wolnego od pracy. Codziennie rano rozbrzmiewał komunikat o bieżących

zajęciach. Jaki miały sens? To było intrygujące pytanie, na które żaden z jeńców nie potrafił udzielić odpowiedzi. Bo jak zrozumieć sens przewożenia kilku ton śniegu z jednej pryzmy na drugą oddaloną od tamtej o kilkadziesiąt metrów? Jak pojąć znaczenie pracy polegającej na wykopywaniu spod śniegu szyszek i układaniu z nich trasy pomiędzy dwoma czy trzema pryzmami śniegu, które wciąż pozostawały w zasięgu wzroku, więc nie było mowy o zgubieniu trasy? W jaki sposób odczytać polecenie o całkowitym odśnieżeniu placu obozowego? A wszystko to w biegu, bez możliwości zatrzymania się choćby na chwilę. To byłaby strata czasu. Strata, na którą Rzesza nie pozwalała.

Iwo otrząsnął się z zamyślenia i podniósł wzrok na wchodzącego na plac apelowy komendanta Pauly'ego. Mężczyzna kroczył w długim płaszczu, spod którego wystawały czarne spodnie z nogawkami wetkniętymi w długie skórzane buty. W dłoniach ukrytych w rękawiczkach trzymał powiewającą na wietrze kartkę, którą podał jednemu z najbliższej niego stojących strażników. Potem łypnął spod czapki na wynędzniałych jeńców i zakomunikował:

– Od dzisiaj niektórzy z was będą zabierani na przesłuchanie. Waszym obowiązkiem jest wziąć w nim udział i uczciwie, podkreślam – zawiesił głos i powiódł wzrokiem po obdartusach – uczciwie powiedzieć prawdę. Tylko wtedy możecie liczyć na sprawiedliwy wyrok.

Znów przerwał i przez chwilę obserwował twarze jeńców, z których usiłował wyczytać, czy pojęli jego słowa. Mówił do nich jak do dzieci. Sam miał ich czworo i kochał je ponad życie. Uwielbiał rodzinne wieczory, gdy po kolacji siadywali całą rodziną przy kominku i starsze dzieci czytały młodszym, a wtedy on mógł delektować się widokiem wspaniałej rodziny, z którą nie lubił się rozstawać nawet na krótko. Dzieci jednak musiały znać swoje miejsce w szeregu, dlatego od najmłodszych lat uczył je, że gdy robią to, czego od nich oczekuje, mogą zasłużyć na nagrodę, lecz gdy zechcą mu się przeciwstawić, nie mają prawa liczyć na jego łaskawość. Kilka razy musiał pokazać im, że nie rzuca słów na wiatr, a wtedy łkaniom nie było końca. Tym bardziej nie zamierzał pobłażać tej zgrai brudasów.

– Każda próba kłamstwa zostanie natychmiast wychwycona, a tym samym ukarana – ciągnął stanowczym głosem.

Doskonale wiedział, jakie jest jego zadanie. Miał odsiać plewy od ziarna i pozostawić zdolny do pracy narybek, który przyczyni się do odbudowy potęgi militarnej i ekonomicznej Rzeszy. Hitler stanowił dla niego wzór stratega, który

z namaszczeniem i w najdrobniejszych szczegółach zaplanował całą machinę wojenną, nie ograniczając się do działań na froncie.

Zbudowany przez wodza system obejmował niemal wszystkie dziedziny życia. A powstające na terenach Polski obozy koncentracyjne miały służyć zaspokojeniu różnych potrzeb rosnącego w siłę narodu niemieckiego.

Jego obóz – tak zwykł o nim mówić – miał jeden cel i już wkrótce go zrealizują. Na razie musiał skoncentrować się na tym, by wyłowić z tłumu wszystkie szumowiny mogące podjudzać, węszyć i zbyt głośno marudzić. Zresztą rozkaz przyszedł z samej góry. Nie zamierzał z nim dyskutować. Wiedział, że jest już kolejka tych, którzy czekają na przyjęcie do obozu, a on nie zamierzał zwlekać z wykonaniem poleceń przełożonych. Doskonale znał zasady: robisz, co należy, i otrzymujesz za to sowite wynagrodzenie. Tego potrzebował, by wyżywić rodzinę.

Pauly, uznawszy, że dostatecznie wyczerpująco przedstawił swoje oczekiwania, odsunął się dwa kroki w bok.

– Więźniowie, których numery zostaną wyczytane, wystąp – zakomenderował esesman trzymający w rękach podaną przez komendanta listę.

Potem nastąpiło odczytywanie kilkudziesięciu numerów. Iwo został wyczytany jako jeden z ostatnich więźniów. Zrobił więc kilka kroków naprzód i ustawił się w długim rzędzie oczekujących. Zastanawiał się, na ile dni zostało rozłożone przesłuchanie i kiedy przyjdzie jego kolej. Z obliczeń wynikało, że jutro wypadła Wigilia. Czy trafi przed sąd jeszcze w tym roku? Czy przesłuchanie wreszcie pozwoli mu się oczyścić? Czy będzie mógł opuścić to miejsce?

Ku zdziwieniu wszystkich kolejka na przesłuchanie poruszała się bardzo szybko. Na początku Iwo pomyślał, że najpewniej każdy więzień wchodzi i potwierdza swoje dane osobowe, zaś rozprawa nastąpi w kolejnych dniach. Każdy czekał na możliwość poznania zarzutów, bo tylko w ten sposób mógł się z nich oczyścić. Ci, którzy wracali, odchodzili do baraków. Nie mieli prawa rozmawiać z oczekującymi.

Mróz nie zelżał ani na moment, choć słońce rozprawiło się z chmurami i dumnie spoglądało na okolicę. Chudzi, z bladymi twarzami oberwańcy zacierali ręce i przestępowali z nogi na nogę już trzecią godzinę. Wreszcie któryś ze strażników też poczuł zniecierpliwienie i chłód, dlatego zarządził przebieżkę wokół placu apelowego. Tym razem Iwo był nawet wdzięczny. Każdy

z wykonywanych przez niego ruchów sprawiało, że krew w jego ciele nieco szybciej krążyła, podnosząc temperaturę ciała. I choć brakowało mu sił, to po raz pierwszy nie chciał się zatrzymać. Najwidoczniej esesman miał podobne odczucia, bo nakazał wykonać jeńcom drugie okrążenie. Sam podążał za nimi szybkim krokiem marszowym. Ciężko dysząc, zatrzymali się i znów ustawili w szeregu. Podrygiwanie, rozcieranie i chuchanie dawało pozory, że jest im ciepłej.

Kolejne dwie godziny wlekły się w nieskończoność. Iwo naciągnął kaszkiet i mocno się zgarbił, wsuwając szyję i brodę w poły marynarki. Czuł, że jego nos zamienił się w bryłkę lodu, która nie ma nic wspólnego z resztą twarzy. Jego nogi drżały z zimna i ze zmęczenia, a zęby szczękały.

Kiedy więc wywołano jego numer, odetchnął z ulgą, a nadzieja odmalowała nieznaczny uśmiech na jego skostniałych ustach. Iwo, potykając się o własne zeszytowane nogi, pobiegł do pierwszego z baraków, gdzie urządzono prowizoryczną salę sądową. Przynajmniej tak ją sobie wyobrażał. Przez całe dotychczasowe życie nigdy wcześniej nie uczestniczył w żadnej rozprawie, ale miał wyobrażenie o tym, że oprócz sędziego znajduje się tam jeszcze obrońca i oskarżyciel. W tych okolicznościach o świadkach nie było mowy.

Jak wielkie było jego zdziwienie, gdy wreszcie wszedł do środka. Pierwsze, co go zaskoczyło, to ciepło. Nie ciepło bijące od brudnych, cuchnących potem ciał zagrzebanych w barłogu, ale to dawane przez żeliwny piecyk ustawiony tuż przy stole, za którym siedziało trzech mężczyzn w mundurach. Miejsce środkowe zajmował komendant Max Pauly. Po jego obydwu stronach siedzieli nieco starsi od niego funkcjonariusze. Pierwszy z nich miał posępny wyraz twarzy, który nie zdradzał niczego. Mężczyzna pochylał się nad dużą księgą, skrupulatnie coś notując. Nawet nie podniósł wzroku, gdy Iwo wszedł do środka. Drugi z głową przyprószoną siwizną wertował teczkę z dokumentami i co rusz podsuwał którąś z wyjętych kartek pod nos komendantowi. Ten przelotnie rzucił wzrokiem na dokument i ze zniecierpliwieniem stukał w stół swoim piórem ze złotą stalówką.

Kochał to pióro miłością bezwarunkową. Dostał je od samego Himmlera na trzydzieste urodziny. To był prezent, który jednocześnie stanowił przepustkę do innego świata – świata, który miał współtworzyć. Cegielka po cegielce budował swoją pozycję, aż doszedł do chwili, gdy powierzono mu nadzór nad obozem w Stutthof. Plany co do niego były jasno określone jeszcze przed wybuchem wojny.

To były ambitne oczekiwania zwierzchników, ale Max Pauly podjął rękawicę, wdzięczny za otrzymaną szansę rozwoju i zapisania się w historii Rzeszy.

Wielkie Niemcy, o których marzył, nie powstaną bez takich ludzi jak on. Zdawał sobie sprawę, że jego misja, bo tak ją traktował, ma niebagatelne znaczenie dla całego narodu niemieckiego. Przysiągł więc, że zrobi wszystko, aby jego wkład w budowanie nowych Niemiec przyniósł optymalne korzyści i pozostał w świadomości potomnych.

To, co robił dzisiaj, było według niego stratą czasu, ale rozkaz to rozkaz. Nie śmiał z nim dyskutować. Zresztą uważał, że jego przełożeni to ludzie o wyjątkowych umiejętnościach i otwartych umysłach, którzy sięgają daleko poza to, co uchwytne dla innych. Nawet dla kogoś takiego jak on.

Odruchowo zerknął na czystą kartkę, którą miał przed sobą od początku przesłuchań.

– Nazwisko – odezwał się po niemiecku oficer notujący w księdze.

– Koźmiński – odparł powoli Iwo, który czuł, jak jego ciało milimetr po milimetrze rozmarza.

Najchętniej zrobiłby kilka kroków do przodu, ale wprowadzający go esesman już na początku wskazał mu miejsce, które miał zająć.

– Imię – polecił tamten.

– Iwo.

– Ojciec – ciągnął skryba.

– Ignacy Koźmiński – wyrecytował.

– Zamieszkały?

– Niwy.

– Zawód wykonywany?

Iwo się zawahał. Wiedział już, że to, co robił, nie było po myśli Niemców. Nie miał jednak możliwości, by skłamać. Już w czasie przesłuchania w Victoriaschule wyszło na jaw, kim jest, a znalezione dokumenty potwierdziły jego tożsamość.

– Inspektor celny – odparł znaczenie wolniej.

Paradoksalnie marzył o tym, by pozostać w tym miejscu jak najdłużej. Ciepło dawało namiastkę normalności, choć rozum krzyczał, że powinien stąd jak najszybciej uciekać.

– Czy przyznajesz się do winy? – kolejne pytanie padło z ust komendanta obozu, który przyglądał mu się wyczekująco.

Iwo wybałuszył oczy, usiłując zrozumieć, o co został zapytany, bo choć doskonale władał językiem niemieckim, to najwidoczniej nie zdążył zanotować w myślach, o co został oskarżony.

Uporczywie wbijany w niego wzrok standartenführera Pauly'ego nakazał mu odpowiedzieć.

– Nie. – Ostrożnie pokręcił głową.

Znudzony wzrok standartenführera nie zdradzał większych emocji.

– Wszyscy niewinni – oświadczył, a siedzący obok mężczyźni zaśmiali się krótko, choć głośno. – Tylko dlaczego tu siedzą? – Wymownie przewrócił oczyma i spuścił wzrok na leżącą przed nim kartkę. – Jacy zgodni... Ani jeden... To naprawdę godne odnotowania... – tłumaczył sam do siebie, bo jego towarzysze wrócili do swoich wcześniejszych czynności. – Wszyscy niewinni – dodał i zdjął zatyczkę od pióra, którym pochyłym pismem zanotował, że żaden z dotychczas przesłuchiwanym więźniów nie przyznał się do winy.

– Donosiłeś na obywateli niemieckich władzom polskim? – Pałeczkę przejął esesman trzymający w dłoniach teczkę.

Iwo pokręcił głową.

– Tak czy nie? – dopytywał tamten. – Z moich dokumentów wynika, że regularnie oczerniałeś naszych rodaków, kłamiąc przy tym i wypaczając rzeczywistość.

– Nie – odezwał się cicho, choć ze stanowczością, która jego samego zaskoczyła.

– Co za tchórzliwy naród... – zauważył standartenführer z odmalowanym na twarzy obrzydzeniem. – Kłamcy, kolaboranci bez honoru – dodał i zanotował tę uwagę na kartce, a gdy skończył, spojrzął na strażnika stojącego nieopodal drzwi i zakomenderował: – Wyprowadzić.

Mężczyzna drgnął, jakby właśnie został brutalnie wybudzony z przyjemnego snu, zaszutował i szturchnął Iwa, dając mu znak, że jego czas się skończył.

Gdy tylko otworzył drzwi, mróz natychmiast chwycił obydwu mężczyzn w swoje szpony. Iwo naciągnął na głowę zmiętą czapkę i biegiem pokonał drogę do swojego baraku. Po wejściu do środka przecisnął się w stronę przyjaciół i pokrótce opowiedział im, co zaszło. Zarówno Władek, jak i Alfred nie zostali wytypowani

do przesłuchań, więc z uwagą przysłuchiwali się opowieściom innych osadzonych. Kiedy wreszcie zaspokoili ciekawość, zagrzebali się w słomie i ucięli sobie drzemkę. To jeden z nielicznych dni, gdy nie wypędzono ich na dwór do bezsensownej roboty. I choć w środku baraków nie było dużo cieplej niż na dworze, to przynajmniej na nich nie padało.

Iwo nie mógł w takiej chwili usiedzieć na miejscu. Odszukał wzrokiem księdza Jeremiego i starając się nikogo z leżących nie zdeptać, przedostał się w drugi koniec baraku. Duchowny siedział zgarbiony, a tuż obok blady staruszek w pozycji półleżącej coś do niego szeptał. Iwo, nie chcąc przeszkadzać w spowiedzi, odczekał chwilę, a gdy duchowny uczynił znak krzyża, zbliżył się do niego.

– Ksiądz też był na przesłuchaniu – stwierdził na początek.

– To w niczym nie przypominało przesłuchania – odezwał się ojciec Jeremi.

– Od razu założyli, że jesteśmy winni.

– Martwi mnie to, że nie dali nam szansy obrony.

– Może na następnym posiedzeniu będziemy mogli coś powiedzieć?

– Tylko czy oni zechcą nas wysłuchać...

– Skoro wszczęli proces, to chyba zależy im na sprawiedliwości...? – zastanawiał się głośno Iwo.

– Oby... Oby – odparł Jeremi i schylił głowę, pogrążając się w modlitwie. Tylko ona dawała ukojenie jego nerwom i sprawiała, że przynajmniej w myślach przenosił się do kościoła, w którym od kilku lat celebrował msze. To był świat, który gwarantował mu bezpieczeństwo, a za którym tęsknił każdego dnia.

Iwo powrócił do przyjaciół niedoli i również umościł sobie legowisko. Od ziemi ciągnęło mimo rozłożonej słomy. Wiele osób odgarniało słomę z klepiska i nakrywało się nią, co znacznie ograniczało jej ilość na ziemi. Kolejnym problemem było wynoszenie z baraku źdźbeł na odzieży. Choćby nie wiadomo jak bardzo każdy się starał otrzepać ubranie, to nie było na to dostatecznie dużo czasu, a źdźbła dosłownie kleiły się do ubrań.

Wieczór przyszedł szybko i tego dnia apel minął błyskawicznie. Najwidoczniej strażnicy też byli zmęczeni całodziennymi obowiązkami.

Nocą Iwo miał wrażenie, że jego ciało jest bryłą lodu, która nie może się poruszyć, czekając, aż ktoś ją przeturla w inne miejsce. Wtuleni w siebie

jednakowoż walczyli z zimnem, które wyraźnie się wzmogło. Nad ranem wszyscy więźniowie niczym jeden organizm marzyli o nadejściu wiosny.

Wigilijny poranek zasadniczo nie różnił się od pozostałych. Najpierw wszystkich jeńców wypędzono na plac apelowy, gdzie odbyło się codzienne sprawdzanie listy, ale później przed więźniami pojawił się standartenführer Max Pauly. To była rzadkość – obecność komendanta w ciągu dwóch kolejnych dni nie wróżyła niczego dobrego.

– Wszyscy przesłuchiwani wczoraj więźniowie pozostają na placu, reszta na śniadanie biegiem! – krzyknął, mocniej wciskając na dłonie skórzane rękawice.

Gdy plac nieco opustoszał, zaczął chodzić w tę i z powrotem. Cienka warstwa śniegu skrzypiała pod jego stopami. Na szczęście dla więźniów od kilku dni nie padało, ale siarczysty mróz nie odpuszczał. Wielu z nich już zaczynało szczekać zębami.

– Wczoraj rozpoczęły się wasze procesy – zaczął Pauly, nie zatrzymując się. – Jak zauważyliście, zgromadzony przez nas materiał dowodowy jednoznacznie wskazuje na wasze przewinienia. Rozumiem, że wstydzicie się swojej działalności wywrotowej przeciw Rzeszy i akurat temu się nie dziwię. Chyba nieświadomie porwaliście się z motyką na słońce, sądząc, że ujdzie wam to płazem – kontynuował, ściągnawszy swoje krzaczaste brwi, na które nachodziła czapka z daszkiem. – Dzisiaj otrzymujecie drugą szansę – zaczął enigmatycznie. – Rzesza niczym kochająca matka patrzy przychylnie na swoje krnąbrne dzieci. – Powiódł wzrokiem po zgromadzonych na placu apelowym, usiłując w ich oczach odnaleźć wdzięczność, ale spotkało go rozczarowanie. – Macie szansę przyznać się do swoich win. Każdy, kto to zrobi, będzie mógł pójść po dodatkowy przydział jedzenia, a potem wrócić do baraku. Im szybciej załatwicie tę kwestię, tym wcześniej wrócicie do normalności – dodał i zawiesił głos, czekając na to, aż jego słowa dotrą do zebranych. Dopiero po chwili odwrócił się i ruszył w stronę bramy wyjściowej.

Ośłupieli więźniowie stali w ciszy, usiłując okiełznać gonitwę myśli. Podszepty żołądka stanowiły istotny element więziennego życia. Czy jednak rozum da się przechytrzyć? Ile sił musi mieć w sobie człowiek, by toczyć wewnętrzną walkę, w której każdy wybór to porażka...

Rozdział XX



Nieszczęśliwe szczęście

Aromat gorącej herbaty unosił się w powietrzu i nęcił zmysły, by jak najszybciej zaspokoić pragnienie. Ciepło porcelanowej filiżanki emanowało na dłonie trzymającej jej kobiety, która w zamyśleniu czekała, aż napar nieco ostygnie. Znowu potwornie przemarzła, czekając na odjazd kolejki.

Wszyscy wokół powtarzali, że takich siarczystych mrozów nie pamiętają. Nocą w niektórych rejonach Polski temperatura spadała nawet do minus czterdziestu stopni. Właśnie ze względu na tak niskie temperatury przez ostatnie dwa tygodnie ambulatorium praktycznie nie funkcjonowało. Ursula zaraz po świętach uprosiła komendanta, żeby dyżurowały po dwa dni w tygodniu. Esesman, choć nieskory do ustępstw, widząc, jak trudno jest się poruszać po tonącym w śniegu Wybrzeżu, przystał na jej prośbę. Pielęgniarki miały się, nie mając ze sobą kontaktu, dlatego Ursula usychała z ciekawości i gdy tylko nadarzyła się okazja, przybiegła do ambulatorium, by porozmawiać z Nela.

Teraz mieszała łyżeczką cukier wsypany do drugiej filiżanki i pytająco spoglądała na koleżankę. Nela jednak milczała jak zaklęta.

– Dołożę jeszcze parę drewnienek na ogień, a później zamieniam się w słuch – oświadczyła i poderwała się z miejsca, by wykonać to, co zapowiedziała.

Przyjemne ciepło buchnęło od żeliwnego pieca. Nela czuła, jak na jej policzki wypełzają rumieńce, a ciało powoli budzi się z letargu.

– Jak ślub? – zagaiła Ursula, z powrotem siadając przy stole.

– Odbył się – odparła krótko Nela i wzrok zatopiła w bursztynowym płynie. Nigdy nie rozumiała, dlaczego ludzie psują smak herbaty, słodząc ją.

– Ja to bym płakała na swoim ślubie – wtrąciła. – Nawet na ślubach innych osób zawsze czuję gulę w gardle i nie potrafię zapanować nad łzami.

– Doskonale cię rozumiem – stwierdziła Nela i zatrzepotała długimi rzęsami, jakby właśnie przebudziła się z zimowego snu.

– Chyba nigdy nie pojmem, dlaczego śluby tak wzruszają. Przecież to sama radość dla państwa młodych, ich rodzin i przyjaciół.

– Prawda...

– A jednak łezka się w oku kręci...

Ursula na moment zamilkła, jakby sięgała pamięcią do wszystkich ślubów, w których uczestniczyła. Jakże pragnęła znaleźć się na miejscu którejś z panien młodych. Już samo wyobrażenie białej, ciągnącej się po ziemi tiulowej sukni i wpiętego we włosy długiego welonu przyprawiało ją o dreszcze. Matka od dawna powtarzała, że w jej wieku nie powinna wybrzydzać, a teraz żałowała, że nie słuchała i grymasiła, gdy któraś z sąsiadek podsylała do niej adoratora. Ursula jednak widziała, czym jest związek bez miłości i nie chciała wieść życia, jakie obserwowała w swoim domu rodzinnym. Matka pogrążona w okultystycznym marazmie i ojciec skoncentrowany na pomnażaniu rodzinnego majątku. Dwa życia niemające ze sobą wiele wspólnego. I ona, pozostawiona sama sobie, bo któż miałaby czas, by z nią porozmawiać czy choćby zapytać o to, co dzisiaj robiła. Od takiego życia pragnęła uciec, ale tylko pod warunkiem, że nie utknie w próżni, z której nie będzie mogła się wydostać.

– Miałaś długą suknię?

– Tonęła w śniegu – przyznała matowym głosem Nela.

– Pewnie nie było widać, gdzie się kończy – zachwyciła się Ursula i z rozmarzeniem spoglądała na biel za oknem. – Gości zdołaliście zaprosić?

– Bez nich by się nie obeszło. Ojciec i tak wzdychał, że tylko tylu przybyło.

– Miłości nie po drodze z wojną. – Pokiwała głową i znów jej oblicze rozjaśnił promienny uśmiech. – A potem były tańce?

– Tańce i szampan...

– I pewnie fajerwerków też nie zabrakło?

– Z tym mi akurat nie po drodze – wyjaśniła Nela i upiła spory łyk herbaty.

Napar zdążył już przestygnąć i teraz czuła przyjemne ciepło rozchodzące się po ciele. Odstawiła filiżankę na stolik i odruchowo zerknęła na pierścionek wciśnięty na serdeczny palec prawej dłoni, nad którym błyszczał złoty krążek, symbol jej porażki.

– Teraz przyjdzie codzienność i fajerwerki znikną, ale co przeżyłaś, to przeżyłaś – zauważyła z rozrzewnieniem w głosie Ursula.

Strząsnęła niewidoczny pyłek z grubej spódnicy. Wciąż bowiem nie przywykła do tego, że może włożyć spodnie. Nie lubiła tej dziwacznej mody, która sprawiła, że z daleka trudno było odróżnić kobietę od mężczyzny. W jej mniemaniu granice nie powinny zostać zburzone w żadnej sytuacji, dlatego bez względu na pogodę wkładała sięgającą łydki spódnicę z odpowiednio dobranego materiału.

Nela czuła zmęczenie rozmową, która przypominała jej przesłuchanie i choć rozumiała zainteresowanie Ursuli, to wolałaby się czymś zająć, by odsunąć swoje myśli od małżeństwa, w którym ugrzęzła.

– Posortuję bandażę – oświadczyła i z ulgą podniosła się z krzesła.

Już po chwili zabrała się za rozpakowywanie skrzyni z materiałami opatrunkowymi, które niedawno przysłano. Na dnie znalazła kilka opakowań maści na rany i schowała je do przeszklonej szafy. Później pomogła Ursuli dokonać inwentaryzacji. Tak minęło im przedpołudnie. Wprawdzie tylko Nela miała dzisiaj dyżur, ale koleżanka zaklinała się, że zamiast siedzieć samotnie w domu, woli ten czas spędzić w ambulatorium.

Nela zaś ostatnimi czasy marzyła o odseparowaniu. Modliła się o nie każdej nocy. To był najgorszy moment z całego dnia. Ileż by dała, żeby spokojnie zasnąć, a później przespać aż do rana. Tymczasem ona kładła się do łóżka i niemal nie zamykała oczu, wciąż nasłuchując równego oddechu męża. Niestety zapas środków nasennych, które systematycznie aplikowała mu od dnia ślubu, coraz bardziej się kurczył, a zatem malały jej szanse na to, że zdoła się oprzeć umizgom Wilhelma. Na razie wciąż jeszcze nie połapał się w tym, że nie zdążyli skonsumować małżeństwa. A Nela co rano przy śniadaniu wmawiała mu, że zapewne zbyt dużo wypił i dlatego nie pamięta tego, co wyprawiał w nocy. Byłaby naiwna, chcąc mu się postawić. Szansa na to, by się od niego uwolnić, przepadła wraz z zawarciem małżeństwa.

Koło południa Ursula ponownie zaparzyła herbatę, a Nela rozpakowała przyniesione z domu kanapki z szynką, które teraz umiejętnie rozłożyła i podzieliła.

– Mam coś jeszcze – obwieściła konspiracyjnym tonem, po czym wyjęła mały słoiczek i odkręciła wieczko, a potem na koniuszek noża nałożyła odrobinę szarawego mazidla i posmarowała nim szynkę. – Spróbuj, jaki dobry chrzan przyniosłam.

Ursula ostrożnie odgryzła kęs i aż przymknęła powieki, delektując się smakiem dobrze uwędzonego mięsa w wiśniowym dymie oraz idealnie startego chrzanu z odrobiną jabłka, które nieco łagodziło ostry smak, nadając mu subtelności i wykwiwistości.

– Takie specjały mogę jeść codziennie. – Ursula się zaśmiała.

Nela odwzajemniła uśmiech, ale jej uwagę przyciągnął hałas dochodzący z zewnątrz. Wyjrzała przez okno i przez chwilę nie mogła oderwać oczu. Odbijające się od śniegu promienie słoneczne sprawiły, że zmrużyła oczy. I wbrew rozsądkowi wciąż patrzyła.

– Co się dzieje? – odezwała się, nie odwracając się do Ursuli.

– A bo ja wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Pewnie idą do roboty.

– W taki mróz?

– Widocznie to coś ważnego i nie można czekać, aż mróz zelżeje.

– Co oni będą kopać? – Nela nie przerywała ognia pytań.

Dopiero teraz Ursula odsłoniła firankę i przytknęła nos do mokrej szyby, z której niedawno spłynęły wzory odmalowane przez mróz.

– Rzeczywiście kopanie ziemi w taką pogodę to szaleństwo – przyznała, wodząc wzrokiem za biegnącymi w równym szpalerze więźniami.

Nela podniosła się z krzesła, by lepiej widzieć kolumnę pieszych, zanim znikną jej z oczu, kryjąc się w leśnych odmętach. Pochód zamykało dwóch dziarsko maszerujących esesmanów z przewieszoną przez ramię bronią. Nela się wzdrygnęła. Nie lubiła widoku broni, bo przypominał jej o wojnie, której z każdym dniem coraz bardziej nienawidziła i obwiniała za wszystko to, co spotkało Iwa. O swojej sytuacji bała się myśleć. Za każdym razem, gdy podejmowała się analizy, popadała w marazm i zastanawiała się nad sensem życia.

– Myślisz, że wytrzymają na tym mrozie? – Nela spojrzała na Ursulę, bo więźniowie zdążyli zniknąć jej z oczu.

– Jakbyś ich nie znała... – Zaśmiała się szyderczo.

– Nie powinni w taką pogodę wychodzić.

– Lepiej naszykujmy maść rozgrzewającą.

Nela odetchnęła. Po raz pierwszy miała wrażenie, że mówi z Ursulą jednym głosem. Może jej nie doceniła? Być może ona też ma odruchy serca, gdy widzi tych ludzi skazanych na pracę bez względu na aurę? Może już wcześniej powinna mocniej obstawać przy tym, aby zainteresowały się też więźniami. W czasie zmiany miały sporo wolnego czasu i gdyby nie ich własna inwencja twórcza, to najzwyczajniej w świecie nudziłyby się niemiłosiernie.

Ursula miała w szufladzie ukrytą robótkę ręczną i gdy już wysprzątała wszystkie szafki na błysk, siadała na krześle obok pieca i dziergała bambosze i rękawice, które później rozdawała wszystkim członkom bliższej i dalszej rodziny. Niedawno takim zestawem obdarowała Nelę, która ochno jej podziękowała, po czym zaniósła podarki do szpitala, w którym wciąż rezydował Staś z rodzeństwem. Ależ oni się ucieszyli! Dwa dni później zamówiła dwa dodatkowe komplety dla reszty dzieciaków. Ursula właśnie je kończyła dziergać.

– W tamtym tygodniu zawitał do mnie jakiś nowy – odezwała się Ursula, przerywając koleżance rozmyślenia. – Nawet niczego sobie był. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Miał jednak takie odmrożenia, że nakazałam mu, żeby wziął urlop i przez kilka dni siedział w domu i grzał się przy piecu. Oni wszyscy są jak dzieci i w ogóle o siebie nie dbają, a potem od nas oczekują cudów – jęknęła. – Jestem pewna, że po tej eskapadzie zaraz tu któryś zajdzie i pokaże przemarznięte stopy lub ręce.

Zaskoczenie odmalowało się na twarzy Neli, jednak nic nie odrzekła, w myślach łajając swoją naiwność.

– Wyjrzę – oświadczyła, niemal zrywając swoje futro wiszące na wieszaku przyczepionym do drzwi. – Może już wracają – dodała enigmatycznie i co tchu wybiegła, dopiero na zewnątrz wkładając okrycie i wiążąc pod szyją gruby szal.

Przebiegła kilkanaście metrów w stronę lasu, ale nikogo nie dostrzegła. Wróciła, ale ciekawość nie pozwoliła jej wejść do środka. Zawróciła i znów w podskokach zbliżyła się na skraj lasu. Doskonale pamiętała panujące w obozie

zasady. Jedna z nich głośno, że personelowi medycznemu nie wolno się oddalać od ambulatorium, gdyż w każdej chwili może dojść do jakiegoś wypadku i wówczas potrzebna będzie pomoc. Nela aż się w środku skręcała, chcąc zerwać niewidoczne pęta nałożone przez obozowy regulamin, obawiała się jednak, że może narazić się komendantowi obozu, a ten znany był z wybuchowego zachowania. W stanie wzburzenia mógł ją wydaląć z pracy. Co wówczas dałaby radę zrobić dla Iwa? To pytanie rozbrzmiało w jej głowie z emfazą, a potem nadeszło otrzeźwienie i upewniwszy się, że nikt na nią nie patrzy, powróciła do ambulatorium i zajęła miejsce przy oknie. Jedynie od czasu do czasu półsłówkami odpowiadała koleżance, która wciąż trajkotała i najwyraźniej wcale nie spieszyła się do domu.

– Ursula, dzisiaj tak dużo mi pomogłaś, że nie mam sumienia dłużej cię tutaj przetrzymywać – zaczęła, chcąc wreszcie zostać bez świadków.

– Daj spokój, kochana. Przecież wiesz, że cię lubię i chętnie z tobą pogadam, żebyś nie czuła się samotna.

– Doceniam to, ale wiem, że jesteś zmęczona i potrzebujesz odpoczynku – brnęła. – Jutro masz dyżur, więc lepiej wypocznij, żebyś mogła jak najlepiej zaopiekować się naszymi chłopcami – podkreśliła dwa ostatnie wyrazy i wymownie spojrzała na pielęgniarkę, która wciąż zdawała się mocno niezdecydowana, by opuścić ambulatorium.

Wciąż wodziła wzrokiem po pomieszczeniu, jakby chciała znaleźć pretekst, dla którego powinna zostać. Najwidoczniej jednak żadnego nie odnotowała, dlatego sięgnęła po kozuch i nieśpiesznie włożyła go na siebie, po czym równie wolno obwiązała szyję długim szalikiem, a na głowę wcisnęła baranicę. Później nachyliła się i cmoknęła Nelę w policzek. W tym momencie na zewnątrz rozległy się jakieś odgłosy. Niemal jednocześnie wyjrzały przez okno.

– Odprowadzę cię – natychmiast wypaliła Nela i nie czekając, w pośpiechu narzuciła na siebie futro ze srebrnych lisów, które ojciec sprawił jej, gdy miała po raz pierwszy pójść na oficjalny bal sylwestrowy. Jakże wtedy była z siebie dumna. Jak bardzo chciała przestąpić próg dorosłości i móc zakosztować życia, o którym opowiadał jej Frank.

Nela niemal pociągnęła kobietę za rękaw i w ten sposób wyprowadziła ją z ambulatorium. Szczypiące w policzki i nos powietrze natychmiast przypomniało im o naciągnięciu szalików. Nela wykorzystała ten moment, by zerknąć w stronę biegnących więźniów. Byli w odległości kilku metrów, mogła

więc dobrze im się przyjrzeć. Brudne, zwisające łachmany, którymi usiłowali obwiązać każdą z części ciała, by choć trochę ochronić się przed chłodem, cuchnęły potem i fekaliami.

Ursula odruchowo zakryła nos i wykrzywiła usta.

– Chodźmy szybciej, bo w tym smrodzie nie da się oddychać – pośpieszyła Nela.

Ta jednak stała jak zaklęta, nie mogąc oderwać wzroku od jednego z więźniów. Choć widziała tylko jego oczy, to nie miała wątpliwości, do kogo one należą. Nie miała pojęcia, że jej usta drżą, usiłując się uśmiechnąć. Jej serce załopotało, jakby chciało się wyrwać i przysiąść na piersi Iwa. To był on. Właśnie on.

– Nela! – ponownie odezwała się Ursula i tym razem pociągnęła koleżankę za rękaw. – Idziesz?

Dziewczyna głośno łapała powietrze, jakby jakieś niewidzialne palce zaciskały się na jej szyi, pozbawiając ją tchu. Tak bardzo chciała podbiec i najzwyczajniej w świecie objąć ukochanego. Tyle razy zaglądała przez druty, ale nigdy go nie odnalazła. Tymczasem szedł kilka metrów od niej i łypał na nią spode łba. Przeczynała, że choć ją poznał, to nie chciał wzbudzać zainteresowania i zbędnych pytań. To dało jej do myślenia. Przecież wpatrując się w niego, mogła narazić jego i siebie. Natychmiast spuściła wzrok i pośpieszyła za Ursulą, choć w ogóle nie słuchała tego, co koleżanka jej tłumaczyła. Szła, usiłując coś wymyślić, by ta chwila spotkania z Iwem miała szansę się powtórzyć i potrwać znacznie dłużej.

– A gdzież to panienkom tak spieszno? – zagaił esesman idący za szpalerem więźniów.

– Ja wracam do domu, a koleżanka mnie odprowadza – wyjaśniła Ursula przymilnie, zwalniając kroku. Po chwili zrównała się z młodym strażnikiem, który uśmiechał się do niej przyjaźnie.

– Szkoda, że już kończycie, bo mam jakąś ranę. Jątrzy się to od kilku dni, a dzisiaj piecze i swędzi.

– Ja mam dyżur dopiero jutro, ale Nela może opatrzyć ranę jeszcze dzisiaj – wyjaśniła Ursula i szturchnęła zamyśloną pielęgniarkę. – Nie musisz mnie odprowadzać.

Nela otrząsnęła się, jakby ktoś ją wyrwał ze snu, i nieprzytomny wzrok utkwiała w strażniku.

– To zerknie panienka na to paskudztwo? – dopytywał.

Skinęła głową. Machinalnie ucałowała koleżankę w policzek i zawróciła do ambulatorium. Idąc, nie omieszkała zerknąć w stronę oddalających się więźniów.

– Karl, zaraz wracam! – krzyknął esesman i machnął na ostatniego ze strażników.

Nela rozpoznała Sturmmanna Hermana. Tamten skinął głową i skierował się w stronę bramy wejściowej do obozu.

Dziewczyna wprowadziła mężczyznę do ambulatorium. Zdjęła palto i na chwilę stanęła przy piecu, by rozgrzać dłonie.

– Też pioruńsko zmarzłem – przyznał esesman i stanął tuż obok niej. – Że też trafiliśmy na taką zimę...

– W taką pogodę to lepiej nosa nie wyściubiać za drzwi – odparła z grzeczności, nie z chęci prowadzenia konwersacji.

Ostatnie, czego teraz potrzebowała, to właśnie rozmowa z jakimś młokosem bawiącym się w policjanta. Przez tych kilka tygodni, gdy została zatrudniona, zdążyła wyrobić sobie zdanie o esesmanach. W jej ocenie były to duże dzieci, które dorwały się do broni i to w niej upatrywały swojej siły.

– Taki rozkaz – odparł sturmmann i wzruszył ramionami. – Gdyby to ode mnie zależało, to na pewno nie marznąłbym, pilnując tych fajtłap.

Nela zagryzła dolną wargę. To jednak była doskonała okazja na pogaduszki. Wystarczyło się nieco bardziej postarać. Umiała grać niczym rasowa aktorka. Ostatnio niemal nie wychodziła z roli i wciąż stała na scenie, jaką przygotowało dla niej życie. Ośmielona tą myślą odwróciła się w stronę mężczyzny i podstawiła mu pod nos swoją dłoń.

– Nela – przedstawiła się. – Przez ten ziąb zupełnie zapomniałam o manierach – powiedziała przeproszającym tonem, a na dowód szczerości uśmiechnęła się najśłodziej, jak tylko potrafiła, i przymilnie zatrzepotała rzęsami.

– Arnold! – Sturmmann lekko cmoknął jej chłodną dłoń i odwzajemnił uśmiech. – Ja przez tę robotę nieraz tracę jasność myślenia.

– Siądź, Arnoldzie, a ja najpierw przygotuję dla nas gorącą herbatę. W końcu robota nie zajac i nie czmychnie do lasu, a ty potrzebujesz oddechu. – Zmusiła usta do tego, by rozchyliły się w uśmiechu.

– Racja! – zawtórował jej ochoczo. – Czasem mam tego dość.

– Tak? – zainteresowała się.

– Wiesz, myślałem, że tu będzie inaczej... – powiedział, zniżywszy głos.

Był wystarczająco cwany, by wiedzieć, że o takich sprawach nie mówi się na głos. Nie chciał sobie zamykać drogi do kariery. Przez chwilę milczał, jakby czekał na reakcję pielęgniarki.

– Praca potrafi rozczarować – ciągnęła temat, stawiając na stole dwie porcelanowe filiżanki.

– Otóż to – odparł i wbił wzrok w obłoki pary unoszące się nad złocistym naparem. – Ja nie nadaję się na niańkę dla tych oberwańców – ciągnął. – Powinienem walczyć na froncie. Leżeć w okopach i celować do tych świń, które chcą nas pozbawić ojczyzny.

Nela szerzej otworzyła oczy, ale jednocześnie zacisnęła zęby, tłumacząc sobie, że to nie najlepsza pora na dysputy o powodach wybuchu wojny. Znała je doskonale. Ojciec od lat ich nie ukrywał.

– Twoja praca też jest ważna – zapewniła.

– Wolałbym pójść na front na pierwszą linię. Może jakiś medal bym dostał. A tak, to co powiem kiedyś dzieciom? Że ojciec zawszawionych świń pilnował?

– Masz dzieci?

– Nie, ale zamierzam za jakiś czas. – Uśmiechnął się lubieżnie i mrugnął do niej porozumiewawczo.

Przeszedł ją zimny dreszcz, a przed oczami miała sapiącego i mówiącego do niej rozpustnym głosem Wilhelma. Ciężko opadła na krzesło stojące po przeciwnej stronie stołu i zanurzyła usta w herbacie. Potrzebowała chwili, by zebrać myśli.

– Znowu kazali im przerzucać śnieg z miejsca na miejsce? – spytała wreszcie niby od niechcienia.

– To byłoby lepsze – odparł szybko. – I na pewno znacznie szybciej skończyliby robotę – dodał, popijając herbatę.

– A tak musieliście solidnie zmarznąć – ciągnęła, umiejętnie maskując rosnące w niej napięcie.

– Żebyś wiedziała! Może dlatego tak bardzo mnie teraz boli ta noga – zastanawiał się. – Przekłęte polskie ścierwa! – zachnął się i uderzył pięścią w stół, aż filiżanka z cienkiej porcelany podskoczyła.

– Wątpię, żeby niska temperatura miała wpływ na gojenie się rany – zauważyła pośpiesznie i nie chcąc drażnić tematu, zapytała: – Nie możecie odpuścić, aż mróz zelżeje?

– Niestety... – Westchnął i opróżnił filiżankę z herbaty. – Sam komendant kazał szybko załatwić sprawę – stwierdził i natychmiast zamilkł, jakby zrozumiał, że się zagalopował.

Nela kilka razy zamrugowała. Coraz bardziej ciekawiło ją to, w jakim celu więźniowie wychodzą do lasu. Ale jeszcze ważniejsze było pytanie: czy jutro albo pojutrze znowuż do niego wróca?

– To może pokażesz mi swoją ranę? – zaproponowała, nie chcąc wzbudzać podejrzeń swą dociekliwością.

Sturmmann przesiadł się na wskazaną przez pielęgniarkę kozetkę i zaczął rozpinąć pasek, a później rozporek. Chwilę później spodnie opadły. Szybko omiotła wzrokiem nogi mężczyzny, ale niczego niepokojącego nie dostrzegła. Czyżby zabawił się jej kosztem? A może przyszła mu ochota na figle? Zadarła głowę, bo rzekomy pacjent do mikrusów nie należał, i skrzywiła się wymownie. Jej mina nakazała Arnoldowi działanie. Wstał z kozetki i odwrócił się do niej tyłem, a potem odchylił nogawicę swoich szortów. Oczom Neli ukazała się czerwona, nabrzmiała ropą krosta umiejscowiona na pośladku.

– Co to za cholerstwo? – zapytał.

– Czyrak – odparła.

– Coś da się z tym zrobić?

Pielęgniarka schyliła się, by lepiej obejrzeć zmianę na skórze. A gdy dotknęła miejsca obok, Arnold jęknął z bólu.

– Długo to hodowałeś?

– Któryś dzień – odparł, nie zdradzając, jak długo się męczy, łudząc się, że wstrętna krosta sama zniknie i nie będzie musiał zaglądać do ambulatorium, w którym królowały dwie młode i nad wyraz apetyczne pielęgniarki. Długo walczył ze wstydem, ale po dzisiejszej eskapadzie i kilkugodzinnym postoju w lesie nie potrafił już dłużej znieść bólu.

– Połóż się na kozetce i opuść szorty – poleciała, a sama podeszła do szuflady z narzędziami chirurgicznymi. Nie było ich wiele, ale w tym przypadku wystarczył skalpel i igła do założenia szwów. – Niżej, niżej – powtórzyła niewinnie.

Widziała, jak musztrował biegnących przed nim więźniów. Uznała, że nadarzyła się okazja, by choć trochę dać mu pstryczka w nos. Musiała jednak zachować umiar. Miała bowiem ważniejsze zadanie.

Powoli odkaziła miejsce, a potem je nacięła. Pacjent syknął.

– Zaraz kończę – skłamała, bo wcale nie było jej spieszo do wypuszczenia chłopaka. – Nie jest tak źle – tłumaczyła. – Widziałam znacznie większe czyraki na poślaskach. Ludzie wstydzili się przyjść po pomoc, a potem mieli kłopot...

– To dobrze, że do ciebie zaszedłem.

– Bardzo dobrze – odparła przymilnie. – Zaraz ci pomogę. A potem kilka dni poleżysz i wszystko będzie dobrze.

– Muszę leżeć? – zatrwożył się.

– I to na brzuchu – dodała tonem znawcy.

– Nie mogę jutro nie przyjść na zmianę. – Jęknął i znów syknął z bólu, gdyż Nela z zacietrzewieniem babrała się w ranie.

– Przez tych kilka dni mogą dać sobie radę bez ciebie.

– Jutro muszę odbyć służbę.

– Żeby znów bawić się w chowanego po lesie? – zadrwiła, czekając na jego reakcję.

– Jutro akurat wesoło nie będzie. Ot, wyrok trzeba wykonać i właśnie zostałem do tego oddelegowany.

– Wyrok? – powoli powtórzyła.

– Sąd go wydał, więc trzeba wykonać. Te łachudry jutro znów wrócą do lasu.

– Jaki wyrok?

Mężczyzna przystawił sobie dwa palce do skroni i udał, że strzela.

Nela zamarła. W ułamku sekundy jej ciało zeszywniało, a żołądek podskoczył do gardła. Dławiła się, próbując złapać oddech. Świat wokół niej wirował, a ona ledwie trzymała się na nogach. Zrozumiała, że Iwo był w lesie, bo miał wykopać dla siebie grób. Najwidoczniej jego też objął wyrok. Wyrok śmierci. Dopiero dźwięk upadającego na podłogę skalpela sprawił, że otrzeźwiała i podążyła za nim wzrokiem.

– To pewne? – zapytała z oczyma pełnymi łez.

– Jest wyrok. Musi być i kara – odparł najspokojniej w świecie, szczęśliwy, że wreszcie przestała gmerać przy jego pośladku.

– Może coś się odwlecze...

– Sam komendant będzie nadzorował wykonanie, więc wszystko musi pójść jak po maśle.

– Jedenasty stycznia? – wyszeptała.

– Właśnie wtedy.

Nela odruchowo schyliła się i podniosła skalpel. Odłożyła go do pojemnika na brudne narzędzia i zdezynfekowała ranę, a potem posmarowała maścią z antybiotykiem. Nie zwracała uwagi na wijącego się pod jej dłońmi esesmana.

Dławiący ból ścisnął jej serce i pozbawił głosu. Nie miała siły mówić. Nie potrafiła myśleć o niczym innym niż o Iwie, który jutro miał się pożegnać z życiem. Nie była w stanie zapanować nad płynącymi po policzkach łzami. Łamiącym się głosem pośpiesznie pożegnała oficera i zanim ten się ubrał, wyszła z gabinetu pod pozorem uzupełnienia lekarstw. Wsunęła się do niewielkiej sionki i dopiero tam wybuchła płaczem. Cała drżała. Miała wrażenie, że jej ciało trawi ból, którego źródła nie potrafiła odnaleźć. Powoli osunęła się na ziemię. Skulona przycisnęła policzek do podłoża. Jego chłód nie przyniósł ukojenia. Buzujące w głowie myśli szarpały się niczym zwierzę schwyte w potrzask.

Czas zatrzymał się w miejscu, a ona nie potrafiła się temu przeciwstawić.

Koniec części II

Boża Wola, grudzień 2022 r.

Od autorki

Drodzy Czytelnicy,

bardzo się cieszę, że Nela skradła Wasze serca i razem z nią poznaliście fragment historii naszego kraju. Wiadomości, które znalazłam na kartach książek i w sieci, starałam się ubrać w słowa, by wyrazić nimi przeżycia i emocje towarzyszące ludziom mierzącym się z wojną i jej skutkami. Uwielbiam czytać o tym, że powieść Was inspiruje do samodzielnego poszukiwania informacji na temat tamtych czasów.

Wierzę, że w drugiej części Nela oraz Iwo pozwolili się Wam jeszcze lepiej poznać i zrozumieliście, przed jakimi wyborami stawia ludzi wojna, bo choć sami bohaterowie są postaciami fikcyjnymi, to przeżywają dylematy, które dotyczą też współczesnego człowieka.

Słowa podziękowań za owocną współpracę kieruję do Panów: Rafała Bielskiego, Piotra Sternala i Pawła Wielopolskiego.

Jestem wdzięczna Agnieszce Krizel za to, że po raz drugi zdecydowała się napisać wiersz, w którym dosadnie wybrzmiewają nastroje i emocje ukazane w powieści.

Gorące podziękowania kieruję w stronę Blogerów książkowych i Bibliotekarzy, którzy tak wiele robią, by promować polską literaturę i sprawili, że moje książki trafiły w ręce wielu nowych Czytelników.

To dzięki Wam wszystkim siadam do pisania nawet wtedy, gdy coś mi doskwiera albo najzwyczajniej w świecie nie mam siły. Każda nasza rozmowa dodaje mi energii do działania i sprawia, że mam ochotę stworzyć dla Was kolejną opowieść.

Zapraszam też do odwiedzenia mnie w mediach społecznościowych, gdzie codziennie możemy dyskutować o literaturze, ale nie tylko.

Przypisy

[1] Senat WMG wydał, wbrew konstytucji, dekret o mianowaniu przywódcy gdańskich nazistów Alberta Forstera „głową państwa”.

[2] Wysoki Komisarz Ligi Narodów Carl Jakob Burckhardt dostał dwie godziny na to, aby opuścić miasto.

[3] Szkoła przerobiona na tymczasowe więzienie dla pojmanyh Polaków.

[4] Werner von Schenck – lekarz ze szpitala miejskiego w Gdańsku, który kierował izbą chorych dla więźniów m.in. z obozu w Stutthof.